

LEONARDO, BŁĘKITNA I...

Spójrz, chlubo rodziny — odezwał się Adam — jesteśmy na miejscu. — Mrugnął porozumiewawczo na Darka, po czym odwrócił głowę i przykleił nos do szyby iluminatora. — Przyjrzyj się dobrze — dodał po chwili — oto pole twojej sławy i chwały. Tu przejdziesz do historii jako gwiazdor wszechczasów.

Darek najchętniej puściłby mimo uszu te słowa wypowiedziane tonem doszczętnie wypranym z szacunku należnemu bohaterowi poważnej, bądź co bądź, filmowej przygody, ale ciekawość przemogła. Zresztą w ciągu kilku tygodni, które spędzili razem, chłopiec nauczył się wybaczać temu swojemu najdziwniejszemu ze stryjów jego rozliczne fanaberie i nieznośny sposób mówienia, podwójnie nieznośny, kiedy zwracał się do "chluby rodziny". Poza tym bowiem Adam okazał się równym i lojalnym kompanem. A nadto posiadał pewną cechę wyróżniającą go spośród wszystkich możliwych krewnych.

Mianowicie w jego towarzystwie nigdy, ani przez sekundę, nie sposób było się nudzić.

Z początku wyglądało wszystko całkiem inaczej. Z początku, to znaczy wtedy, kiedy matka Darka, Alicja Ryska, pracownica naukowa Bazy Instytutu Biochemii Rejonu Wielkich Planet na Ganimedzie, oświadczyła chłopcu, że Adam zgodził się otoczyć go opieką na czas kręcenia filmu. Darek zaprotestował gwałtownie. Najmłodszego brata swego tragicznie zmarłego ojca nie widział od lat, a w niejasnych wspomnieniach majaczyły mu jedynie — ciemna, rozwichrzona czupryna i śmiech przypominający pracę młota pneumatycznego.

— Adam jest niewiele starszy od ciebie — tłumaczyła matka.

— Opiekun powinien być poważny i doświadczony — odpowiedział ponuro Darek.

— Więc nie chcesz wystąpić w tym filmie? — zagadnęła podstępnie rodzicielka przyszłego gwiazdora. — Przecież wiesz, że ja teraz nie mogę się ruszyć z Instytutu. Akurat trwa seria bardzo ważnych doświadczeń.

Darek .wiedział, że doświadczenia są ważne. Mimo to z uporem obstawał przy swoim.

— To nie przyjmę tej roli — oświadczył z samozaparciem.

Już jednak mówiąc te słowa, nie bardzo wierzył w swoją szczerość. Pokusa była bowiem nie do odparcia. No i miałby się zmarnować ten przedziwny, wręcz cudowny zbieg okoliczności?...

Wszystko zaczęło się od tego, że do bazy na Ganimedzie przybyła ekipa — ni mniej, ni więcej — tylko filmowców. I to nie któraś tam z kolei grupa wścibskich obieżyświatów pragnących olśnić wi

dzów reportażem z obszaru Wielkich Planet. Nie. Ta ekipa podróżowała od jednego .sztucznego satelity do drugiego, buszowała po wszystkich stacjach planetarnych w poszukiwaniu odtwórcy głównej roli w nowym przygodowym serialu holowizyjnym. Zrobili Darkowi próbne zdjęcia i... dalej już nie szukali. Tak właśnie było. Sam Darek nie bardzo wiedział, co o tym myśleć, bo dotychczas jakoś nie wydawał się sobie ani nadzwyczaj przystojny, ani utalentowany, a w ogóle nie marzył o żadnych nadzwyczajnościach, tylko chciał kiedyś skończyć studia i zacząć pracować na swoim rodzinnym Ganimedzie razem z mamą. Ale nawet najzwyczaj-niejszy i najnormalniejszy chłopiec, kiedy nagle ni stąd, ni zowąd spadnie mu z nieba propozycja zagrania głównej roli w serialu, którym będą się pasjonować miliardy widzów, może doznać zawrotu głowy. Tak było i z Darkiem.

Z tego leciutkiego oszołomienia wyrwała go właśnie wiadomość, że, owszem, będzie mógł polecieć kręcić ten film, ale pod opieką Adama.

— On przecież nawet nigdzie nie mieszka — wygrzebał z zakamarków pamięci kolejny argument, którym chciał przekonać mamę, jak niestosowny był proponowany przez nią

kandydat.

— Po cóż reporterowi stały adres? — zareplikowała mama. — A jeśli chcesz wiedzieć, Adam jest uważany za najzdolniejszego dziennikarza Tevo-presu. Oni sami tak o nim mówią. Do Tevopresu nie masz chyba zastrzeżeń?

Darek wiedział, że Tevopres jest jedną z najbardziej szacownych centralnych agencji informacyjnych. No i co z tego?

— Ty wiesz przecież, jak ojciec kochał swojego najmłodszego brata — usłyszał wreszcie słowa wypowiedziane cichym głosem, tonem łagodnego wyrzutu.

Na to nie znalazł już odpowiedzi. O ojcu mówiło się w domu niezbyt często. Był wybitnym uczonym, jednym z twórców filii Instytutu na Ganimedzie. Zginął w katastrofie sondy, przeprowadzając badania w atmosferze Jowisza. Wtedy Alicja, jego żona, poprosiła o przeniesienie na Ganimeda. Chciała kontynuować pracę swojego męża i kierownictwo Instytutu uszanowało jej wolę. Od piątego roku życia Darek wychowywał się w jednej z najdalszych baz naukowych w układzie słonecznym. Skończył zdalnie ziemską podstawówkę i uważał Ganimeda za swoją ojczystą krainę, część Wielkiej Ziemi.

Powołanie się na pamięć ojca przesądziło sprawę. Darek nie powiedział już słowa na temat swego stryja.

W tydzień później przyleciał Adam. Chłopiec przyjął go godnie, chłodno i uprzejmie. To znaczy, postanowił sobie, że tak go przyjmie. W praktyce okazało się to zupełnie niemożliwe. Adam bowiem najpierw obejrzał go ze wszystkich stron, stwierdzając, że podobnej mały na ekranie nikt nigdy jeszcze nie widział i że chociażby dzięki temu film będzie wstrząsający, a następnie niespodziewanie podrzucił go pod sam sufit kabiny, wołając:

— Hura, chlubo rodziny!

— Daj spokój — mitygowała reportera uśmiechnięta Alicja.

— Nie mogę! — zakrzyknął Adam. — Jestem zbyt dumny. Gwiazdorze! — Położył rękę na sercu i perorował z patosem: - Niech promyk twej sła wy padnie i na mnie! Choć jeden, najmniejszy pro-myczek...

Po czym, ku całkowitemu zaskoczeniu osłupiałego chłopca, puścił się w szalony, gorączkowy taniec. Skacząc, podrygując, waląc nogami o podłogę wyjaśniał równocześnie zdyszonym głosem, że jest to taniec triumfalny pewnego plemienia afrykańskiego, który zdobył nagrodę "Czarnej Maski" na ostatnim festiwalu folklorystycznym w Kenii.

Szanowany powszechnie dziennikarz długo jeszcze szalał w najdziwniejszych wygibasach, by następnie z szybkością błyskawicy rozstawić w kabinie swoją aparaturę reporterską i przeprowadzić dla Te-vopresu pierwszy wywiad z przyszłym gwiazdorem. O tym, co Darek mówił w czasie tego wywiadu, nikt nigdy nie zająknął się bodaj słowem. Ludzie potrafią czasem okazać miłosierdzie nawet wybrańcom losu.

Dalej wszystko potoczyło się jak we śnie. Adam zabrał Darka na Ziemię, gdzie wytwórnia filmowa od razu przystąpiła do kręcenia wstępnych scen. Opowiadały one o dzieciństwie bohatera. To filmowe dzieciństwo Darka było trochę dziwne. Według scenariusza miał on bowiem grać rolę chłopca wychowanego na Ziemi w skrajnie cieplarnianych warunkach. Miał mieć usposobienie ciche i przejawiać jedynie skłonność do naukowych dociekań. Takiego właśnie bohatera postanowiono w filmie przenieść na jakiś niestychanie daleki i nie mniej dziki glob. Tam spotka dziewczynę wychowaną na stacjach satelitarnych, w kabinach gwiazdodotów i w najdalszych zakamarkach kosmosu. Dziewczynę, dla której prowadzenie rakiety lub samotna podróż w skafandrze przez głowicę komety miały być czymś tak zwyczajnym, jak dla filmowego Darka ścieżynki w ziemskim rezerwacie. Tej swojej partnerki chłopiec dotąd nie widział, bo sceny obrazujące ich dzieciństwo, tak bardzo przecież różne, kręcili osobno. Wiedział tylko, że ma na imię Sonia i, żeby było śmieszniej, nigdy nie wy-ściubiła nosa poza Ziemię. Powiedziano mu także, że dziewczyna przebywa w bazie budowniczych nowego miasta w obszarze planetoid. Teraz właśnie miało dojść do ich spotkania. Prawdziwego, a następnie filmowego.

Rakieta wioząca Adama i Darka dobijała już do stacji budowniczych, jej konstrukcja stale powiększała się za iluminatorami. I właśnie w tym momencie Adam poprosił "chlubę rodziny", by zechciała sobie obejrzeć teren swoich przyszłych sukcesów aktorskich. Które to

zaproszenie, jak już wiadomo, acz bez zadowolenia — przecież jednak zostało przyjęte. Darek postąpił stryjowi kose spojrzenie, ale posłusznie przytknął nos do sąsiedniego iluminatora.

— Taka mała! — mruknął pogardliwie. Adam zaśmiał się głośno.

— Nie zdążyli zbudować większej, by godnie przyjąć szanownego gwiazdora — powiedziała usługowym tonem. — Należy im się za to reprimenda. Ale starają się — usprawiedliwiał twórców stacji — to maleństwo jest przecież tylko czymś w rodzaju biura konstrukcyjno-projektowego. Jego załoga zajmuje się budową nowego kosmicznego miasta dla stu tysięcy mieszkańców. Czy wielkość takiego obiektu uznamy za wystarczającą, czy też mam w imieniu gwiazd ekranu zażądać rozbudowy miasta... powiedzmy, do pół miliona?

Ktoś w tylnych rzędach foteli zachichotał. Tego było już Darkowi za wiele.

— Drogi stryju — odezwał się najdonośniej-szym i najgrubszym szeptem, na jaki tylko udało mu się zdobyć — czy musisz się wygłupiać?

Chichot ucichł jak ucięty nożem. Martwą ciszę przerwał po chwili głos Adama.

— Czasem muszę — westchnął z ubolewaniem. Nagle, nie odrywając nosa od szyby, wybuchnął swoim zwykłym, zdrowym śmiechem. Statek zadygotał, jakby pilot dostał ataku czkawki.

— Go! — zakrzyknął słynny reporter.

— Co chciałeś przez to powiedzieć? — zainteresował się uprzejmie Darek.

— To miało znaczyć — jeden :zero. Dla ciebie — wyjaśnił Adam. — A teraz patrz, gamoni, bo dobijamy i za chwilę będzie za późno.

Darek chętnie podtrzymałby tę tak obiecującą rozmowę, ale stacja rzeczywiście była tuż-tuż i nie miało sensu tracić jedynej być może okazji, żeby ją sobie obejrzeć. Poprzestał więc na tym częściowym zwycięstwie, nieco tylko osłabionym owym "gamonem", i na powrót przywarł twarzą do szyby iluminatora.

Stacja była rzeczywiście nieduża. Nieduża, ale dziwna. W niczym nie przypominała nie tylko dwóch pierwszych osiedli pozaziemskich, Leonarda i Błękitnej, ale nawet zwykłych, istniejących w przestrzeni załogowych laboratoriów. Jej niezhar-monizowane przybudówki i platformy, sterczące beładnie kratownice, skośne lądowiska i ogromne, jakby portowe wysięgniki sprawiały wrażenie czegoś surowego i obcego. Z czerni kosmosu wynurzały się ażurowe dźwigary, kopulaste bryły z ryzami włazów. Darek zrozumiał, dlaczego tę właśnie stację — biuro konstrukcyjno-projektowe, jak powiedział Adam — postanowiono uczynić miejscem akcji ich filmu. Ten obiekt rzeczywiście gotów był wzbudzić jakąś grozę u ziemskich mieszczuchów. Na nim naprawdę mogły się rozgrywać najdziwniejsze przygody, od biedy mógł nawet udawać twór obcej cywilizacji.

Ostatnią rzeczą, jaką chłopiec zauważył, była krawędź niewielkiej platformy z wystającymi szczękami elektromagnesów, po czym za iluminatorem nastąpiła noc. W kabinie statku natomiast zapłonęły wszystkie lampy. To światło dało znać pasażerom, że zawinęli do portu.

Idąc już w stronę otwartej śluzy, Darek spojrzął na zegarek. Według ziemskiego czasu była siódma rano. Tutaj, rzecz jasna, nic to nie mówiło. Chłopiec gdziekolwiek się znalazł, dostosowywał się od razu do czasu miejscowego, co u kogoś wychowanego na obiektach pozaziemskich było normalnym odruchem. Dlatego zaraz po wejściu do przedsiönka stacji spytał odwracając głowę;

— Która godzina?

— Skąd mam wiedzieć — odpowiedział Adam.

— Jest trzynaście minut i siedem sekund po piątej... osiem sekund...

— Dziękuję — powiedział Darek, zwracając się z uprzejmym gestem w stronę automatu z pomarańczową, połyskującą lampkami głową.

— ...dziewięć sekund — zdążył jeszcze wymówić automat, zanim zrewanżował się chłopcu skinieniem poświęcającej głowy. Następnie powiedział:

— Proszę. Witamy na stacji. Czy przybysze znają drogę do swoich kabin?

Adam z Darkiem przystanęli i rozejrzeli się dokoła. Oprócz nich w kiszkowatym korytarzu nie było żywego ducha. Tylko oni dwaj wysiedli ze statku, który już ruszał w dalszą drogę, o czym świadczyła szczelnie zamknięta kłapa śluzy.

— Przybysze nie znają — oświadczył w końcu Adam; zwracając się do pomarańczowego.

— Kogo mam przyjemność witać? — spytał niezmiennie uprzejmym tonem automat.

— Adam Ryska.

— Darek Ryska.

Słowa te padły równocześnie. Pomarańczowemu nie sprawiło to jednak najmniejszej różnicy. Po-milczał chwilę, pozwalając tylko żywiej błyskać swoim kolorowym lampkom, po czym nagle jakby się ocknął.

— Pan Adam Ryska i pan Darek Ryska proszeni są do dużej pracowni projektowej. Panowie pozwolą, że pójdę przodem — automat ponownie skłonił głowę i wolno potoczył się w głąb koryt-

rza.

Adam i Darek spojrzeli po sobie, po czym ruszyli za nim.

— To tutaj — oświadczyła pomarańczowa głowa, otwierając któreś z rzędu drzwi. — Panowie zechcą wejść, a gdyby wewnątrz nie było jeszcze nikogo, uprzejmie proszę chwilę poczekać. Dziękuję za towarzystwo.

— Czy on tak musi? — bąknął Adam, wchodząc do tonącej w półmroku wielkiej sali.

— To tylko automaty pomocnicze — wyjaśnił Darek tonem bywalca. — Robocze są bardziej rzeczowe.

— Dziękuję za pouczenie — zaśmiał się Adam i rozejrzał się po pomieszczeniu, do którego przyprowadził ich superuprzejmy pomocniczy. Nie znalazł tu jednak widać nic godnego uwagi, bo nagle odwrócił się do Darka, ciągle jeszcze tkwiącego w dość bezradnej postawie przy wejściu.

— Poczekaj tu chwilę — zaproponował z na-głym ożywieniem — a ja rozejrzę się trochę i zaraz wrócę. Jest niby wcześniej, ale ktoś przecież musi czuwać. Jakiś dyspozytor czy ktoś w tym rodzaju. Tylko chwileczkę — zapewnił jeszcze, po czym klepnąwszy chłopca lekko po ramieniu, przemknął obok niego i zniknął w korytarzu.

Darkowi niezbyt uśmiechała się perspektywa spędzenia „chwileczki” w tej nieznaney, mrocznej hali, ale nic nie powiedział. Zresztą, zanim się opamiętał, na jakąkolwiek interwencję było za późno.

Piętnastoletni mężczyzna, Ziemiańin, obywatel Ganimeda, przyszły badacz obszarów granicznych układu słonecznego, a chwilowo aktor filmowy — nie traci jednak zimnej krwi dlatego tylko, że dookoła jest ciemno i pusto. Toteż Darek nie zastanawiał się długo, zacerpnął głęboko powietrza i śmiało wkroczył do wnętrza sali. Przy czwartym czy piątym kroku potknął się o jakiś leżący na podłodze kabel, na skutek czego oddalił się od wejścia nieco szybciej, niż wymagały tego okoliczności. Wymachując ramionami, żeby odzyskać równowagę, uderzył dłonią o twardy przedmiot, jakby zawieszony na linie lub umieszczony na wysokim statywie. Zabolalo. Ale natychmiast zapomniał o bólu i, tylko odruchowo rozcierając stłuczone miejsce, utkwiał wzrok w przeciwległym ro-gu sali.

A było na co patrzeć. Potrącając ten niewidoczny w mroku przedmiot, musiał niechcący uruchomić jakiś przekaźnik albo po prostu włączyć kontakt. W każdym razie jeden z narożników wielkiej sali stanął raptem w jaskrawym blasku reflektorów. Ich światło biegło po kabinie obitej czymś, co przypominało srebrzysty, miękki atlas, lśniło w owalnych okienkach, wyostrzało sylwetkę jakiejś aparatury o dziwnie zaokrąglonych kształtach, wreszcie spływało na rozłożyste nadmuchiwane fotele wykonane z przezroczystej folii. Za tymi fotelami stał półokrągły stół, coś w rodzaju pulpitu czy baru, a na nim...

Darek odruchowo postąpił kilka kroków do przodu. Te buteleczki z koła, wysmukłe szklanki, kolorowe pojemniki z kanapkami, lodami i ciasteczkami wyglądały doprawdy bardzo apetycznie.

Idąc jak zahipnotyzowany w stronę czarodziejskiego stoliczka, Darek w pewnym momencie pochwycił kątem oka zarysy czyjejs nieruchomej postaci stojącej na granicy cienia. Zatrzymał się natychmiast. A więc jednak nie jest tutaj sam. Przestraszył się, że nieznamy wyczytał z jego twarzy, jak bardzo przypadł mu do gustu widok nakrytego stołu, i postanowił natychmiast zatrzeć to wrażenie. Zwrócił się do majaczącej w mroku sylwetki i powiedział uprzejmym tonem:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest. Nazywam się Darek Ryska.

Podszedł do obcego i odruchowo wyciągnął dłoń, żeby się z nim przywitać. Powstrzymał go gruby, chrapliwy głos:

— Dzień dobry. Nie mogę podać ręki. Nie jestem pełnym androidem. Maro tylko głowę i korpus eksperymentalnego automatu pomocniczego.

Darek był już na tyle blisko, że mógł dokładniej przyrzeć się mówiącemu. Ale i tak zorientował się, z kim ma do czynienia, jak tylko tamten wymówił pierwsze słowo. Z automatami chłopiec był od dawna za pan brat. Na Ganimedzie rzadko jednak spotykało się roboty człekokształtne, androidy, nawet jeśli miały tylko głowę i korpus podobne do ludzkich. Zimno mu się zrobiło na samą myśl, że ten automat mógł w normalny, ludzki sposób odpowiedzieć na jego powitalny gest. Przyjrzał się uważnie wieloczynnościowym kleszczom sterczącym z rękawa niby długie, zakrzywione szpony i postanowił sobie w duchu, że odtąd nie będzie tutaj do nikogo pierwszy wyciągał ręki.

— Przywitałeś się z automatem? — usłyszał nagle za sobą znajomy, wesoły głos. Odwrócił się i mimo woli odetchnął z ulgą. Kamerzysta Bo Ytterby, z którym Darek zawarł już bliższą znajomość na Ziemi podczas kręcenia pierwszych scen filmu, wyłonił się z mroku i podszedł do chłopca.

— Cześć — powiedział uśmiechając się zachęcająco. — Po uroczystościach powitalnych zechcesz może teraz coś przekąsić — wskazał lśniący w świetle reflektorów stół.

Darek prześliznął się spojrzeniem po młodej, opa-lonej twarzy filmowca i postanowił nie dać się prosić.

— Chętnie — mruknął ruszając żwawo z miejsca.

Z nie mniejszą energią sięgnął do pierwszego z brzegu pojemnika, w który ktoś włożył smakowicie wyglądające kanapki i... musiał znowu gwałtownie zamachać ramionami, żeby nie upaść. Jego

dłoń przygotowana na spotkanie z pysznościami spoczywającymi na solidnym, choć dziwnie eleganckim stole, przeszła bowiem powietrze. Równocześnie — za plecami Darka — Bo eksplodował w napadzie nieposkromionej wesołości. Chłopiec wyprostował się z godnością.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — wycedził przez zęby.

Ytterby jakby tylko na to jeszcze czekał. Jego śmiech odbił się gromkim echem od ścian ogromnej sali.

— Nic za-baw-ne-go — wykrztusił z trudem. — Cha! cha! cha! Chciał zjeść atelier! To mi dopiero artysta! Nic zabawnego! Cha! cha! cha!

Darek odwrócił z niesmakiem oczy od widoku ślaniającego się na nogach kamerzysty i ponownie, już bardziej trzeźwo, chociaż nie bez pewnego żalu, utkwiał wzrok w pięknie nakrytym stole. Atelier? Tak, oczywiście... Przecież takie bajecznie kolorowe ściany niby to obiektów pozaziemskich, ta-kie "piękne" fotele, atłasy i w ogóle lśniące, opływowe sprzęty widuje się tylko na filmach! A dawno już minął czas, kiedy to, aby nakręcić na przykład scenę rozgrywającą się w miasteczku na Dzikim Zachodzie, trzeba było zbudować całe takie miasteczko, choćby tylko z drewna i tektury. Dziś scenografię zastępuje fotografia przestrzenna. To znaczy wyświetlanie takich trójwymiarowych fotografii. Darek przecież, podobnie jak wszyscy ludzie, miał stale do czynienia z hologramami, a także holowizją. Innych filmów niż trójwymiarowe po prostu nie było, i to od niepamiętnych czasów. Krótko mówiąc, zamiast pięknej kabiny, stołu i kanapek miał teraz przed sobą tylko fotograficzną scenerię jakiegoś fragmentu filmu, w którym sam grał jedną z głównych ról. Że też dał się tak nabrać!

— Zgaś to — burknął odczekawszy, aż Bo wyśmiej się do syta. — A w ogóle — dodał —

tutaj musi być tak ciemno?

— Nie musi — odpowiedział wesoło zagadnięty. Nie przestając się uśmiechać potrzęsął głową, odgarnął długie jasne włosy, które opadły mu na oczy, po czym podszedł do jakiegoś urządzenia i przekreślił kontakt. Atłasowa kabina z jej okienkami, nadymanymi fotelami i stołem zastawionym smakołykami zniknęła jak zdmuchnięta. Równocześnie całą salę zalało jasne, łagodne światło.

— To nasz warsztat — Bo Ytterby zatoczył dłonią łuk, prezentując pomieszczenie. — Tutaj

nakręcimy kilka ujęć. Przede wszystkim wasze spotkanie z Sonią. Potem... — urwał i uśmiechnął się zagadkowo.

Darek nie znał dokładnie scenariusza, ale domyślał się, że potem przyjdzie kolej na ciekawsze zdjęcia. Starty rakiet, sceny w kosmosie, na jakichś nieznanych globach. W tej chwili jednak chłopiec nie zastanawiał się nad swoją rolą. Korzystając z tego, że Bo nareszcie zapalił światło, rozglądał się ciekawie po ich nowym atelier. Teraz sala nie wydawała się już tak przestronna, jak przed chwilą, kiedy tonęła w półmroku. Pamiętając jednak o niewielkich rozmiarach całej stacji, Darek i tak był pewien, że znajduje się w najobszerniejszym pomieszczeniu, jakie ma do dyspozycji tutejsza załoga. Tutaj pewnie przygotowywano projekty poszczególnych dzielnic, poziomów i urządzeń nowego kosmicznego osiedla, o czym świadczyły odsu-

nięte teraz pod ścianę deski kreślarskie, pulpity robocze, kalkulatory i inne aparaty. Chłopiec wyobraził sobie, jak bardzo pracujący tu architekci musieli być zachwyceni z powodu przeprowadzki do innych, zapewne znacznie ciasniejszych pokoi. A przecież to, co oni robili, to było naprawdę coś, nie jakaś tam zabawa w przygodowy serial dla młodzieży.

Właśnie otwierał usta, żeby podzielić się z Bo ostatnią swoją myślą, kiedy na salę wtargnął ja-kiś stwór. W pierwszej chwili Darek pomyślał, że ma przed sobą rozregulowany automat pracujący na przyśpieszonych obrotach. Ale to nie był automat. Tak całkowicie bez sensu mógł zachowywać się -tylko przedstawiciel pewnego żywego gatunku zamieszkującego układ słoneczny.

— Gdzie jest Lwizwis?! — kwiknął stwór, nacierając na Darka pękatym brzuchem wciśniętym w lśniąca, fioletową kurteczkę,

Chłopiec odruchowo cofnął się, a że dotąd nie zdążył zamknąć ust (otwartych dla wyrażenia ubolewania nad niedolą architektów), więc tym bardziej teraz nie znalazł powodu, by zamknąć je na powrót.

— Znowu jakiś ogłupiały automat — jęknął fioletowy, zwracając się z kolei do Bo, który jednak przezornie umknął za najbliższą stojącą statyw kamery.

— Lwizwis! Lwizwis! — głos brzuchacza był piskliwy i brzmiała w nim ostateczna rozpacz. Dziwnie nie zgadzał się ten głos z wielką i łysą jak kolano głową wołającego, z jego twarzą, jakby skazaną na wieczne zatroskanie, i z całą sylwetką, niewysoką, lecz zwalistą i przypominającą zniekształcone osobliwie jajo wsparte na dwóch laskowych orzechach.

— Wszystko się wali! — wrzasnął żałośnie, po czym niespodziewanie ruszył pełnym biegiem prosto w kierunku chłopca. — Z drogi, nędzny robocie! — wykrzyknął przelatując obok Darka, który w ostatniej chwili iście boksemerskim unikiem uratował się przed katastrofą.

— Lwizwis! Lwizwis! — zapiszczało oddalające się echo w korytarzu.

Po dłuższej chwili chłopcu udało się zamknąć usta. Nie mniej czasu potrzebował, żeby otworzyć je znowu.

— Co to było? — spytał ostupiały. Bo, krztusząc się ze śmiechu, wylaż ostrożnie zza kamery.

— Nie co, tylko kto — odpowiedział z udaną naganą w głosie. — Nasz nowy kierownik produkcji. Nazywa się Knut Werwus i uważa, że jest w naszej ekipie jedynym człowiekiem odpowiedzialnym. — Bo nadał się, wzniosł wskazujący palec t, naśladując głos grubasa, wyrecytował: — Jeśli wiecie, co to znaczy być człowiekiem odpowiedzialnym m...

Darek rozchmurzył się. Przedwcześnie. W korytarzu zabrzmiał szybki tupot nóg i do sali ponownie wpadł Werwus. Biegł, zmierzając ku przeciwnemu wejściu, i nieszczęście chciało, że chłopiec znowu znalazł się na jego drodze.

— Tam go nie ma! — pisnął człowieczek. — Znowu tu jesteś?! — natarł na Darka. — Te automaty pętają się po całym tym zwariowanym pudle, które tylko patrzeć, jak rozsypie się na sto tysięcy-tyś śrubek!

W tym momencie zauważył Bo, który — zaskoczony — nie zdążył wleźć za kamerę.

— A ty co tu robisz?! — ofuknął go grubas. — Jeszcze jeden automat!

Wzniosł oczy do góry, ale natychmiast je opuścił, jako że ani przez chwilę nie zwolnił tempa biegu, a na podłodze walały się najrozmaitsze kable.

— Powiedzmy, niezupełnie automat — sprostował łagodnie Bo.

— Cicho bądź, stara konserwo! — zgromił go już od drzwi kierownik produkcji.

Tego było za wiele. Sala rozbrzmiała zgodnym dwugłosem, w którym "cha! cha! cha!" kamerzysty musiało chwilami uznać wyższość historycznego-go "hi! hi! hi!" przyszłego gwiazdora holowizji. Werwus zahamował raptownie i cisnął im z głębi korytarza:

— Automaty się nie śmieją! Automaty pracują! Przeklęte nieroby!

Wypuściwszy tę strzałę, która zamiast ostatecznie zmiażdżyć parę zuchwalców przyprowadziła ich o nowe konwulsje śmiechu, grubas zniknął im z oczu. Skądś, z daleka, dobiegło po chwili cieniutkie:

— Lwizwis! Lwizwis!...

Darek otarł łzy, po czym nagle spowaźniał. Przyszło mu na myśl, że filmowcy zdążyli się już zdomowić w tej stacji.

— Jak długo tutaj jesteś? — spytał. Bo wzruszył lekceważąco ramionami.

— Przylecieliśmy przedwczoraj. Lwizwis, Grath, Werwus i ja. No i, rzecz jasna, Sonia. Dzisiaj zabieramy się serio do roboty. Tak przynajmniej zapowiedział Lwizwis.

— Kto to jest?

— Nie wiesz? Główny reżyser naszego serialu. Tylko pierwsze sceny kręcił w jego zastępstwie operator Patka. Z kolei dzieciństwo Soni filmował także ktoś inny. Reżyser postanowił osobiście kierować zdjęciami dopiero od sceny waszego spotkania. Aha — przypomniał sobie — Patki nie będzie.

Darek zmarkotniał. Starszy, dobrotliwy pierwszy operator wytwórni umiał oddziaływać kojąco na sterowanych aktorów, nie mówiąc już o kimś, kto ewentualnie miał dopiero zostać aktorem. W każdym razie chłopiec zdążył się do niego przyzwyczaić.

— Czemu? — spytał smętnie.

— Ma grypę - odpowiedział Bo. — Zamiast niego przyleciał drugi operator, Joe Grath.

Darek odniósł niejasne wrażenie, że wymawiając to nazwisko, Bo Ytterby lekko się skrzywił. Ale mogło mu się tak tylko zdawać. Zresztą po chwili znowu odbiegł myślą od wszystkich kwestii zwią-zanych z jego tak niespodziewaną filmową karierą.

— Czy tutaj naprawdę jest tak dużo automatów? — spytał, odruchowo wędrując spojrzeniem ku nieruchomej postaci z kleszczami zamiast dłoni.

Bo uśmiechnął się.

— Może nie aż tyle, jak to sobie wyobraża Werwus — powiedział pogodnie — ale cała załoga stacji liczy zaledwie kilkanaście osób. To przecież teren budowy. Miasto wznoszą maszyny, a ludzie tylko koordynują i nadzorują ich pracę. Muszą mieć stosunkowo więcej automatów niż ci na Leonardzie czy Błękitnej.

— Błękitna — powtórzył Darek w zamyśleniu. —

Podobno piękne miasto?

Bo pokiwał głową.

— Jak na mój gust za duże. To znaczy wolę ziemskie miasta, jeśli już mają te trzydzieści tysięcy mieszkańców. Ale wszyscy, których tam spotkałem, są Błękitną zachwyceni.

— Byłem na Leonardzie — powiedział po chwili chłopiec.

Mimo woli stanęła mu przed oczami ta podróż z mamą i... ojcem. To było krótko przed jego śmiercią. Ojciec opowiedział mu wtedy historię budowy Leonarda, pierwszego sztucznego osiedla krążącego wokół Ziemi. Zaprojektowano je dla tysiąca mieszkańców. Drugie kosmiczne miasto, Błękitna, powstało już na orbicie wokółmarsjańskiej i stanowiło bazę wypadową na tę interesującą planetę — z jej kopalniami, zdalnie sterowanymi fabrykami, rezerwatami przyrodniczymi i małymi osadami naukowców. Teraz budowano to trzecie, znowu dalej od macierzystej planety ludzi, między Marsem a Jowiszem, czyli w obszarze planetoid. Nie chciano zbytnio zagęszczać przestrzeni wokół Ziemi, tym bardziej że obsługa szlaków raketowych już. i tak z największym trudem radziła sobie z rosnącym nieustannie ruchem.

— Leonardo, Błękitna... A jak będzie się nazywać to nowe miasto? — spytał Darek, otrząsnąwszy się z niewesołych wspomnień.

— Jeszcze nie wiadomo — odpowiedział Bo. — Na Ziemi rozpisano konkurs na najładniejszą nazwę. Kto wie — uśmiechnął się — może użyczy mu swego imienia któryś z bohaterów naszego filmu? Darek Ryska. Jakby ci się to podobało? Gdzie mieszkasz? Na

Darku. Czy może powinno się mówić: w Darku? — zasumował się.

Chłopiec chciał odpowiedzieć, że jeśli księżyc Jowisza może nosić nazwę Io, to aż się prosi, by któryś ze sztucznych satelitów ochrzcić równie lapidarnym: Bo, ale nie zdążył. W korytarzu zabrzmiały zmieszane głosy i po chwili w drzwiach ukazała się potężna sylwetka starszego mężczyzny z bujną siwą czupryną, a za nim... za nim... Krótko mówiąc, za nim kroczyło zjawisko. I to olśniewające.

Złocista blondynka w białej, powiewnej bluzeczce skrojonej w stylu kosmicznym i króciuteńkiej spódniczce. Długie, opalone nogi, o jakich mogą tylko marzyć dziewczęta, które nie wygrywają konkursów na główne role w filmach. Twarzyczka zjawiska miała wyraz podobny do tego, który Darek zapamiętał z wycieczki do muzeum, kiedy to nauczyciele pokazywali im, jak starożytni wyobrażali sobie istoty nieziemskie (oczywiście w innym znaczeniu tego słowa, niż bywa ono używane teraz).

Niewinna buzia — z dużymi, błękitnymi oczami, nieco, ale tylko nieco, zadartym noskiem i wykrojonymi jak u prawdziwej gwiazdy ustami — była już całkiem blisko, kiedy chłopiec oprzytomniał na tyle, żeby dostrzec także innych przybyłych. Za dziewczyną i siwym olbrzymem podążała młoda kobieta oraz wysoki, chudy mężczyzna z rzadkimi, rudawymi włosami. Orszak zamykała dziwnie przygarbiona i niepozorna postać. Był to mężczyzna niezbyt nawet stary, ale o wyblakłej, jakby wymiętej twarzy i smutnych, przymglonych oczach.

— Dzień dobry, Ziemiannie — zabrzmiał przed Darkiem bas należący do swego. — No, poznajcie się.

Chłopiec przyjrzał się mówiącemu. Spod bujnych, niesłychanie rozrośniętych brwi patrzyły uśmiechnięte, piwne oczy, ich spojrzenie podnosiło na duchu. Śmielej już przeniósł wzrok na anielskie zjawisko. Idący z tyłu zatrzymali się i nastąpiła cisza. Miała oto nastąpić Wielka Chwila, czyli wzajemna prezentacja pary bohaterów filmu.

— Dzień dobry — wykrztusił Darek. Gdy tylko usłyszał swój głos, zrozumiał, że nie stanął na wysokości zadania. Zupełnie jakby w jego gardle zamieszkał młody gawron i teraz akurat postanowił obwieścić światu o swym istnieniu.

Zjawisko uniosło nieskończenie wdzięcznym ruchem prawą rączkę i wskazało chłopca długim, wysmukłym palcem.

— To on? — padło z malowanych usteczek. — Pni... — Temu ostatniemu dźwiękowi towarzyszył gest zgoła nieanielski.

Darek, ściągnięty nagle z obłoków na ziemię, poczuł, że ta ziemia, jeśli można tak powiedzieć o podłodze konstrukcji zawieszanej między Marsem a Jowiszem, usuwa mu się spod nóg. Równocześnie jednak zaczął w nim narastać bunt. "Jeśli ktoś tak wygląda — pomyślał — to ma obowiązek zachowywać się, jakby naprawdę był uosobieniem wszelkich możliwych cnót".

— On — przytaknął gwałtownie. — A co — dodał zaczepnie — nieładny? W głębi sali ktoś parsknął i natychmiast umilkł. Dziewczyna jakby teraz dopiero raczyła przyjąć do wiadomości, że stojący przed nią chłopiec jest żywą istotą. Uniosła, odrobinę główkę. W jej błękitnych oczach odmalował się wyraz pewnego zaciekawienia.

Darek nie przeceniał własnej urody. Doskonale zdawał sobie sprawę, jaki widok ma teraz przed tymi bajecznymi oczętami złotowłose zjawisko. Mimo to przybrał wyzywający wyraz twarzy. Niech patrzy. Mężczyzna nie musi być piękny. Zupełnie wystarczają mu kasztanowe włosy, które tylko "życzliwi" koledzy nazywają rudymi, szare oczy umiejące wypatrzeć statek kosmiczny, wtedy kiedy inni widzą go jeszcze tylko na ekranach, nos, niechby nawet zadziorny, ale bądź co bądź niepodobny do kartofla, usta wystarczająco szerokie, żeby uśmiechnąć się prawdziwym, nie aktorskim uśmiechem, a także podbródek, dostatecznie męski, by tej cennej cechy nie osłabiła tkwiąca w samym jego środku okrągła dziurka. Jeśli chodzi o wzrost, wystarczyłoby nawet mniej niż te sto siedemdziesiąt sześć centymetrów, które ponad wszelką wątpliwość nie są jeszcze jego ostatnim słowem. Co do nóg — wyglądałyby zapewne inaczej niż jej, gdyby włożył taką kusą spódniczkę. Ale po pierwsze, nigdy nie będzie nosił kusej spódniczki, a po drugie, te nogi były dostatecznie dobre, kiedy przyszło reprezentować Rejon Wielkich Planet na dorocznych międzyszkolnych zawodach. A reszta? Co za reszta? Ręce ma najwyżej o kilka milimetrów dłuższe, niżby to wynikało z proporcji przewidzianych przez atlas anatomiczny. Jego ramiona rozrosną się, nie za rok, to za dwa. Już teraz niewiele

im brakuje. Garbu nie ma. Brzucha też. W każdym razie takiego, żeby go musiał wciągać na plaży. Proszę bardzo. Niech patrzy. W końcu filmowcy wybrali akurat jego, dokładnie tak samo jak ją. A nie zależało im przecież, żeby główną rolę, rolę jej partnera, powierzać potworowi.

Czy to pod wpływem podobnej myśli, czy może tylko w wyniku nagłego przyływu łagodności — dziewczyna nagle zatrzepotała rżęsami i zrobiła pół kroku w stronę chłopca. Na jej twarzyczce pojawiło się jakby odległe wspomnienie dawno zagubionego uśmiechu.

— Jestem Sonia — powiedziała wyciągając do Darka rękę, którą zresztą natychmiast cofnęła, kiedy tylko poczuła na niej muśnięcie jego palców.

— Darek Ryska — wybąkał chłopiec zbity z tropu zmianą w zachowaniu partnerki. Sonia skinęła główką.

— Zobaczmy, czy będzie nam się dobrze razem pracowało — oświadczyła kładąc akcent na tym ostatnim słowie. Zupełnie jakby chciała dać do zrozumienia, że ich wspólna filmowa przygoda dla niej jest czymś więcej niż tylko przygodą. A i to także, że jako aktorka na razie akceptuje par-taera-amatora, swoją zgodę na to, aby z nim zagrać, odkładając na później, do czasu kiedy przekona się, czy jej nie skompromituje,

W Darku krew ponownie zaczęła się burzyć. Wielka Chwila wzajemnej prezentacji została jednak uratowana, choć w dość nieoczekiwany sposób.

— Lwizwis! — zabrzmiał z głębi korytarza piskliwy głos. — Lwizwis!

Tym razem okrzyk ten zadźwięczał wręcz triumfalnie. Wołający wpadł bowiem do sali i ujrzał tropioną przez siebie zwierzynę w całej jej okazałości.

— Lwizwis! — rozległo się jeszcze raz, po czym lśniąca czaszka grubasa przypadła do piersi reżysera.

Ten cofnął się przezornie, ale nie dość szybko. Pulchne palce kierownika produkcji wpiły się w luźny, popielaty sweter Lwizwisa i jęły go gorączkowo tarłosić.

— Szukałem cię wszędzie! — Werwus wyrzucał z siebie słowa z szybkością komputera powtarzającego tabliczkę mnożenia. — Byłem także tutaj, ale stale wchodziły mi w drogę jakieś automaty. Słuchaj, Lwizwis... O, one są tutaj! — wzrok grubasa przemknął z odrazą po postaci Darka. — Idź sobie! — zamachał ręką w stronę chłopca, na moment uwalniając sweter reżysera. — Wiesz — wrócił do swojej ofiary — nie przywieźli tych obiektywów fantomatycznych. Przetrzęsnałem wszystkie pojemniki, nie ma! Nie ma! Rozumiesz, Lwizwis?! Nieszczęście! Zwłoka! Dwa miesiące starałem się o pozwolenie! Wszystko na nic! Nie będzie filmu! Nie będzie zdjęć!

Przerwał, aby zaczerpnąć tchu, wyciągnął z kieszeni wielką białą chusteczkę i otarł nią spocone czoło. Wykorzystał to Lwizwis, by odsunąć się od roztrzęsionego Werwusa na bezpieczną odległość.

— Jakie automaty? — spytał grubym głosem. — Czy ty jesteś chory, Knut?

— Może chory, może chory — zgodził się gorączkowo Werwus. — Ale tych obiektywów nie ma. Automaty? No, a to co? — rozejrzał się po sali. — O, jest Bo. Widzisz, Bo, wszystko na nic. Jak to: jakie automaty? A ten? — przeszył Darka straszonym spojrzeniem.

— To odtwórca głównej roli w naszym filmie — padła odpowiedź. — Poza tym nie byłeś łaskaw zauważyć jego partnerki, jej uroczej opiekunki, naszego głównego operatora i pana Mammei.

Werwus zmieszał się na chwilę, ale zaraz odzyskał równowagę i, stanąwszy na palcach dla dodania sobie powagi, zawołał podniesionym głosem:

— Wszystko przygotowane! Proszę projekcję scenografii! Reflektory! Kamery! Rekwizyty! Kostiumy! Ty tu — rzucił się w stronę Darka i chwytając go za ramię, wskazał róg sali, gdzie kilka minut temu wabił oko stół z przeźroczystymi fotelami, a gdzie teraz wszystko było tak idealnie przeźroczyste, że aż niewidoczne. — Ty na drugim fotelu — utkwiał wskazujący palec w jasnej twarzyczce Soni, która przybrała wyraz, jakby połknęła właśnie plasterek kwaśnej cytryny. — Pomiedzy wami automat. Proszę, kiedy są potrzebne, to ich nie ma! — wykrzyknął triumfalnie. — Hej, ty tam — zwrócił się rozkazująco do milczącej postaci pod ścianą — idź i przyprowadź jakiegoś robota. No, już, już!

Wezwany wydając osobliwe, metaliczne dźwięki, zbliżył się do zgromadzonych i pozdrowił grubasa ręką zaopatrzoną w automatyczne chwytaki.

— Co to za kawały?! — zirytował się Werwus. — Aha, jesteś — przeszedł do porządku nad swoją pomyłką. — To dobrze. Będziesz siedział między dziewczyną a chłopcem. Nie, co ja mówię — złapał się za głowę — chłopiec dopiero przyjdzie. Przyjdzie, powie "dzień dobry" i będzie chciał się z tobą przywitać. Ty mu odpowiesz, że nie możesz podać człowiekowi ręki, a dziewczyna się roześmieje. Rozumiesz? Nie szkodzi — odpowiedział sam sobie — wystarczy, żebyś tak zrobił.

— Już to mówiłem — przerwał zgrzytliwym głosem automat. — On wie, że nie mogę podać ręki. Darkowi stanęła przed oczami scena sprzed kilkunastu minut, kiedy wszedł do tej sali, i zachciało mu się śmiać.

— Dobrze, dobrze — Werwus zamachał niecierpliwie chusteczką, której nie zdążył jeszcze umieścić na powrót w kieszeni, a następnie skupił całą uwagę na Darku. — A ty uważaj teraz. Jesteś na stacji kosmicznej, poza układem słonecznym. Znałaś się tam po raz pierwszy w życiu i nie wiesz nic. Za oknami czarno. Kosmos. Gwiazdy. Meteority. Promieniowanie dalekich galaktyk. W strumieniu tego promieniowania głosy, które mogą należeć do obcych istot. Te głosy się zbliżają. Jesteś zagubiony. Boisz się. W tej sytuacji wchodzisz do kabiny. Bo! — głos grubasa wznosił się ponad najwyższe rejestry gamy. — Co z tą scenografią! No — westchnął z ulgą, ponieważ Ytterby, zapewne dla świętego spokoju, zapalił przestrzenne projektory i w narożniku znowu ukazały się atlasowe ściany, urocze mebelki i frykasy na podkowiastym stole. — A więc jesteś tutaj i... — zawahał się. —

Możesz to sobie wyobrazić?

Darek otworzył usta, ale nazbyt chciało mu się śmiać, żeby mógł odpowiedzieć.

— Nic z tego! — grubas złapał się za głowę, z oczywistym zamiarem wyrwania sobie włosów, które jednakże już dawno, jakby w przewidywaniu podobnej ewentualności, opuściły niebezpieczne miejsce. — Lwizwis — ponownie rzucił się rozpaczliwie w stronę reżysera — to na nic! Bez obiektywów fantomatycznych on tego nie zagra! Wizje! Przestrzeń! Perspektywy! Nie! Nie! Wszystko przepadło!

— Przez te obiektywy? — upewnił się podejrzanym łagodnym tonem Lwizwis.

— A przez co?! Nie ma! Nie ma!

— To ich szukaj! — ryknął nagle reżyser. A był to trzeba przyznać, ryk potężny, przy którym piskliwe zawrodożenie grubasa mogło uchodzić za kwilenie niemowlęcia.

Toteż Werwus zareagował błyskawicznie.

— Dobrze — powiedział niemal normalnym głosem. — Chociaż szukałem już chyba wszędzie. Ale, oczywiście, zrobię wszystko...

— Co mnie to obchodzi?! — przerwał mu, nie spuszczając z tonu, Lwizwis. — Kto odpowiada za sprzęt i rekwizyty? Ja? Obiektywy to twoja sprawa! Szukaj tak długo, aż znajdziesz!

— Idę — zatkał grubas.

Rozejrzał się jeszcze po obecnych, jakby szukając u kogoś ratunku, po czym poszedł naprawdę. A raczej swoim zwyczajem wybiegł.

— Zawsze narobi bałaganu — odezwał się rudawcy chudzielec, podchodząc bliżej reżysera. — Zresztą, poradzimy sobie bez fantomatyki, prawda, dzieci?

Sonia wyduła pogardliwie wargi. Darkowi też te „dzieci” nie przypadły zbytnio do gustu, ale zachował obojętny wyraz twarzy.

— Będzie pan miał trochę więcej pracy, Joe — zwrócił się Lwizwis do rudzielca, w którym Darek odgadł operatora przysłanego przez wytwórnię filmową na miejsce Patki.

Przyjrzał mu się dokładniej. Chudzielec miał dziwnie ruchliwą twarz, jakby każdy jej mięsień żył swoim własnym życiem i nie liczył się z sąsiadami. W jego uśmiechu było coś sztucznego. Tak zwykli uśmiechać się do dzieci niektórzy dorośli przekonani o swoim darze „nawiązywania kontakt

tu z młodzieżą”, podczas kiedy naprawdę nie potrafili ani na chwilę oderwać się myślami od własnego, zamkniętego i szalenie poważnego świata. Ale ostatecznie operator nie musi być pedagogiem. Wystarczy, żeby znał się na swojej robocie.

Toteż Darek spojrzał życzliwie na rudzielca i, chcąc do końca rozładować sytuację ciągle jeszcze napiętą po niezbyt fortunnym wystąpieniu Soni i huraganowej szarży Werwusa, powiedział do reżysera:

— Może pan być spokojny, panie Lwizwis. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby obejść się bez tych obiektywów.

Sytuacja istotnie została rozładowana, chociaż w sposób raczej przez chłopca nie przewidziany.

Sala rozbrzmiała gromkim, chóralnym śmiechem. Najgłośniejszy i najgrubiej rechotał reżyser. Dzielnie sekundował mu Bo. Joe i stojąca nieco za nim opiekunka Soni dosłownie zataczali się ze śmiechu. Nawet ów wyblakły, przygarbiony mężczyzna, schowany cały czas za plecami pozostałych, wydał kilka dziwnych, cichych dźwięków, po czym umilkł.

Dłuższą chwilę musiał Darek czekać, zanim ktoś mógł mu wyjaśnić, o co chodzi. Zrobił to wreszcie operator.

— Ten pan nazywa się Lewis — powiedział wskazując na reżysera. — Andrea Lewis. Chyba słyszałeś o nim, bo przecież nakręcił już wiele wspaniałych filmów. Le-wis — powtórzył z naciskiem, nie przestając się uśmiechać.

Darek poczuł, że jego twarz zmienia kolor. Nie przytrafiało mu się to często, ale kiedy już się przytrafiło, odczuwał zawsze nieprzepartą potrzebę natychmiastowego opuszczenia towarzystwa. W tej

chwili jednak w skołatanej świadomości chłopca otworzyła się jakaś klapka i przypomniał sobie, że przecież jego partnerka, to zjawisko, Sonia, także nazywa się Lewis. Sonia Lewis.

— Przepraszam — wydukał — ale czy Sonia... to znaczy, czy pan jest krewnym Soni? Lwizwis, a raczej Lewis odpowiedział przyjaźnie:

— Na razie nie. Lewis to dość popularne nazwisko, jakby się ktoś pytał. Ale nie przejmuj się, bohaterze. Nikt nie nazywa mnie Lewis. To wina tego — wskazał na swoje wybujałe krzaczaste brwi. — A poza tym złośliwi twierdzą, że podczas kręcenia filmu, na planie, ryczę jak lew. No i dlatego któryś bęcwał wymyślił Lwizwisa, co, rzecz jasna, natychmiast się przyjęło. Przywykłem. Możesz mnie tak śmiało nazywać. Ba, nawet to polubiłem i głupio mi, gdy ktoś mówi po prostu: Lewis.

— Co do mnie — odezwała się dziwnie złowieszczym głosem Sonia — uważam przekręcanie nazwisk za zabawę godną jedynie inwalidów umysłowych. Ja przynajmniej — to "ja" zostało wypowiedziane ze szczególnym naciskiem — nie życzę sobie, żeby przekręcano moje nazwisko. Nazywam się Lewis i jeśli ktoś sobie tego dobrze nie zapamięta, potrafię mu to przypomnieć. Poza tym sądzę, że młody człowiek, stawiający pierwsze kroki w filmie, powinien okazać więcej szacunku znakomitemu reżyserowi.

Od tej wypowiedzi w sali powiało przenikliwym chłodem. Nastąpiła cisza. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się spokojny, kobiecy głos:

— Czy nie przesadzasz, Soniu?

Opiekunka zjawiska uśmiechała się łagodnie, w jej czarnych, szeroko otwartych oczach tlił się jednak niepokój. Widać dobrze znała możliwości swojego złocistego kocia. Chłopca mimo woli ogarnęło współczucie. Sądząc z jej uśmiechu, urody, owego zakłopotania w pięknych, czarnych oczach — stanowczo nie zasługiwała na straszny los opiekunki Soni.

— Będziesz wielką gwiazdą, moja pannico — oświadczył zdumionym basem Lwizwis, wpatrując

się w partnerkę Darka z wyrazem niekłamanożnego uznania. — Tylko znakomite aktorki potrafią być tak nieznośne.

W tym momencie chłopca ogarnęła nagle chęć uściskania potężnego reżysera. Nie zrobił tego, ale poczuł się dostatecznie podtrzymany na duchu, by odzyskać zdolność mowy.

— Podobno ta nowa stacja czy raczej osiedle nie ma jeszcze nazwy — zaczął swoim najśłodszy tonem, jakiego dotąd używał tylko w niektórych rozmowach z Adamem. — Słyszałem także, że rozpisano konkurs na tę nazwę. Chciałbym zgłosić propozycję. Co byście powiedzieli na "Sonię"? Wspomniałeś coś o "Darku" — spojrział niewinnie na Bo — ale „Sonia” brzmi stanowczo ładniej. Czy nie sądzicie, że miałbym szansę, zgłaszając tę nazwę? Ostatecznie, tu narodzi się wielka gwiazda ekranów. Tu stworzy ją wybitny reżyser, pan Lewis...

Wybitny reżyser znowu wybuchnął gromkim śmiechem.

— Zdaje się, moje aniołki — stwierdził z satysfakcją — że oboje jesteście siebie warci. Pięknie. Zobaczmy, jak będzie w czasie zdjęć.

— Nie mówiłam? — zasyczała Sonia. — Od razu podejrzewałam, że będę tu narażona na wysłuchiwanie głupawych dowcipów.

— Leonardo, Błękitna i Sonia — powtórzył z uporem Darek.

— Pięknie, niech będzie Sonia — zgodził się reżyser, po czym raptownie zmienił ton: — A teraz dość żartów. Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia. Kilka dni zdjęć tutaj, a potem polecimy w wszechświat. Tam przekonamy się, co potrafi dziewczyna od niemowlęcia obyta z gwiazdami i chłopiec wychowany w zacisznym, przepięknym osiedlu na skraju ziemskiego zielonego rezerwatu.

— Pozwolę sobie zauważyć... — zaczął Darek, ale Lewis nie dał mu skończyć.

— Nie teraz — uciął krótko.

Chłopiec umilkł od razu, bo ten Lwizwis, który stał obecnie przed nimi, w niczym nie przypominał już jowialnego, starszego pana skłonnego do śmiechu i umiejącego się zabawiać także własnym kosztem. W tej chwili mówił znany reżyser, nawykły do dyrygowania aktorami i kreślenia wizji, które skrupulatnie musieli wypełniać kamerzyści, operatorzy, a nawet złote, rozkapryszone anielice.

— Oboje — Lwizwis omiół spojrzeniem Sonię i Darka — nakręciliście już początkowe sceny filmu, które zresztą nie mają większego znaczenia. Naprawdę historia zaczyna się tutaj, od waszego spotkania, i dlatego dopiero tutaj ja sam zaczynam z wami pracować. Znacnie tylko ogólne, zarysy scenariusza oraz te początkowe sceny, które już nakręciliście. Nie zawadzi, jeśli wam przypomnę, kim w filmie jesteście i kogo będziecie grać. Potem dostaniecie taśmy z rolami i będziecie się ich musieli nauczyć. A teraz słuchajcie...

SŁOMIANY KOGUCIK

Chłopiec nazywał się Al i miał zadatki na uczonego. Interesował się cybernetyką, biomatematyką i pokrewnymi dziedzinami wiedzy. Interesował się tylko tym. Sport, góry, pod którymi mieszkał, jeziora, wszystko to mogło dla niego nie istnieć. Jego rodzice byli naukowcami, w domu panowała atmosfera ciszy i skupienia. A był to piękny dom położony nad ciemnozieloną odnogą fiordu. Wprost z wody wyrastały majestatyczne skały porośnięte mchem. Al był jedynakiem. Pewnego dnia jego ojcu wypadło sprawdzić jakieś obliczenia na stacji orbitalnej w rejonie Saturna. Postanowił zabrać chłopca z sobą, żeby pokazać mu, jak wygląda praca uczonych poza Ziemią, a także wyposażenie kosmicznych obiektów. Była to pierwsza podróż Ala poza strefę Księżycy.

W bazie na księżycu Saturna przebywała wtedy dziewczyna. Miała na imię Pola, liczyła sobie, podobnie jak chłopiec, piętnaście wiosen, a różniła się od niego głównie tym, że dotąd w ogóle nie widziała z bliska Ziemi. Wychowywała się na zagubionych w przestrzeni stacjach i w zamkniętych pod pancernymi kopułami osiedlach, na martwych, pozbawionych powietrza planetach. Od najmłodszych lat poznała niebezpieczeństwa kosmosu i nauczyła się ich unikać. Umiała obsługiwać najbardziej skomplikowane urządzenia i pilotować rakiety bliskiego, a także średniego zasięgu. Słowem — prawdziwa córka ery kosmicznej.

Al i Pola spotkali się w chwili, gdy nieliczną załogę stacji postawiono w stan alarmu. Spoza układu słonecznego, zza obszarów, do których zapuszczają się najdalsze komety, przybywał jakiś nierozpoznany obiekt. Mógł to być szczególnie wielki meteor pozaukładowy, ale mógł to być również dobrze sztuczny twór zbudowany przez obcą cywilizację kosmiczną. Zanosilo się więc na pierwsze w dziejach spotkanie z przedstawicielami innej gwiazdnej rasy. Nikt nie wiedział, czego ewentualni przybysze szukają w naszym układzie, czy mają pokojowe zamiary i jak się zachowają. Dlatego uczeni otrzymali z Ziemi polecenie powitania tajemniczego gościa na granicy naszego układu, w rejonie Transplutona. Polecili wszyscy. Na stacji pozostała

tylko Pola oraz zupełnie zielony Ziemianin, Al. Jego ojciec musiał zabrać się wraz z tamtymi. Było ich i tak bardzo niewiele.

Oczywiście, dzieciom pozostawiono automaty. Były to bardzo skomplikowane twory, w znacznej mierze samodzielne. Nawet nieco zbyt samodzielne, jak wkrótce miało się okazać.

Najpierw zamilkło radio. W pewnej chwili, niby nożem uciął, urwała się łączność między naukowcami, którzy wyruszyli na spotkanie owego meteoru czy, jak chcieli inni, obcego pojazdu, a bazą. I nie tylko bazą, lecz także Ziemią i wszystkimi jej stacjami nasłuchowymi. Nikt nie wiedział, co się stało, wszyscy jednak zgodzili się z tym, że ludziom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wtedy Pola przygotowała do drogi największy z pozostałych w bazie statków, a ściślej mówiąc, na jej polecenie przygotowały go automaty. Te ostatnie, rzecz jasna, także znalazły się w komplecie na pokładzie. Przy komputerze obliczającym tor lotu i odległości usiadł Al, po czym wystartowali. Oczywiście, z nikim się nie porozumieli w tej sprawie, zdecydowali sami. Była to rzeczywiście jedyna możliwa do zorganizowania ekspedycja ratunkowa, zdolna w stosunkowo krótkim czasie dotrzeć do zaginionych. Inne stacje z załogami znajdowały się znacznie dalej.

Początkowo lot przebiegał pomyślnie, chociaż zaraz pierwszego dnia doszło do starcia między dziećmi. Al upierał się przy swoich rachunkach prawdopodobieństwa, a Pola przyjmowała je do wiadomości lub nie, w zależności od tego, co mówiła jej nabyta w ciągu wielu lat praktyka. Niebawem jednak i praktyka, i teoria okazały się równie bezsilne. Do głosu doszły bowiem automaty. Kiedy Pola i Al zorientowali się, że już nie oni kierują statkiem, na zmianę kursu było za późno. Kilka dni później statek wylądował na jednej z komet, gdzie automaty natychmiast zbudowały ogromną stację — ze sztuczną atmosferą, przetwórniami żywności, siłowniami, słowem, ze wszystkim, co mogło przydać się człowiekowi, a co im samym było całkowicie zbędne. Maszyny przecież nie jedzą i nie oddychają. Ale te automaty czuły. Uczeni najwidoczniej „przedobrzyli” przy ich zaprogramowaniu. Dlatego postanowili założyć własne państwo. Dlatego także zapewniły sobie towarzystwo żywych ludzi. Wyjaśniło się teraz, że to same automaty, uknuwszy spisek, nadały sygnały o rzekomym zbliżaniu się obcego obiektu. One także przerwały łączność między statkiem uczonych a resztą świata. Same oznajmiły o tym dzieciom zaraz po wylądowaniu, nie chcąc, aby ludzie smucili się wśród nich, aby martwili się o los rodziców i innych członków pierwszej ekspedycji. A zaraz potem ogłosiły Polę i Alę swoimi bóstwami i opiekunami, urządziły im wspaniałe apartamenty, zaczęły wznosić pomniki i świadczyć najrozmaitsze krępujące uprzejmości. Każde życzenie dzieci miało być natychmiast spełnione. Spełnia się przecież życzenia bóstw opiekuńczych. Posłuszeństwo automatów kończyło się jednak w punkcie, w którym rozkazy dzieci zaczynały zmierzać do nawiązania łączności ze światem ludzi, nie mówiąc już o powrocie do tego świata. A ludzie byli bezsilni. Podopieczni Po-li i Alę raz tylko nawiązali łączność z nimi i wtedy zapowiedzieli, że przy pierwszej próbie odbicia dzieci wysadzą w powietrze całą zbudowaną przez siebie stację wraz z jej żywą i martwą zawartością.

Automaty zorientowały się szybko, że Al jest lepszym teoretykiem, a Pola ma więcej wiadomości przydatnych w codziennym życiu nowego państwa zagubionego w przestrzeniach kosmosu. Nazwali więc Alę „Bóstwem Białkowej Myśli”, a Polę „Opiekunką Robotów”. Zbudowali im dwa pomieszczenia, tak że od tej chwili dzieci mieszkały osobno. Byłoby to doprawdy wspaniałe życie, gdyby nie... Ale co tu mówić. Wiadomo. Mijały dni, tygodnie, miesiące. Wreszcie Pola znalazła sposób, by nowo mianowane bóstwa mogły się potajemnie ze sobą kontaktować, a w jakiś czas potem Al zażądał od poddanych, by nowe państwo urządzało co roku Wielkie Święto Pojednania Białkowej Myśli i Roboty. W tym celu automaty miały zbudować specjalny pałac, jakoby na wzór starożytnych indyjskich świątyń. Na rysunkach i szkicach, które Al przekazał automatom, ten pałac był podejrzanie podobny do rakiety dalekiego zasięgu. Nie wzbudziło to podejrzeń automatów. One nie znały przecież konstrukcji, które swoją budową nie przypominająby stacji satelitarnych bądź gwiazdolotów. Postawiły więc pałac ściśle według planów Alę.

W dzień Święta Pojednania, w obliczu setek zgromadzonych automatów, Pola i Al weszli z wielką pompą do świątyni. W ten sposób dzieci znalazły się w statku, który mógł ich unieść ku

wolności. Z jednym małym zastrzeżeniem. W normalnej rakiecie kosmicznej aż roi się od automatów, poczynając od głównego komputera, a kończąc na aparatach nadzorujących pracę silników, zużycie paliwa, wymianę powietrza i tak dalej. Tymczasem w statku-świątyni nie było ani jednego urządzenia automatycznego. Czemu? No cóż, aż tak naiwni ci poddani Poli i Ala znowu nie byli. Poza tym któryż z nich chciałby pracować w tak uroczystym dniu?

Dzieci jednak poradziły sobie same. Al błyskawicznie przeprowadzał w myśli obliczenia, notując wyniki na ścianach i podłodze, a Pola zajęła miejsce za sterami. Ku nieopisanemu przerażeniu au-

tomatów zbudowany przez nie pałac pojednania w pewnym momencie wznosił się w górę i, gwałtownie nabierając pędu, zniknął w przestrzeni. Mogłyby go jeszcze dogonić i zawrócić, gdyby nie to, że na wszelki wypadek starannie rozebrały statek, którym wraz z dziećmi przybyły na kometę. Tak więc pozostały nieutulone w żalu, a niebawem najstarszy z nich, sędziwy komputer którejs tam prageneracji, wystąpił z nauką nader interesującą, wywiódł mianowicie, że Pojednanie Myśli Białkowej i Roboty wyzwala w efekcie największą potęgę w całym kosmosie. Potęgę, wobec której nie tylko automaty, ale wszystkie w ogóle naturalne i sztuczne moce są zupełnie bezsilne.

Al całą drogę liczył, a Pola precyzyjnie prowadziła statek podawanym przez niego kursem. Wszystko skończyło się szalem radości, kiedy dzieci wróciły do swych rodziców. Oni także wysnuli z podróży swych pociech tezę osobliwie przypominającą naukę starego komputera — o znaczeniu połączenia twórczej myśli i praktyki. Ostatecznie, kto widział przygodowy serial dla młodzieży bez odrobiny dydaktyzmu? Tak wygląda historia patentowanego mieszczaucha, Ziemiańszczyzny, nie wyściubiającego nosa z zapisów teorii naukowych, i dzielnej obywatelki kosmosu. Pozostanie tylko jeszcze wyprawić ekspedycję na kometę zajęta przez automaty. Może się przecież zdarzyć, że pozbawione towarzystwa Poli i Ala zechcą kiedyś porwać jakichś innych ludzi. Niech tam, zdradzę wam jeszcze — reżyser machnął ręką — że na czele tej wyprawy staną... No, kto? Tak jest! — wykrzyknął, nie czekając na odpowiedź. — Pola i Al! Tylko że to już zupełnie inna historia i druga część serialu, jeśli ją kiedyś w ogóle nakręcimy. No, jak wam się podoba?

Lwizwis skończył i powiódł po obecnych triumfującym spojrzeniem. Darek rozpaczliwie szukał w myśli określenia, które zobrazowałyby jego bezgraniczny — nawet jeśli niezupełnie szczery — zachwyt, ale na szczęście wyręczył go kto inny. Za plecami chłopca rozległo się donośne klaskanie i znany mu doskonale głos zawołał:

— Brawo, reżyserze! Bomba! Pierwszy się popłaczę... Niech skonam, jeśli się nie popłaczę i nie zmuszę do płaczu wszystkich moich znajomych. A jakie będą recenzje!

— Kto to jest? — zagrzmiął strasznym głosem Lwizwis.

Darek przygryzł wargi. Oto i zameldowało się jego bóstwo opiekuńcze w całej swej okazałości. Zastłuchany nie zauważył nawet, kiedy Adam wszedł do sali.

— To mój stryj — odpowiedział skromnie.

— Dzień dobry — rzekł Adam, podchodząc żwawo do zebranych — bardzo mi przyjemnie. Nazywam się Adam Ryska. Jestem dziennikarzem, chwilowo na usługach rodziny.

Oddelegowano mnie mianowicie do opieki nad tym zagubionym intelektualistą — tu klepnął Darka po ramieniu, tak że chłopiec aż przysiadł. — A widzi pan? — ucieszył się, spoglądając na Lwizwisa promiennym wzrokiem. — Bez mojej pomocy nawet na nogach nie ustoi.

— To pan jest tym reporterem — Lwizwis uśmiechnął się wreszcie i wyciągnął do Adama rękę na powitanie — który omal nie wysadził w powietrze księżyc Saturna, chcąc udowodnić, że miejscowa

załoga nie przestrzega obowiązujących przepisów bezpieczeństwa? O ile się nie mylę, to ów dziennikarz Tevopresu, który wylądował jednoosobową łodzią podwodną w samym środku Antarktydy, przy czym poruszał się cały czas rufą do góry, aż przetopił dwukilometrową warstwę lodu, nazywał się także Ryska? A jeśli chodzi o reportaże z Wenus, których autor przesiedział pięć dni w termicznym batyskafie wewnątrz krateru wulkanu...

— Mogę pana zapewnić — Adam skrzywił się lekceważąco — że to był bardzo mały wulkan. Więc to ty jesteś naszą bohaterką? — zwrócił się z kolei do Soni. — Witaj, piękności! — Adam z szacunkiem i delikatnie ujął wiotką rączkę zjawiska.

Darek natężył słuch, ale spotkało go rozczarowanie,
— Pan będzie o nas pisał? — spytała złotowłosa obrzydliwie czułym tonem. — Bardzo mi roziło pana poznać. Nazywam się Sonia Lewis.

Tu nastąpił popisowy dyg, jakiego nie powstydziałaby się dworka starożytnego cesarza szczególnie wrażliwego na przepisy pałacowej etykiety.

— Postaram się — rzucił wesoło Adam, wyciągając rękę do milczącej opiekunki Soni.

I teraz nagle stało się coś dziwnego. Dłoń reportera zaczęła nagle zwalniać, zwalniać... Aż w końcu zawisł bezradnie w takiej odległości, jaka była absolutnie nieosiągalna dla dążącej na spotkanie kobiecej rączki.

"Aha — powiedział sobie w duchu Darek — zdaje się, że rodzina będzie miała nowy temat do wieczornych telerozmówek".

Na marginesie trzeba zaznaczyć, że najmłodszy brat ojca Darka był znany nie tylko ze swoich

reporterskich osiągnięć. Nikt nie odmawiał mu uporu i śmiałości, z ubolewaniem godzi się jednak dodać, że świat znał również jego słabości. Przynajmniej niektóre.

— Barbara Lewis — padło wreszcie wypowiedziane niskim, matowym głosem. — Zdaje się, że spotkał nas podobny los. Jestem ciotką Soni...

Dłoń Adama nie bez pewnego wahania podjęła przerwana wędrówkę w stronę ciocinej rączki.

— Jak to: ciotką? — spytał niezbyt przytomnie stryj przyszłego gwiazdora. Kobieta uśmiechnęła się.

— A pan jest stryjem tego chłopca? Myślałam, że raczej starszym bratem.

— Ja natomiast byłem pewny, że mam przyjemność z młodszą siostrą Soni — pośpieszył z rewanżem Adam.

Nastała chwila ciszy, którą stryj i ciotka wykorzystali, by popatrzeć sobie przeciągle w oczy, po czym zgodnie wybuchnęli przyciszonym śmiechem. Pozostali jakby na to tylko czekali.

— Trzeba przyznać — zabrzmiał bas Lwizwisa — że jako opiekunowie nieletnich ani ta ciotka, ani ten stryj nie wzbudzają zbytniego zaufania. No cóż, będziemy sami mieć na oku ich wychowanków, co Grath?

Joe uśmiechnął się od ucha do ucha, przy czym jego twarz z podłużnej stała się przyplaszczona jak rozdeptana śliwka.

— Jestem Joe Grath — przedstawił się Adamowi. — Postaram się, żeby nasze pociechy zrobiły prawdziwą furorę.

„Nasze pociechy” wywarły na Darku jak najgorsze wrażenie. Postanowił sobie w duchu, że nie po-

minie żadnej okazji, aby jak najlepiej wywiązać się z roli "pocieszyciela" Gratha. Na razie jednak skierował swoją uwagę na kogoś innego. Teraz dopiero przyjrzał się uważniej ciotce Soni i stwierdził, że Barbara Lewis jest zupełnie młodą kobietą, w dodatku znacznie ładniejszą, niż wydała mu się na pierwszy rzut oka. A może wtedy zbyt był zaabsorbowany urodą jej siostrzenicy? Tak, doprawdy trudno mieć za złe Adamowi, że na chwilę stracił swoją sławną łatwość zawierania znajomości.

W tym momencie przyszła gwiazda przypomniała o sobie.

— Czy wszyscy się już poznali? — spytała zjadliwym dyszkantem. — Jeśli tak, to może przystąpimy do pracy. Boli mnie głowa, a chciałabym być w formie, kiedy wreszcie zaczniemy coś robić.

Darek natychmiast odwrócił wzrok od Barbary, by zająć się obserwacją twarzy Adama. Była to decyzja ze wszech miar słuszna.

Oblicze reportera przeszło bowiem nader interesujące przeobrażenia. Najpierw odmalowało się na nim najczystsze osłupienie, następnie coś w rodzaju panicznego popłochu, a wreszcie gorzkie rozczarowanie, dopiero po dłuższej chwili rozjaśnione iskierką rozbawienia. Chłopiec zauważył też, że je-go stryj i ciotka Soni wymienili szybkie spojrzenia, przy czym uśmiech na twarzy kobiety wyrażał bezsilną rezygnację.

— A propos poznali — podjął jakby nigdy nic Lwizwis — to jest Bo Ytterby, kamerzysta — wskazał Adamowi młodego człowieka, który teraz dopiero wynurzył się zza projektora rzucającego w róg sali przestrzenną dekorację. — A jeśli chodzi

o pracę — spojrzął przelotnie na Sonię — to zaczniemy jutro. Dziś zapoznajcie się z rolami i... no cóż, chyba zechcecie zwiedzić stację. Prawda?

Adam uderzył się nagle pięścią w czoło, jakby przypomniał sobie o czymś niezmiernie ważnym.

— Wiesz — zwrócił się do Darka — byłem u tutejszego dyspozytora. Bardzo miły człowiek, nazywa się Nerpa. Przyrzekł mi dać raketę, żebym mógł polecieć obejrzeć teren budowy. Jeśli będziesz miał przerwę w zajęciach, to zabiorę cię z sobą. O ile wiem, wycyganieś już jakimś psim

swędem kartę pilotażu.

— Żadnym psim swędem... — zaczął z oburzeniem Darek, ale raptem poczuł, że nie będzie w stanie zachować postawy „obrażonej godności własnej”. — Hura! — wykrzyknął. — Tylko nie zapomnij!

— Nie zapomnę — uśmiechnął się reporter. —

Po południu będą rozsadzać jakąś planetoidę, żeby zdobyć budulec. Podejźmy tam cichutko i... Na tym "i" urwała się jednak obiecująca wizja popołudniowych przygód, bo w sali niespodziwiana nie rozległ się płaczliwy głos Werwusa. Grubas stał z załamanymi rękami w drzwiach i patrzył przeszywającym wzrokiem na reżysera.

— Zrób ze mną, co chcesz, Lwizwis — zakwilił — nie ma. Nie ma! Szukałem wszędzie, zaglądałem do każdej dziury, nie ma. I co teraz?

— Szukaj dalej — odpowiedział machinalnie reżyser. W jego wzroku odbiła się jednak troska.

— Coś zginęło? — spytał Adam zbliżając się do grubasa.

— Obiektywy fantomatyczne — odpowiedział z rozpaczą tamten.

Adam zatrzymał się jak wryty.

— A skąd mieliście obiektywy fantomatyczne? — spytał po chwili głosem, jakiego Darek dawno już u niego nie słyszał.

— Staraliśmy się o pozwolenie ze względu na dzieci — odpowiedział Lwizwis, ubiegając kierownika produkcji. — A teraz będę świecił oczami...

— Ze względu na dzieci? — nie zrozumiał Adam.

— Tak — grubas załamał ręce. — Żeby im ułatwić wyobrażenie sobie scenerii akcji...

Kosmos, pusty glob, zbudowana przez automaty stacja...

— Dziwi mnie — powiedział Adam przeciągając sylaby — że się zgodzili.

— Mam znajomego w Urzędzie Ochrony Zdrowia — wyjaśnił Lwizwis. — Sam nie wiedziałem, czy dobrze robię, biorąc te obiektywy. Te dzieci — spojrzął znacząco na Sonię i Darka — doskonale poradziłyby sobie bez nich. A teraz będą kłopoty... No, czego stoisz?! — zirytował się na Werwusa. — Szukaj, aż znajdziesz!

— Kiedy... naprawdę...

Grubas jęknął, chwycił się za głowę i wypadł z sali. Adam odprowadził go dziwnie poważnym wzrokiem.

— Pamiętam jedną sprawę — mruknął jakby do siebie — to było nie tak dawno...

— Co pan mówi? — nie dosłyszał Lwizwis.

— Nic, nic — zreflektował się reporter. Obejrzał się na Darka i dodał półgłosem: — Może to i lepiej...

W tym momencie dał o sobie znać ów niepozorny, przygarbiony mężczyzna, który dotąd cały czas trzymał się na uboczu, nie brał udziału w rozmowie i w ogóle sprawiał wrażenie, że go nie ma.

— Nazywam się Mammea — powiedział smutnym głosem, podchodząc do Adama. — Pan wspomniał o jakiejś sprawie?...

— Zapomniałem pana przedstawić — ocknął się reżyser. — Pan...

— Mammea — powtórzył potulnie niepozorny.

— Właśnie — ucieszył się Lwizwis. — Pan Mammea należy do tutejszej załogi i zechciał się podjąć roli, jakby to powiedzieć... naszego opiekuna.

— Czy nikt nie słyszał, że boli mnie głowa? — ponownie przypomniała o swym istnieniu anielica

z diabelskim języczkiem.

Pani Barbara natychmiast otoczyła ją czule ramieniem.

— Chodź, kochanie — powiedziała. Uśmiechnęła się przepraszająco do Adama, a potem do Mam-mei. — Czy możemy pójść teraz do naszej kabiny? Mammea przytaknęła gorliwie.

— Ależ oczywiście. A pan? — odwrócił się do

Adama. — Nie wiem nawet, czy mamy jakąśabinę — zaśmiał się krótko reporter. — Przylecieliśmy przed chwilą.

— Zaprowadzę was — zaferował się Grath.

— Nie trzeba — powiedział Mammea. — Kabiny pani Lewis i pana Ryski są obok siebie. Pójdę przodem — wymamrotał, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszył ku wyjściu,

— No, to na razie — zagrział Lwizwis. — A od jutra do roboty.

— I nie przejmujcie się tymi projektorami — rzucił za odchodzącymi Joe Grath, — Werwus histeryzuje jak zwykle. Jestem pewien, że nasi bohaterowie doskonale poradzą sobie bez nich.

— Ja sobie poradzę — nie omieszkała szepnąć Sonia.

Był to tak zwany szept sceniczny i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dotarł do najdalszych zakamarków sali. Darek w każdym razie bardzo dobrze zrozumiał nie tylko słowa dziewczyny, ale i całą zawartą w nich treść. Mimo to pominął je milczeniem. Kiedy indziej na pewno by jakoś zareagował, ale teraz był zbyt przejęty tym, co przed chwilą zauważył.

Otóż Adam nagle stał się poważny. I był to zupełnie inny rodzaj powagi niż na przykład ten, który odbił się na jego twarzy, kiedy pierwszy raz ujrzał opiekunkę rozkosznej gwiazdeczki. A Darek zbyt dobrze znał usposobienie swego młodego stryja, by nie wiedzieć, że tylko coś naprawdę ważnego mogło go zmusić do zachowania powagi dłużej niż przez minutę.

Korytarz, którym prowadził ich Mammea, był niski, beczkowaty i tonął w półmroku. Trzecie z kolei drzwi należały do kabiny obu pań Lewis. Pożegnanie wypadło niezbyt okazale, bo Sonię coraz bardziej bolała złota główka, a bolała ją tym dotkliwiej, im bardziej zachwyconym wzrokiem przyglądał się Adam Barbarze. W tym przynajmniej nie przeszkadzały reporterowi chmurne myśli kłębiące się pod jego czaszką.

Następne drzwi prowadziły do apartamentu przydzielonego Darkowi i jego stryjowi. „Apartament” to może za dużo powiedziane. Nie było tu ani śladu ałasów, przezroczystych mebli, uroczych okienek. Kabina składała się z dwóch maleńkich komórek, oddzielonych przepierzeniem z matowej folii, oraz wnęki z umywalką i gazowym prysznicem. W każdej komórce stał lotniczy fotel dający się przekształcić w wygodną leżankę, mała szafa i płaski pulpit z przyciskami, pewnie podręczna centralka łączności. W szafce leżała przygotowana zmiana bielizny i roboczy kombinezon. Znajdowały się tam również takie przedmioty, jak szczoteczka do zębów, mydło, ręcznik i inne niezbędne drobiazgi osobiste. Czasy, w których podróżowało się z ciężkimi walizkami, należały do odległej historii. Dawno już ludzie nauczyli się budować automatyczne agregaty, które z najrozmaitszych odpadów wytwarzały przedmioty codziennego użytku. Nic się nie marnowało.

— Chciałbym z panem porozmawiać — powiedział cicho Mammea, zatrzymując Adama na progu kabiny.

Darek obejrzał się.

— Mogę się sam urządzić — odpowiedział na nieme pytanie stryja. — Zajmę lewą stronę, dobrze?

Adam skinął głową na znak, że się zgadza, i zamknął za sobą drzwi. Chłopiec usłyszał kroki obu mężczyzn oddalające się powoli. Nie dobiegło go ani jedno słowo z ich rozmowy. Sam miał ochotę podzielić się z Adamem swoimi myślami i zadać mu kilka pytań, ale, trzeźwo oceniając sytuację, nie sądził, aby dane mu było otrzymać odpowiedź na te pytania wcześniej

niż za godzinę.

Zagospodarowanie kabiny zaczął Darek od opróżnienia kieszeni. Chusteczkę, kilka przedmiotów niewiadomego dla osób postronnych przeznaczenia oraz swój podręczny automatyczny przyborek ułożył na szafeczce. Następnie wydobył małego kogucika ze słomy. Był to najcenniejszy przedmiot, jaki Darek posiadał. Nie dlatego, że pochodził z Ziemi i stanowił dokładną kopię zabaweczek, które wiele, wiele lat temu można było kupić na wiejskich jarmarkach. Tego kogucika przywiózł mu kiedyś z podróży ojciec. Teraz stał się pamiątką, z którą chłopiec nigdy się nie rozstawał.

Po namyśle ulokował słomianą maskotkę na niewielkiej półce umieszczonej pod ekranem zastępującym okno. Ekran był ciemny, zapewne należało przycisnąć któryś z guziczków w tym małym pulpicie, żeby go uruchomić. Ale Darkowi nie zależało teraz na widoku nieba. Z rozkoszą wsadził głowę pod strumień zimnej wody. Umywalka była mała i pod nogami chłopca utworzyły się po chwili spore kałuże, które jednak zaraz potem zniknęły. Darek sięgnął do szafki po czystą koszulę i w tym momencie jego wzrok padł na półkę pod ekranem. Znieruchomiał. Półka była pusta. Po słomianym koguciku nie pozostało nawet śladu.

Chłopiec pośpiesznie naciągnął koszulę i zaczął gorączkowo rozglądać się wokół siebie. Ale pamiętał przecież doskonale, gdzie umieścić drogocenną pamiątkę. Zjrzał jednak pod półkę, przeszukał podłogę za fotelem, z gasnącą nadzieją szperał po wszystkich zakamarkach, aż wreszcie wyprostował się i stanął na środku kabiny, wodząc dookoła ogłupiałym wzrokiem. Tkwił tak nieruchomo przez jakiś czas, po czym nagle wydał zdławiony okrzyk i rzucił się w stronę drzwi.

Korytarz, jak okiem sięgnąć, świecił pustką. Żeby to jeszcze "świecił". Gdyby nie jakaś jedna niemrawa lampka w głębi i druga — wskazująca wejście do pracowni projektantów zamienionej w atelier, panowałyby w nim zgoła egipskie ciemności.

W sali także było mroczno i nieprzytulnie. Zamiast dekoracji przedstawiającej przepyszne wnętrza filmowej stacji kosmicznej czerniały gołe ściany. Wygaszone projektory i kamery tkwiły na swoich statywach jak niesamowite trójnogie straszdyła. Automatów pomocniczych albo nie było, albo także ukryły się w ciemnościach. Ludzie rozeszli się, każdy w swoją stronę. Krótko mówiąc, nie było nikogo, kto mógłby pośpieszyć chłopcu z pomocą, a przynajmniej wyjaśnić zagadkę znikających przedmiotów.

Darek wrócił na korytarz i przystanął pod drzwiami pań Lewis. Z ich kabiny nie dochodziły jednak najcichsze bodaj odgłosy. Nie medytował więc tutaj długo, tylko ruszył dalej. Minął jakąś półokrągłą wnękę, zupełnie pustą, i dotarł do miejsca, z którego odbiegała w bok wąska odnoga korytarza. Ta odnoga przypominała trochę sztolnię w starej marsjańskiej kopalni, którą chłopiec zwiedzał kiedyś w czasie wakacji. Przystanął, pomyślał chwilę, po czym postanowił spróbować szczęścia w tym ciemnym przejściu, tak podobnym do górniczej pochylni.

Okazało się, że była to naprawdę pochylnia — po paru metrach podłoga pod nogami chłopca zaczęła się gwałtownie obniżać. Zaraz potem uczył miękkie, ale potężne uderzenie, niewidzialna siła uniosła go nagle do góry i ani się obejrzał, jak stał z powrotem w korytarzu. Mimo woli zlustrował się od stóp do głowy szukając śladów, które by na jego ubraniu lub ciele zostawiło to coś, co w tak osobliwy sposób wyprosiło go z pochylni. Nie znalazł żadnych, wobec czego spróbował ponownie zagłębić się w tunelu. Z tym samym skutkiem.

— Nie tędy droga — mruknął pod nosem. Posłał niezycliwe spojrzenie w głąb ciemnej odnogi i odwrócił się. Zerknął w prawo, w lewo i bezradnie wrzucił ramionami. Przyszło mu na myśl, czy nie narobić po prostu wrzasku, by zwać w to miejsce Adama albo kogokolwiek innego, ale przypomniał sobie o spoczywających w pobliskiej kabinie paniach Lewis i natychmiast zamknął usta. Gdyby tak trafić do windy! Darek wiedział, że w ścianach korytarza muszą być ukryte wejścia do dźwigów, które wyniosłyby go na inne, może bardziej ludne poziomy stacji. Ba, ale jak je znaleźć?! W każdym obiekcie pozaziemskim windy osobowe przywoływało się inaczej. Najczęściej reagowały na znane miejscowej załodze hasło. Nie, nic z tego. Pozostaje jedna jedyna droga. Ta, która prowadzi prosto, w głąb korytarza.

Doszedłszy do tego wniosku, Darek nie zwlekał ani chwili, tylko energicznie ruszył przed siebie. Niebawem przekroczył wysoki próg, który był właściwie częścią stalowej szyny, jakby

czegoś w rodzaju grodzi opasującej w tym miejscu korytarz. Zaraz za tym progiem korytarz zaczął się zwężać. Zrobiło się ciasno i ciemno, ale przynajmniej można było iść nadal, nie narażając się na spotkanie z wypychającą od dołu niewidzialną łapą.

Chłopiec przebył zamaszystym krokiem jeszcze kilka metrów, po czym otoczyły go już zupełne ciemności. Nie chcąc zaryć nosem w ścianę, zatrzymał się. Już miał zawrócić, osądzwszy, że tutaj na pewno nie znajdzie pomocy, gdy nagle wydało mu się, że gdzieś przed nim, w mroku, zabrzmiał jakiś dziwny odgłos. Wstrzymał na moment oddech.

Odgłos powtórzył się. W głębi, jakby za ścianą, coś lub ktoś wydawało przytłumiony, metaliczny dźwięk. Bardzo ostrożnie Darek ruszył w stronę źródła owego dźwięku.

Nagle znów stanął. Korytarz skręcał w lewo, wpadając do prostokątnego pomieszczenia. Były tutaj jakieś drzwi, widoczne dzięki temu, że ktoś pozostawił je uchylone i przez szparę sączyła się smużka nikłego światła.

Za drzwiami znowu coś stuknęło. Chłopiec już chciał zawołać, żeby uprzedzić kogoś, kto był w środku, o swojej obecności, ale w ostatniej chwili coś go powstrzymało. Ten mrok, dziwny korytarzyk zamykający mieszkalną część kosmicznej stacji, te odgłosy, w których nie było nic ludzkiego...

Na palcach podszedł do drzwi i przytknął do szpary oko.

Darek, obywatel Ganimeda, piętnastoletni męzczyzna z gatunku rozumnych istot gospodarujących w układzie słonecznym, nie tracił zimnej krwi z byle powodu. Tym razem powód był. Jeśli chłopiec mimo wszystko nie pisnął nawet, chociaż wszystkie włosy stanęły mu dęba na głowie, nie należy tego przypisywać wyżej wzmiankowanej umiejętności zachowania zimnej krwi. Prawda wygląda tak, że Darka najzwyczajniej w świecie zamurowało.

Pośrodku wąskiego wycinka wnętrza, widocznego przez szparę w drzwiach, siedział rozparty w fotelu... trup.

Chłopiec przestał oddychać i na moment zamknął oko, jakby w nadziei, że zanim ponownie je otworzy, ten człowiek ożyje. Niestety, nic podobnego się nie stało. Ciało mężczyzny, bo to był mężczyzna

zna, nadal spoczywało bezwładnie w rozłożonym do połowy, lotniczym fotelu.

Jego twarz była sinobiała. Na głowie miał jakąś zaokrągloną siatkę, niby upleciony z drucików kask. Od tej siatki odbiegały cienkie nitki pajęczych przewodów dążąc zapewne ku niewidocznym przez szparę aparatom. Może ten człowiek jest poddawany jakiemuś zabiegowi chirurgicznemu? Ale ta trupia twarz... No i to miejsce, ostatnie miejsce, jakie mógłby sobie wybrać lekarz dla przeprowadzenia operacji. Nie ma co się łudzić. Mężczyzna nie żył.

Nie był już najmłodszy, nie był jednak także staruszkciem. Mógł mieć najwyżej siedemdziesiąt lat. Wiek, w którym nie myśli się jeszcze o emeryturze. Wiek, w którym ludzie nie umierają... Chyba że na skutek tragicznej katastrofy, jak ojciec Darka. Do tego ten kask i przewody.... Nie, w całej niesamowitej scenerii tego wnętrza czała się jakaś ponura i groźna tajemnica.

Stanowczo lepiej będzie, jeśli się po cichu wycofa i pobiegnie poszukać Adama.

Decyzja była słuszna, nie została jednak wprowadzona w czyn. Raptem bowiem wewnątrz komórki ponownie rozległ się jakiś suchy trzask, po czym w polu widzenia chłopca mignęła wysoka sylwetka. Ten drugi człowiek był niewątpliwie żywy. Ale co w takim razie robił tam... z tym nieboszczykiem.

Żywy zasłonił sobą na mgnienie oka fotel. Następnie cofnął się i stanął tak, że Darek mógł ujrzeć jego twarz. Ta twarz była mu znana. Od niedawna wprawdzie, bo od godziny... może dwóch. Ale od pierwszej chwili nie wzbudziła w chłopcu zaufania.

Była zbyt ruchliwa, zbyt skłonna do sztucznych uśmiechów i należała do kogoś, kto zwykł posługiwać się takimi zwrotami, jak na przykład, „nasze pociechy”. Słowem, była to twarz drugiego, a obecnie — wobec choroby Patki — pierwszego operatora zespołu filmowego, któremu powierzono nakręcenie serialu z Sonią i Darkiem w rolach głównych.

Joe Grath był niemal równie blady jak człowiek w fotelu. W jego oczach malował się wyraz, którego Darek w życiu u nikogo jeszcze nie widział, usta wykrzywione były w niesamowitym grymasie, ni to uśmiechu, ni groźby. Cała twarz wyrażała jakąś dziką, niesamowitą nadzieję,

której spełnienia należało się spodziewać w każdej sekundzie. Poruszył dłońmi wokół kasku spowijającego głowę niezwygłego mężczyzny i zachichotał. Był to chichot, jaki może się przyśnić w najstraszniejszym koszmarze. Zaraz potem długa sylwetka Gratha znowu zniknęła, odsłaniając widok na fatalny fotel.

Chłopiec czuł, że nogi wrosły mu w podłogę, ale wiedział też, że musi je natychmiast uruchomić, jeśli z nim samym nie ma się tutaj stać coś okropnego. Kosztowało go niemało trudu, żeby to osiągnąć, nie wydając przy tym najłżejszego szmeru. Udało się jednak. Tak przynajmniej sądził. Aż do chwili, kiedy wycofując się już rakiem w stronę głównego korytarza, uderzył plecami o coś, co z całą pewnością nie było ścianą, i kiedy na jego ustach spoczęła czyjaś szeroka, silna dłoń. Szarpnął się rozpaczliwie, ale dłoń nie puściła. Równocześnie usłyszał wyszeptane tuż nad swoim uchem:

— Psst! — a następnie poczuł, że druga dłoń należąca niechybnie do tego samego osobnika, co

pierwsza, opada na jego ramię i ciągnie go do tyłu. Miał do wyboru — albo Joe Grath z jego trupem, albo ktoś, kto szepcze konfidencjonalnie do ucha "psst"... Decyzja nie była trudna.

Dłonie należące do niewidocznego mężczyzny zawiodły chłopca na korytarz, aż przed wysoki, metalowy próg. Tutaj pierwsza z nich uwolniła Darkowi usta, z czego ten jednakże nie spróbował nawet zrobić użytku. Posłuszny gestowi drugiej dłoni odwrócił się i wtedy ujrzał tuż nad sobą jasną czuprynę i szeroko otwarte oczy... Bo Ytter-by'ego. Wesoła twarz kamerzysty była teraz śmiertelnie poważna, a nawet, co Darek odkrył z pewnym zdumieniem, wyraźnie przestraszona. Tak więc przez dłuższą chwilę tkwiły na wprost siebie dwie przestraszone twarze, z których wszakże jedna w miarę upływu czasu stawała się coraz mniej przestraszona. Co najdziwniejsze, była to twarz

Darka.

W końcu Bo puścił ramię chłopca, westchnął głęboko i rozejrzał się, trwożnie dokoła, ze szczególną troską spoglądając w kierunku załomu ko-rytarza, gdzie znajdowały się nie domknięte drzwi osobliwej trupiarni. Następnie cofnął się jeszcze dwa kroki, gestem zachęcając Darka, by podążył za nim. Kiedy znowu stanęli na wprost siebie, spytał szeptem:

— Co tutaj robisz?

— Ja... — wybąkał chłopiec. Odkrył nagle, że w jego gardle tkwi coś, co na przykład w aparaturze nagłaśniającej mogłoby z powodzeniem pełnić funkcję tłumika. Postanowił to usunąć i zdecy-

dowanie odchrząknął.

— Psst... ciszej! — przestraszył się znowu Bo. —

Mów, co tutaj robisz? — powtórzył patrząc chłopcu badawczo w oczy. Darek chwycił go oburącz za bluzę na piersi.

— Słuchaj, Bo — wykrztusił — tam jest trup! Na otwartej, wzbudzającej zaufanie twarzy Ytter-by'ego odmalowało się najprawdziwsze przerażenie.

— Tsss — syknął znowu, chociaż Darek wyznał mu swą straszną tajemnicę najcichszym szeptem. — Zwariowałaś?

W innych okolicznościach chłopiec nie omieszkałby udzielić wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie. Teraz jednak zbył je tylko niecierpliwym ruchem głowy.

— Mówię ci — powtórzył z uporem — siedzi w fotelu. Mężczyzna. Na głowie ma jakiś hełm...

— Co za bzdury! — zirytował się bez przekonania Bo, nie przestając świdrować chłopca rozszerzonymi ze strachu oczami. — Jaki trup?

— Skąd mogę wiedzieć? — zachnął się Darek. — Trup, i tyle.

— Jest... sam? — w głosie Bo oprócz trwogi pojawiło się jakieś napięcie.

Darek spojrzął na kamerzystę z nagle rozbudzoną podejrzliwością.

— A ty — spytał po chwili zmienionym tonem — skąd się tutaj wzięłeś?

— Pytałem, czy ten trup był sam — powtórzył Bo.

Tym razem zabrzmiało to niemal błagalnie. Darek jednak miał się już na baczności.

— Najpierw ty mi odpowiedz — natarł z uporem. — Dlaczego napadłeś na mnie od tyłu i wyciągnąłeś stamtąd? Ty wiesz, co tam się dzieje! —

rzucił oskarżycielskim tonem, odkrywając prawdę, która była raczej oczywista od pierwszej chwili.

— Słuchaj, chłopcze — Bo położył obie ręce na ramionach Darka, zanim ten zdążył się cofnąć. — Mniejsza, czy ja wiem, czy nie. Ale zapamiętaj sobie jedno. Ty niczego nie widziałeś. Dobrze? Dobrze? — powtórzył patrząc na Darka z taką rozpaczą, że chłopiec nagle się zmieszał.

Rozumiał, że coś tutaj jest grubo nie w porządku i że Bo doskonale wie, o co chodzi. Ale teraz doszła do tego świadomość, iż z jakichś powodów kamerzyście ogromnie zależy na tym, aby Darek niczego nie widział i nie słyszał. Że jest to dla Bo kwestia życia i śmierci. Takim tonem może mówić tylko człowiek doprowadzony do ostateczności. Nawet jeśli to mówienie odbywa się ledwie dosłyszalnym szeptem...

Chłopiec pomyślał jeszcze, że Bo sprawia wrażenie równego faceta i że nie należy mu odmawiać pomocy, jeżeli znalazł się w jakichś tarapatkach. Równocześnie jednak ponownie stanęła przed oczami Darka martwa twarz tego, który tkwił w fotelu. A także inna twarz, twarz, której wyrazu z pewnością nie zapomni do końca życia.

Zastanowił się chwilę, po czym powiedział poważnie:

— Wydaje mi się, Bo, że powinniśmy porozmawiać.

Kamerzysta skinął głową i obejrzał się. Akurat w porę, by ujrzeć wypływającą z głębi korytarza przygarbioną, niepozorną, męską sylwetkę. Darek zdążył jeszcze zanotować w pamięci, że Bo drgnął, jakby mu ktoś wsadził szpilkę w najczulsze miejsce, po czym usłyszał znany, smutny głos;

— A wy co tutaj robicie? Zabłądziliście? Bo zamknął na chwilę oczy. W tym momencie Darek już wiedział, że nie zrobi nic, a ściślej biorąc, nie powie nic takiego, co mogłoby zaszkodzić kamerzyście lub sprawić mu przykrość. Przynajmniej zanim nie dojdzie do tej zapowiedzianej rozmowy.

Bo otworzył oczy.

— Zwiedzamy stację — odpowiedział zachrypłym lekko głosem.

— Tu przecież kończą się pomieszczenia dla załogi — głos Mammei był równie cichy i bezbarwny, jak cała jego postać.

Darek przyjrzał mu się uważnie i nagle ogarnęły go wątpliwości. Raz wzbudzona podejrzliwość podsunęła nową zagadkę. Ten cały Mammea jest odrobinę za niepozorny i przygarbiony. Może to tylko maska, za którą kryje się wspólnik albo nawet mocodawca Gratha? Co o nim mówił Lwizwis? Że należy do załogi i podjął się opieki nad filmowcami. Czy ta opieka nie polega czasem na pilno-waniu, aby ktoś obcy nie wpadł na trop niebezpiecznej szajki działającej na stacji? I czy ten niepozorny naprawdę tylko przypadkiem znalazł się akurat teraz na końcu korytarza, gdzie, jak wynikało z jego własnych słów, nikt nigdy nie zagląda? Czy to nie Mammei właśnie bał się tak bardzo Bo? Mo-że wiedział o niepozornym coś takiego, że po prostu zląkł się o bezpieczeństwo Darka, gdyby wyszło na jaw, że chłopiec coś wyniuchał?

Darek spuścił głowę. Czuł na sobie badawcze spojrzenie Mammei i słyszał przyśpieszony oddech kamerzysty. Dłuższą chwilę stali już tak we trzech w zupełnej ciszy i atmosfera z sekundy na sekun

dę stawała się bardziej napięta. „Coś trzeba zrobić — myślał gorączkowo Darek. — Coś powiedzieć...”

I akurat w tym momencie, jakby na zamówienie, przypomniał sobie, co naprawdę sprowadziło go do tej części korytarza.

— Proszę pana — zawołał — miałem w kabinie taką figurkę, kogucika ze słomy, takiego małego, i nagle zniknął! Szukałem kogoś, kto mógłby mi pomóc.

— Kogucika? — w głosie niepozornego pierwszy raz zadrgała jakaś żywsza nutka. — Jak powiek działałeś? Kogucika?

— Ze słomy — powtórzył Darek. Nagle wszystko inne stało się mniej ważne. Musi odzyskać swoją maskotkę, pamiątkę po ojcu.

— Położyłem go na półce pod ekranem — mówił coraz szybciej — a on zniknął. Ani na chwilę nie wychodziłem z kabiny. Byłem sam.

Kątem oka pochwycił chłopiec spojrzenie Bo, które wyrażało niekłamana wdzięczność.

— Tu przyszedłeś szukać słomianego kogucika?

— upewniał się Mammea. — Jesteś pewny, że... Może ci się zdawało?

Chłopiec dałby głowę, że niepozorny chciał spytać, tak jak przedtem Bo, czy Darek przypadkiem nie zwariował, i że w ostatniej chwili złagodził brzmienie tego zdania.

— To pamiątka po ojcu — powiedział z zalem.

— Wie pan, mój ojciec zginął...

Mammea westchnął. Przez chwilę jeszcze przypatrywał się Darkowi podejrzliwie, następnie przez jego twarz przemknął nikły uśmiešek.

— Twój opiekun zostawił cię samego?

— Wyszedł przecież z panem — przypomniał chłopiec.

— Odprowadziłem go już dość dawno. Pewnie czeka w kabinie albo sam zaczął cię już szukać. Ale skoro tu jesteśmy, chodź ze mną. Spróbujemy coś poradzić na twój kłopot. Pan idzie z nami? — zwrócił się do Ytterby'ego.

Ten potrząsnął przecząco głową.

— Nie — wychrypiał. Odchrząknął, odetchnął głęboko i mówił dalej: — Pójdę przejrzeć jeszcze kamery. Właściwie wyszedłem tylko rozruszać się trochę... Przeważnie pracuję na Ziemi, na wolnych przestrzeniach.

Mammea przytaknął ze zrozumieniem i, skinąwszy na Darka, ruszył w kierunku atelier. Kiedy mijali ową odnogę, która okazała się tak- mało gościnną pochylnią, chłopiec nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć Mammei, że próbował już i tej drogi.

— Tam jest pole siłowe, które nie wpuszcza ludzi — wyjaśnił obojętnym głosem niepozorny.

— To przejście awaryjne, tylko dla automatów. Prowadzi do maszynowni, do tych jej części, w których nie ma powietrza.

A więc łapa, która wyniosła go z powrotem do góry, to tylko pole siłowe. Pole? Niech będzie. System bezpieczeństwa. To bardzo ładnie, że dba się tutaj o bezpieczeństwo ludzi. Żeby jeszcze wiedzieć, skąd w takim razie biorą się siedzące w fotelach trupy...

Zaraz za wylotem pochylni Mammea stanął. Nieznacznym ruchem dotknął bluzy na piersi, wyczarowując w ścianie na wprost siebie prostokątny otwór. Była to kabina windy.

Na najniższym piętrze powitał ich automat z pomarańczową kulą zastępującą mu głowę. Wytoczył się zza jakichś drzwi i zatrzymał usłużnie przed przybyłymi. Lampki wewnątrz jego głowy zafilo-wały jak gwiazdy.

— Wiesz, co to jest słoma? — spytał Mammea.

— Tak — odpowiedział automat.

— Idź do zsypu i przynieś wszystkie przedmioty ze słomy, jakie nie zostały jeszcze, przetworzone.

Automat zniknął im z oczu. Wtedy Darek powtórzył niezbyt przytomnie:

— Do zsypu?

Mammea uśmiechnął się.

— Na półeczkach pod ekranami kładzie się śmieci — wyjaśnił. — Tam jest zapadnia automatyczna, tylko działa tak szybko, że ten ruch jest nieuchwytny dla ludzkiego oka. Sam wyrzuciłeś swojego kogucika, chłopcze.

— Nie wiedziałem — burknął ponuro Darek. „Śmieci? Zapadnia? Zsyp w każdej kabinie? Proszę, co za luksus...” — pomyślał z ironią. Nagle przestraszył się.

— Ale odpadki idą przecież od razu do przeróbki! — zawołał.

— Poczekaj — mruknął Mammea — zaraz zobaczymy.

Minutę później automat wrócił. W jednej ze swoich pięciu dłoni, trochę podobnych do staroświeckich łapek na myszy, trzymał słomianego kogucika.

Chłopiec wykrzyknął radośnie i porwał swój odzyskany skarb.

— Miło mi, że mogłem panu usłużyć — powiedział grzecznie automat. Jego lampki zabłyśły żywiej.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział równie uprzejmie Darek.

Teraz dopiero zauważył, że korpus pomarańczowego jest dosłownie oblepiony strzępami folii, taśm, pojemników żywnościowych i że pachnie niezbyt ładnie.

Kiedy wracali już windą na górę, Mammea powiedział:

— Odpadki, zanim idą na przemiał, są segregowane. Nie tobie pierwszemu zdarzyło się

postawić na półeczce coś, czego wcale nie chciałeś się pozbyć. Słoma jest dostatecznie rzadko występującym materiałem, żeby automaty zatrzymały twojego kogucika chwilowo w komorze przejściowej.

— To coś takiego — mruknął Darek, ściskając w garści swoją maskotkę z "rzadkiego materiału" — jak biuro rzeczy znalezionych?

— Uhm. Poza tym maszyny segregujące biorą jeszcze pod uwagę kształt przedmiotów. A teraz — podjął niezmiennym, smutnym tonem — powiedz mi, skąd naprawdę wzięłeś się przy końcu korytarza? Poszedłeś tam z Bo Ytterbym?

Darek nie miał zwyczaju kłamać. Nie miał, i już. Zresztą, w dobie wszechobecnych komputerów kłamstwo stało się właściwie pojęciem nieznanym. Przecież każda nieścisłość i tak była natychmiast prostowana. Poza tym na przykład w szkole nic by nie przyszło z automatycznych datorów komuś, kto usiłowałby tylko udawać, że rozumie i pamięta poprzednią lekcję. Kiedyś, kiedyś, w zamierzonych czasach, bywało inaczej. Tylko że wtedy stawiano ponoć tak zwane dwóje, zamiast po prostu cofnąć program indywidualnego teledatora ucznia o jedną czy dwie podziałki skali. To w ogóle były jakieś dziwne czasy.

Tak czy owak Darek nie miał zwyczaju kłamać. Toteż — chociaż pytanie Mammei natychmiast ożywiło w jego pamięci sceny i podejrzenia sprzed kilku minut — najpierw długo, z cielecym zachwytem oglądał odzyskanego kogucika, a następnie, kiedy już wysiedli z windy, ruszył żwawo w stronę kabiny, jakby pochłonięty bez reszty myślą o spotkaniu z Adamem. Niepozorny jednak wyprzedził go i zdecydowanie zastąpił chłopcu drogę.

— Nie odpowiedziałeś mi — rzekł z naciskiem. Darek spojrzał mu śmiało w oczy. Co innego — kłamać, a całkiem co innego — wywieść w pole groźnego przestępcę. Poza tym postanowił już przecież, że będzie milczał, dopóki nie porozmawia z Bo. Uniósł więc hardo głowę, a równocześnie wykrzywił twarz w rozbijającym, jak mu się zdawało, uśmiechu.

— Przecież pan także tam był — odbił nieskończenie chytrze piłeczkę.

Zanurkował pod ramieniem Mammei i puścił się w stronę swojej kabiny. Pech chciał, że drzwi, które sobie upatrzył, należały do innej kabiny. Natomiast szczęśliwy los zrzucił, że trafiwszy do cudzej kabiny, znalazł w niej tego, kogo szukał, to znaczy Adama. Znalazł, to może niezbyt właściwe słowo. Rozpędzony Darek stwierdził najpierw, że drzwi stawiają mu jakiś niezrozumiały opór, a kiedy ten opór nagle ustąpił, usłyszał głuchy łoskot, a następnie ujrzał swojego stryja malowniczo rozciągniętego na podłodze. Nogi Adama pozostały tuż przy progu, natomiast jego głowa dotykała czubków pantofli Barbary Lewis, która zamarła z uniesionymi w górę ramionami. Trzeba przyznać, że w tej pozycji wyglądała zachwycająco.

— W naszej małej sypialni robi się doprawdy tłoczno — oznajmił z głębi kabiny syczący głosik. — Poza tym odnoszę wrażenie, że niektórzy drzwi do cudzych mieszkań traktują jak worki bokserskie.

— Przepraszam — wyjąkał Darek.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedział z pewnym wysiłkiem Adam.

Uniósł się na łokciach, dzięki czemu jego głowa znalazła się na wysokości kolan Barbary, i pozostał w tej pozycji.

— To ja może pójde — zaproponował nieśmiało Darek, czując, że z jego twarzą dzieje się coś niedobrego. W dodatku w gardle zaczęło go coś idiotycznie łaskotać.

— Pójdziemy razem — oświadczył słynny reporter, nie ruszając się z miejsca.

— To dobry pomysł — poparł go rozkoszny szczebiot złotowłosej.

— Soniu! — zawołała z wyrzutem Barbara, po czym jednak niespodziewanie wybuchnęła głośnym śmiechem.

Na to tylko czekał Adam. Zawtórował pięknej cioci, ile sił w płucach. Śmieli się tak długo, że w końcu przynajmniej Darek musiał spoważnieć.

Wreszcie Adam zaczął się zbierać z podłogi. Podciągnął nogi i z wyraźną niechęcią wracał powoli do pozycji pionowej. Uwieńczywszy ten swój trud powodzeniem, powiedział do Darka:

— Chyba powinienem ci być wdzięczny, chlubno rodziny.

— Może wobec tego ja przejdę do sąsiedniej kabiny? — zagadnęła niewinnie Sonia, unosząc się na swojej leżance. — Tam zdaje się jest

cicho i pusto. Czy nie wspomniałam, że boli mnie głowa? '

— To dobry pomysł — odpalił bez zastanowienia Darek.

Ciotka złocistej i Adam przyjrzeni mu się zdumionym wzrokiem. Nastąpiła cisza.

Przerwał ją wreszcie sam chłopiec.

— Poczekam obok — powiedział cicho, odwracając głowę.

Nie był zadowolony z siebie. Rozkapryszona gwiazdeczka z pewnością aż prosiła się o kogoś, kto utarłby jej nosa, ale... w końcu to on wtargnął do jej pokoju, a nie na odwrót. A jeżeli w dodatku naprawdę boli ją głowa...

W zupełnym milczeniu Darek wyszedł na korytarz.

— Ja też idę — ocknął się wreszcie Adam. Westchnął, uśmiechnął się do Barbary, pomachał ręką Soni, która odpowiedziała leciutkim skinieniem dłoni i zaraz znów opadła na leżankę, po czym ruszył w ślad za Darkiem. Zamknął za sobą drzwi i stanął twarzą w twarz z... Mammeą.

— Widzę, że się wreszcie znaleźliście — stwierdził bez uśmiechu niepozorny. — To dobrze. Nasz młody aktor szuka pana nawet w maszynowni.

„W maszynowni? — przebiegło chłopcu przez myśl. — Aha, w tej pochylni". Zaczął pilnie słuchać, co jeszcze powie Mammea. Teraz kiedy Adam stał obok niego, czuł się na siłach stawić czoła nie tylko samemu szefowi, ale choćby i całej szajce, gdyby zaszła potrzeba.

Na szczęście (czy też może właśnie na nieszczęście — dla tych, którzy by chcieli przyjrzeć się

heroicznym zmaganiom Darka z liczną bandą opry-szków) nie doszło do podobnej ostateczności. Mammea nie zdążył powtórzyć swojego pytania, które już dwukrotnie pozostało bez odpowiedzi. Otworzył wprawdzie usta, ale zanim wymówił pierwsze słowo, powietrze przeszył wysoki, wibrujący dźwięk. Ludzie drgnęli i odruchowo unieśli dłonie do uszu. Dwie, może trzy sekundy stali jak sparaliżowani, po czym dźwięk nagle ucichł. Równocześnie z niewidocznych, ukrytych w ścianach głośników popłynął męski głos:

— Ogłaszam alarm drugiego stopnia. Wszyscy zbieramy się w dyspozytorni. Proszę włożyć skafandry i nie używać wind.

Głos ucichł i ponownie rozbrzmiało przenikliwe wycie alarmowej syreny.

— Prędko! — zawołał Mammea. — Biegnijcie po skafandry. Wiecie, gdzie są?

Adam rozejrzał się bezradnie. Niepozorny mruknął coś pod nosem, po czym z szybkością, o jaką Darek nigdy by go nie posądzał, przebiegł kilka kroków i zatrzymał się w miejscu, gdzie nie było nie tylko żadnych drzwi, ale w ogóle niczego poza gołymi, nie oświetlonymi ścianami. Niemniej jednak właśnie tam, w tej gładkiej ścianie, natychmiast ukazała się jakimś cudownym sposobem wnęka, a w niej zwisające równym szeregiem kolorowe skafandry. Mammea porwał pierwszy z brzegu i rzucił Darkowi.

— Bierz! — krzyknął.

Chłopiec nie potrzebował zachęty. Bez słowa Zaczął naciągać skafander przechodzący od razu w buty, uszyty z grubego, ale bardzo elastycznego materiału. Kątem oka widział, że Adamowi idzie

co najmniej równie dobrze. Mammea przerzucił sobie przez ramię jeszcze trzy skafandry i z całym tym ładunkiem puścił się biegiem w stronę kabiny Barbary i Soni. Ujrzawszy to Adam — w nie za-

piętej bluzie, dzierżąc jeszcze pod pachą przeźroczysty, próżniowy kask — pomknął za nim.

"Ktoś musi być przytomny" — powiedział sobie w duchu Darek, starannie mocując kask i spraw

dzając podręcznym aparacikiem szczelność skafandra. Ten aparacik .był dokładnie taki sam, z jakimi chłopiec miał do czynienia na Ganimedzie, i tak samo znajdował się w sztywnej kieszonce na rękawie.

Skończywszy toaletę, udał się w ślad za Adamem i Mammeą. Zanim jednak dobiegł do otwartych drzwi, wyprysnęły stamtąd cztery postacie. Pierwsza była drobna i różowa, druga — żółta; za szybą kasku widać było skupioną twarz Barbary. Skafander Adama, który biegł jeszcze z gołą głową, był pomarańczowy. Darek pomyślał przelotnie, że to ładny zwyczaj — ubierać tak kolorowo mieszkańców kosmicznej stacji. Spojrzał po sobie i stwierdził, że jest złotobrazowy. W tym momencie ktoś chwycił go za rękę i szarpnął do przodu.

— Nie gap się! — usłyszał lekko tylko zdyszany głos Adama. — Lustro będzie w dyspozytorni!

Nie było czasu na to, żeby się obrazić lub choćby odciąć jakimś celnym słówkiem. Syrena nadal wzywała do pośpiechu, a różowy i żółty skafander zniknęły już za drzwiami atelier. Darek uznał więc, że ani to „nie gap się”, ani tym bardziej wzmianka o lustrze nie były adresowane do niego, i ruszył ostrym sprintem. Już po chwili wyprzedził wiśniowego Mammeę.

Jak wicher przelecieli przez salę, minęli hall, przebiegli obok służy, przez którą dziś rano weszli do stacji, i wpadli w szeroki korytarz, wznoszący się niezbyt stromo ku górze. Tutaj wreszcie Adam i Mammea, ani na chwilę nie zwalniając tempa, skończyli zabiegi wokół swoich skafandrów.

Korytarz doprowadził ich do okrągłego, pionowego szybu przypominającego wnętrze starej ba-

szty. Wzdłuż ścian ciągnęły się zwinięte spiralnie schody. Mammea wpadł na nie pierwszy i, przeskakując po dwa stopnie, zaczął biec w górę. Kobiety, nieco wolniej, podażyły za nim. Darek wpatrzony w umykające przed nim plecy Barbary postawił nogę na pierwszym stopniu i w tym samym momencie zderzył się z kimś. Kiedy odzyskał równowagę, spojrzał rozdrażniony w bok i wtedy dopiero zrozumiał, że to on sam wpadł na kogoś, kto znalazł się u podnóża schodów o ułamek sekundy wcześniej niż on. Mruknął: „przepraszam”, i przepuścił jakąś dość drobną postać w błękitnym skafandrze.

Słuchawki wewnątrz jego kasku powiedziały:

— Baran!

Darek zdumiał się ogromnie.

— Co? — spytał niezbyt mądrze.

— Że baran, to baran — przytaknął drugi głos, z całą pewnością męski, chociaż niezbyt gruby. Nawet zgoła cienki, gdyby ktoś już koniecznie chciał wiedzieć.

Darek spostrzegł, że za nim podąża jeszcze jeden — granatowy — skafander.

— Pewnie któryś z tych filmowców. Głos osóbkki idącej przed Darkiem był nawet niezbyt zdyszany, za to aż ociekał pogardliwą ironią, a należał niewątpliwie do istoty płci żeńskiej. Sądząc zaś z tego, co ten głos mówił o filmowcach, jego właścicielka była stałą mieszkanką stacji.

Pionowy szyb stanowił jedyną pieszą drogę do dyspozytorni i spotkali się w nim teraz wszyscy, tak goście, jak i gospodarze. Normalnie mieszkańcy różnych poziomów korzystali na pewno ze swoich własnych dźwigów. W czasie alarmu jednak nie wolno używać wind. O tym wie każdy, kto zna zwyczaje panujące w kosmicznych bazach. Chodzi o to, by nie ugrzęznąć między piętrami, kiedy na skutek jakiejś katastrofy ludzie musieliby opuścić stację.

Tak więc Darek doskonale znał okoliczności, którym zawdzięczał podsłuchany dialog granatowego z błękitna. Zupełnie nie rozumiał natomiast, czym sobie na taki akurat dialog zasłużył.

— Mogłaś go przepuścić — powiedział męski sopran — musi umierać ze strachu. Tego było już nadto.

— Kto umiera ze strachu?! — syknął Darek. — Powiedziałem przecież „przepraszam”!

— W każdym razie zapomniał języka w gębie — zgodziła się błękitna. — Pewnie, że przepuściłabym go, ale wpadłam tam z rozpędu i nie zauważyłam nawet, kiedy się na mnie zwałił.

Cała ta rozmowa odbywała się przy wtórze dudnienia schodów.

Darek przez chwilę wsłuchiwał się w nierówny werbel stóp atakujących metalowe schody i nagle spłynęło na niego olśnienie. Radio! Zapomniał o radiu! Rzeczywiście — baran.

Wdusił mikroskopijny guziczek sterczący z naszywki na rękawie i powtórzył na głos:

— Rzeczywiście, baran. Powiedziałem „przepraszam”, ale zapomniałem włączyć mikrofon. Więc przepraszam jeszcze raz i skończmy już z tym. Nawiasem mówiąc, to prawda, że przyleciałem z filmowcami... Ale po pierwsze, nie umieram ze strachu, a po drugie, nie chciałem nikogo popychać. Tak się zdarzyło...

— Och! — wykrzyknął niewieści głosik.

— Zdaje się — zawtórował granatowy — że teraz ja powinienem powiedzieć „przepraszam”.

Na tym jednakże wymiana uprzejmości została chwilowo zawieszona, ponieważ akurat skończyły się schody. Błękitna, a za nią Darek wbiegli na stalowy pomost, który otaczał na wysokości półtora metra ogromną halę nakrytą półkolistym dachem. Pod nimi, pośrodku hali, znajdował się okrągły pulpit najeżony antenami sterzącymi z kilkunastu ekranów. Wewnątrz kręgu utworzonego przez ten pulpit widniała sylwetka mężczyzny w białym jak śnieg skafandrze. Mężczyzna był bez kasku. Miał ciemną, pociągłą twarz i niemal równie białe jak skafander włosy, gładko zaczesane do tyłu.

Darek rozejrzył się. A więc pracownia projektowa, którą oddano filmowcom, nie była największym pomieszczeniem na stacji. Tutaj można by z powodzeniem rozegrać mecz koszykówki. A pomost, na którym stali, to wymarzone trybuny.

— Jak się czujesz? — usłyszał głos Adama. Odwrócił się, ale w tym samym momencie trzy czy cztery głosy naraz odpowiedziały:

— Dziękujękukuję dodobrzebrze...

— Ja też — potwierdził po chwili chłopiec. Na tarasie zebrało się kilkanaście kolorowych skafandrów. Nagle ukazał się jeszcze jeden, zielony. „Spóźnialski” — pomyślał niechętnie Darek. Odwrócił głowę. Obok niego stał Bo. Jego twarz, widoczna za przezroczystą banią kasku, odzyskała już normalny wyraz. Tuż przy kamerzyście zatrzymał się Adam, zaraz za nim błękitna i granatowy.

Mężczyzna w białym skafandrze pochylił się nad pulpitem i wdusił jakiś klawisz. Niemał równocześnie z głośników popłynął jego spokojny baryton:

— Odwołuję alarm drugiego stopnia. Wszystkie urządzenia funkcjonują już normalnie.

Dziękuję.

Dały się słyszeć zaledwie dwa lub trzy niegłośne westchnienia ulgi. Ludzie nie przejęli się za bardzo alarmem.

— Dlaczego, kiedy coś się dzieje, wzywają załogę właśnie tutaj? — spytał Darek mocując się z zatrzaskami swojego hełmu.

— Bo ta część stacji — odpowiedział swoim wysokim głosem granatowy — jest specjalnie opancerzona i stanowi jakby oddzielną całość. W razie potrzeby może się odłączyć i przemienić w statek kosmiczny o własnym napędzie.

Darek zdjął kask i zwrócił głowę w stronę mówiącego. Ten także zdążył już odstąpić swoją kruczoczarną czuprynę. Pod tą czupryną widniała twarz młodego chłopca, starszego najwyżej o rok od pewnego „filmowca”, zwanego też czasami „baranem”. Miał smagłą cerę i duże, białe zęby, które w tej chwili pozwalał podziwiać w całej ich okazałości.

Darek już chciał podziękować nieznanemu za odpowiedź i zrewanżować mu się uśmiechem, kiedy jego wzrok padł na stojącą tuż obok dziewczynę. Podobnie jak jej towarzysz pozbyła się już kasku i przyciskała go teraz oburącz do swej błękitnej bluzy. W jej czarnych oczach wpatrzonych w Darka tliły się iskiarki śmiechu zaprawionego kpina. Zęby miała równie olśniewającej białości, co granatowy, jednakże znacznie drobniejsze. Oprócz wspomnianych ząbków w jej twarzy zwracały uwagę dwa okrągłutkie dołeczki w pełnych policzkach i duże oczy zwężające się ku skroniom.

Nad tym wszystkim widniała czarna grzywka nieco odstająca od czoła. Dziewczyna. Błękitna. Ta od „barana”.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim Darek zdołał wreszcie powiedzieć:

— Dziękuję. Granatowy zaśmiał się głośno. Taki te zęby mógłby mieć trochę mniejsze.

— Nie trzeba — odpowiedział wesoło. — Coś ci się należy za to, co usłyszałeś ode mnie i mojej słodkiej siostrzyczki. Nie wiedzieliśmy, że nie masz włączonego mikrofonu. Ale usłyszałeś wszystko, prawda?

Darek przytaknął niechętnie.

Bezwiednie odwrócił się i poszukał wzrokiem Soni. Złocista pozwalała jeszcze Bo i Adamowi uwalniać z baniastego kasku swoją piękną główkę. Reporter manipulował przy zatrzaskach, ale nie spuszczał wzroku z Barbary. Ytterby z kolei popatrywał co chwilę w stronę schodów. Oparty o poręcz stał tam ten zielony, który przybiegł ostatni. Jego głowa nadal tkwiła w próżniowym hełmie.

W głośnikach coś szcęknięło, salę wypełnił ponownie głos dyspozytora.

— Wszystko jasne — powiedział. — Pewnie chcecie wiedzieć, co to było. Automaty kontrolujące kable kriogeniczne natrafiły na miejsce o osłabionej wytrzymałości. Zadały pytanie dyżurnemu technikowi, czy mogą na chwilę przerwać osłonę kabla. Jak wiecie, te kable biegną rurami wypełnionymi ciekłym helem. Panuje w nich temperatura minus dwieście sześćdziesiąt dziewięć stopni Celsjusza. Dyżurnego nie było jednak na stanowisku. W tej sytuacji centrala, łączności przekazała pyta

nie dyspozytorowi stacji, czyli mnie. Zabroniłem przerywania osłony, ale ponieważ brak odpowiedzi automaty zawsze przyjmują jako potwierdzenie, a między ich pytaniem i moją odpowiedzią minęło siedem sekund, rozdzieliły rurę i przystąpiły do spawania zagrożonego miejsca. Oczywiście, ciekły hel wystrzelił na zewnątrz, co spowodowało, że czujniki automatycznie ogłosiły alarm. Teraz temperatura w pomieszczeniach, do których przeniknęły pary helu, wyrównuje się i wszystko jest już w porządku. Pozostaje nam tylko jeszcze spytać, dlaczego dyżurny technik, Achilles Mykeskes, opuścił swój posterunek. Dziękuję.

Głośniki umilkły. Nastąpiła cisza. Dyżurny zszedł ze stanowiska. Automaty nie otrzymały na czas odpowiedzi. Ciekły hel wydarł się z przewodów i przedostał do wnętrza stacji.

Darek zrozumiał, co powiedział dyspozytor, ale nie mieściło mu się to po prostu w głowie. Nie słyszał dotąd, żeby żywy technik, pełniący dyżur w obiekcie kosmicznym, opuścił swój posterunek.

W tym momencie za plecami chłopca powstało małe zamieszanie. Odwrócił się i ujrzał spoconą łysinę Werwusa. Grubas stał z załamanyymi rękami przed reżyserem. Widać było, że znajduje się w stadium skrajnej rozpaczki.

— Mówię ci, Lwizwis — dobiegł Darka gorączkowy, zdyszany głos — że nie ma. Nie ma i nie będzie. Przeszukałem wszystko. Koniec. Zabij mnie, pokraj na plasterki, posól, natrzyj czosnkiem i upiecz, jeśli została jeszcze mysia dziura, do której bym nie zajrzał. Nie ma i już.

Tym razem reżyser nie zbył Werwusa jakimś rzuconym od niechcienia słówkiem. Nie zanosilo się wprawdzie na tu, że spużyje grubasa pokrajanego w talarki, jak ten sobie życzył, ale twarz mu, zmierzchła.

— Ładna historia — mruknął ponuro. — **Co, u licha, mogło się z nimi stać?**

Granatowy ożywił się nagle. Spojrzał na Darka, jakby właśnie odkrył, że temu wyrosło trzecie ucho.

— Słuchaj — odezwał się z podejrzanym entuzjazmem — a może to ty jesteś tym gwiazdorem, który będzie grał główną rolę?

Darek w ułamku sekundy przestał się interesować lamentami kierownika produkcji.

— Nic nie wiemy żadnym gwiazdorzem — odpowiedział sucho.

Miał nadzieję, że na tym się skończy, nie przewidział jednak, że akurat w tym momencie Adam ukończy swój taniec wokół anielicy i uzna za stosowne skierować uwagę na Darka. Dotarli do niego ostatnie słowa chłopca i skwitował je okrzykiem zdumienia.

— Kto tu nie słyszał o sławnym gwiazdorzem?! — zawołał z udanym oburzeniem. — Macie przed sobą — skłonił się błękitnej i granatowemu, wskazując na bratanka — pana Darka Ryskę, królewicza, a w przyszłości króla ekranów.

Królewicz syknął, jakby mu ktoś nalał wrzątku za kołnierz.

— Czy pani Barbara — spytał, dobitnie akcentując słowa — zrezygnowała już z twojej opieki, drogi stryju?

Adam natychmiast poszybował wzrokiem nad głową chłopca w stronę, z której w sekundę póź-

niej dobiegł jadowity, a równocześnie dziwnie udręczony głosik:

— Głowa mi pęka. Powinni lepiej się zastanowić, zanim każą ludziom wkładać te łachy i biegać w nich po schodach. Chodźmy stąd, bo jutro będę do niczego.

— Zobaczysz, kochanie — zabrzmiał bas Lwizwi-sa, który uwolnił się w końcu od Werwusa i podszedł do Soni — że wszystko będzie dobrze. Wyglądasz jak bóstwo.

— Jak dwa bóstwa — poprawił Bo. Darek drgnął mimo woli. Głos kamerzysty brzmiał wprawdzie niemal normalnie, ale tego „niemal” wystarczyło, aby chłopcu stanęło przed oczami wszystko, co ujrzał w komórce przy końcu korytarza. Spojrzał ponuro na Bo i zamyślił się.

Tak się jednak tego feralnego dnia składało, że ilekroć próbował się nad czymś poważnie zastanowić, tyle razy ktoś lub coś stawało mu na przeszkodzie. Teraz w roli owej przeszkody wystąpił granatowy.

— Zdaje się — powiedział tonem nagany — że mamy tu kogoś, kto odciąga uwagę tłumów od naszego królewicza.

— Na to wygląda — zgodziła się błękitna. — To pewnie twoja partnerka?... — musnęła Darka przelotnym spojrzeniem.

— Tak — burknął krótko chłopiec.

— On jest zazdrosny. — stwierdził granatowy, błyskając swoimi olśniewającymi zębami.

— Wszyscy prawdziwi artyści są zazdrośni — pouczyła go błękitna.

— Ładna — oświadczył jej brat. — Nawet bardzo.

— Bardzo — przytaknęła czarnula. — Mogłabym mieć jej zdjęcie w jadalni. Nie musiałabym słodzić herbaty. Od cukru się tyje.

— Nie wiem, kto teraz jest zazdrosny — zauważył rzeczowo granatowy. — Zresztą, on też jest ładny — wskazał brodą Darka, nie przestając jednak wpatrywać się w Sonię. Widać było, że złotowłosa wywarła na nim duże wrażenie.

— On? Czy ja wiem... — zanuciła z powątpiewaniem jego siostrzyczka. — Ma piegi — odkryła nagle.

— W każdym razie będziemy musieli obejrzeć ten film — mruknął granatowy tonem wytrawnego krytyka obiecującego sobie niewysłowione rozkosze przed wieczornym widowiskiem, które ma zrobić generalną klapę.

Darek demonstracyjnie odwrócił się na pięcie, skierował wzrok w stronę, gdzie spodziewał się ujrzeć Adama, ale ujrzał coś zupełnie innego. Coś, co sprawiło, że natychmiast zapomniał o złośliwościach miejscowego rodzeństwa i fochach swojej partnerki. Coś, od czego dosłownie i gruntownie замуrowało mu dech w piersiach.

Ten spóźnialski, zielony, był już bez kasku. Jego twarz... jego twarz...

— Proszę, żeby pan Mykeskes pozostał w dyspozytorni — powiedział w tym momencie przez głośniki mężczyzna w białym skafandrze.

Darkowi wydało się to wszystko jakimś upiór-nym snem. Ale to nie był sen...

Chwilę stał jeszcze jak skamieniały, po czym rzucił się na oślep przed siebie. Dopadł Bo Ytterby'ego, kiedy ten stawał już nogę na pierwszym stopniu schodów, i chwycił go kurczowo za ramię.

— Bo — wykrztusił — t o j e s t ten trup! Kamerzysta zatrzymał się jak wryty. Jego oczy błyskawicznie przebyły drogę od Darka do zielonego i z powrotem. Następnie odszukały Joego Gratha, który był zajęty rozmową z Lwizwisem.

— Tsss... — twarz Bo stała się biała jak kreda. — Ani słowa!

— Ale... ale... — wyjąkał chłopiec.

— Nie teraz — syknął Bo. — Potem!

— To jest ten człowiek! — powtórzył nieprzytomnie Darek. — Ten, który tam siedział... nieżywy.

Bo wyprostował się z trudem i głęboko odetchnął.

— Wyjaśnię ci — powiedział zachrypniętym głosem. — Ale na razie pamiętaj, ani słowa, bardzo cię proszę.

— Czy mi się zdawało, czy mówiłeś o jakimś trupie? — Mammea podszedł tak cicho, że kiedy się odezwał, chłopiec aż podskoczył. — Czyżby ktoś zginął? A może zauważyłeś coś niezwyklego zanim spotkaliśmy się wtedy w końcu korytarza? Pamiętasz? Kiedy szukałeś swojego kogucika? Nie odpowiedziałeś mi wówczas — przypomniał z łagodnym wyrzutem, jego oczy patrzyły jednak twardo i badawczo.

Darek poczuł, że Bo zadrżał, zdjął więc rękę z jego ramienia, odstąpił o krok i, starając się panować nad głosem, oświadczył:

— Nie wiem, o czym pan mówi. Trup? Jaki trup? A teraz panowie wybaczą, muszę koniecznie porozmawiać z moim stryjem.

Nie czekając na odpowiedź, zbiegł kilkanaście stopni, po czym zatrzymał się i spojrzął w porę.

Przewieszzone nad poręczą białą tam dwie twarze, z których jedna była nierównie bledsza, druga natomiast odcinała się jaskrawo od wiśniowego skafandra. Miał wielką ochotę dodać otuchy Bo, zapewnić, że może liczyć na jego, Darka, dyskrecję. Nie mógł jednak tego zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń Mammei, nie skierować jego uwagi na osobę kamerzysty. Skinął więc tylko lekko głową i ponownie zaczął zbiegać w dół, przeskakując po trzy stopnie.

Dogonił Adama, który szedł za paniami Lewis. Nie, nie powie wszystkiego. Ani o operatorze, ani o Mammei, ani też o tym, że Bo przyjął zmartwychwstanie nieboszczyka jako rzecz najnaturalniejszą pod słońcem. Porozmawiać z Adamem musi jednak koniecznie. Trzeba się tylko postarać, żeby stryj tym razem trafił do właściwej kabiny. Niech pozwoli trochę odpocząć złotowłosej i jej nadobnej

opiekunce.

— Słuchaj — powiedział półgłosem do Adama — muszę z tobą porozmawiać. Ważne!

To: "ważne", było hasłem, którego reporter, trzeba mu to przyznać, nie zlekceważył jeszcze nigdy. Także i tym razem spojrzał bystro na chłopca i krótko skinął głową.

— Dobra — mruknął. — Idziemy.

„Kiedy trzeba, potrafi być naprawdę równym facetem” — pomyślał Darek. Na przykład teraz. Kto inny zaraz zacząłby wypytywać: co, kiedy, gdzie i tak dalej. Adamowi wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że chodzi o coś co musi zostać

powiedziane, kiedy będą sami.

— Swoją drogą — mruknął po chwili "równy facet", bardziej do siebie niż do chłopca —

chciał-
bym wiedzieć, co takiego stało się temu zielonemu, że zszedł z posterunku. To chyba pierwszy tego rodzaju wypadek w całej historii podboju kosmosu, Chłopiec aż przysiadł.

— Komu? — spytał nie swoim głosem, Adam spojrzał na niego zdumiony.

— Powiedziałem: zielonemu, bo miał na sobie zielony skafander. Pewnie go nie zauważyłeś. Przyszedł ostatni.

Ostatni przyszedł trup.

— Czy to właśnie był ten dyżurny technik, który opuścił swoje stanowisko? — upewniał się gorączkowo Darek.

— Owszem — przytaknął stryj. — Nazywa się Mykeskes. Achilles. Jak na ironię — dodał zjadliwie.

Chłopiec przez dłuższą chwilę usiłował zebrać myśli.

— Pewnie odeślą go teraz na Ziemię — wyszeptał wreszcie. Adam jednak usłyszał,

— Powinni to zrobić jeszcze dzisiaj — zgodził

się.

Darek już nic nie powiedział.

ŚLADY wśród GWIAZD

Słomianego kogucika Darek postawił na szafce, koło innych drobiazgów. Obdarzył go ciepłym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Adama:

— Uczyłem się o fantomatyce — zaczął — ale niewiele pamiętam. Powiedz mi, dlaczego Werwus robi tyle zamieszania z powodu tych obiektywów?

Reporter pomyślał chwilę.

— Uczyłeś się, mówisz — bąknął wreszcie bez przekonania.

— No... — potwierdził równie niepewnie Darek,

Stryj westchnął.

— Trzeba mieć specjalne pozwolenie, żeby ich

używać.

— Dlaczego?

— A mówisz, że się uczyłeś?

— Nie moglibyśmy przejść nad tym do porządku? — zaproponował wyzywająco chłopiec.

Adam uśmiechnął się blado.

— Przynajmniej szczerze — przyznał. — No cóż, był czas, gdy fantomatyka zastąpiła na Ziemi narkotyki.

— Narkotyki?

— Kiedyś przysparzały ludziom sporo kłopotów. Tym, którzy je zażywali, i tym, którzy walczyli z tą plagą. To były różne środki oszałamiające. Paliło się je, by wdychać dym, albo inaczej wprowadzało do organizmu.

— Po co?

Adam wzruszył ramionami.

— To teraz trudno wytłumaczyć. Pod ich wpływem ludzie na jakiś czas tracili świadomość... i odrywali się od rzeczywistości. Nawiedzały ich różne wizje, czasem bardzo piękne, pozornie. Wydawało im się, że wędrują po dziwnych światach, że przeżywają niestychane przygody. Do narkotyków było bardzo łatwo się przyzwyczaić, a kiedy ktoś się przyzwyczaił, to było już po nim. Kupował te środki za wszystko, co miał, skazywał siebie i swoją rodzinę na nędzę, nawet na śmierć z głodu, byle tylko móc kupić znowu chwilę tego zapomnienia.

— Kupić? — Darek uniósł brwi. — To po co je sprzedawano?

— Nie sprzedawano ich oficjalnie. Robili to przestępcy, handlarze narkotyków. Doskonale zdawali sobie sprawę, co tamtych czeka, ale nic ich nie obchodziło poza zyskiem. Ceny narkotyków były bardzo wysokie.

Darek pomyślał dłuższą chwilę.

— A po co ludziom były właściwie potrzebne te wycieczki w jakieś urojone światy?

— Będziesz się jeszcze uczył historii — oświadczył Adam niemiłym tonem dorosłego, który nie bardzo wie, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

To było coś nowego, jeśli chodzi o t e g o dorosłego, i Darek pokręcił z dezaprobatą głową.

— To znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć? —

spytał chłodno.

— Nie nie chcę — odparł szybko stryj — tylko nie bardzo potrafię. Świat był wtedy zupełnie inny. Ludzie już przewidywali, że będą latać na in-ne planety, że nauka stoi tuż-tuż przed rozwiązaniem najgorszych problemów, to znaczy głodu, chorób, przedwczesnej starości, wzajemnej wrogości jednostek i całych dużych grup. Rozumiesz? Wiedzieli, że to wszystko niebawem przestanie ich trapić, że teoretycznie już może przestać ich trapić, a równocześnie w codziennym życiu byli jeszcze stale narażeni na śmierć, kalectwo, głód, na świadome, wrogie działanie innych. Nieliczni posiadali olbrzymie majątki, a całe narody przymierały głodem. Nie wszyscy wytrzymywali napięcia, jakie rodziła taka sytuacja. To musisz przecież wiedzieć — zirytował się nagle.

— To wiem — przytaknął Darek. — Nigdy tylko nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludziom tak trudno było poradzić sobie z tymi wszystkimi głupstwami. A teraz mówisz jeszcze, że wtedy właśnie zażywali jakieś środki, żeby zapomnieć o tym ich świecie, zamiast robić, co się tylko da, żeby go szybciej zmienić.

— Zaczekaj! — wykrzyknął Adam. — Brawo! Trafieś w sedno. Widzisz, tacy słabeusze, jak kiedyś narkomani, trafiają się niekiedy i dzisiaj. A w każdym razie nie brakowało im jeszcze pięćdziesiąt lat temu, kiedy wyprodukowano pierwsze projektory fantomacyjne. I ci ludzie bardzo szybko zaczęli nadużywać fantomatyki, sięgając do niej tak, jak tamci przedtem sięgali po narkotyki. Te projektory nadają rozmaite fantastyczne wrażenia bezpośrednio do mózgu, do jego różnych ośrodków. Wystarczy je odpowiednio nastawić, a potem usiąść w zasięgu ich promieniowania, żeby przeżyć całe życie... w nie istniejącym świecie. Można spotykać się ze znajomymi lub wymyślonymi ludźmi, kochać ich czy bić się z nimi, być wielkim uczonym, władcą, bo ja wiem jeszcze czym... Wszystko na niby, ale tak, jakby to działało się naprawdę. Przedmioty w tym urojonym świecie dają się dotykać, można czuć wiatr, zapachy, można całować się z dziewczynami albo wykąpać się w morzu. Nerwy reagują tak, jakby całe ciało — palce, oczy, nos — dostarczało im prawdziwych bodźców. Można na przykład być groźnym szeryfem na dawnym Dzikim Zachodzie, strzelać, galopować

przez prerię, walczyć z bandytami, kłaść się spać, budzić, jeść, tak rok po roku... A równocześnie nie ruszać się z fotela. Rozumiesz już, dlaczego zacząłem przedtem mówić o narkotykach?

— Powiedzmy, że rozumiem — bąknął Darek bez zbytniego przekonania. — Tylko że teraz przecież świat nie jest już taki, żeby chciało się od niego uciekać?

— Od żadnego rzeczywistego świata nie wolno uciekać. Ani teraz, ani pięćset lat temu — odparł dziwnie stanowczym tonem Adam. — Pomijam już, że ludzie, którzy to robili, wpadali w straszne choroby. Ale równocześnie odbierali siebie samych innym ludziom, którym mogliby służyć swoją pracą, energią, wiedzą. Niestety jednak, jak powiedziałem, słabeusze trafiali się zawsze... i trafiają także teraz. Jeszcze stosunkowo. niedawno Służba.

Ochrony Zdrowia wykrywała całe nielegalne składy tych obiektów.

— Takich — przerwał Darek — jak te, które zginęły Werwusowi?

Adam umilkł. Przez dłuższą chwilę przyglądał się badawczo swemu podopiecznemu, a potem nagle powiedział zmienionym głosem:

— Darek?... Chłopiec spuścił oczy.

— Darek, ty coś wiesz...

Cisza.

— Synu — ton Adama stał się bardzo poważny — nie mam zwyczaju cię przyciskać, ale tym razem... Darek, ważne — rzucił hasło.

Chłopiec ciężko westchnął.

— Powiedz mi jeszcze — spytał — czy ktoś, kto by tutaj ukradł te obiektywy, mógłby coś na tym skorzystać?

— Wiem, kto mógłby stracić — odparł ponuro reporter. — Na przykład Lwizwis. On właśnie wystarał się o pozwolenie. Uznał, że scenografia przestrzenna to dla was za mało. Chciał Soni i tobie urządzać małe, powiedzmy, seanse fantomatyczne. Żebyście "naprawdę" przeżyli wszystko, co przewidują wasze role. Twierdził, że potem, mając świeżo w pamięci porwanie, całe to państwo automatów, ucieczkę i tak dalej, będziecie grać o wiele lepiej. Nie uważam tego za szczęśliwy pomysł. Moim zdaniem uporalibyście się z tym świetnie sami. Ostatecznie, to żadna sztuka wyobrazić sobie, że leci się w oryginalnie zbudowanym statku mię-dzygwieżdnym.

Darek uśmiechnął się mimo woli, chociaż wcale nie było mu wesoło.

— Dla mnie żadna, ale dla tej dziewczyny, która ma mnie uczyć, jak wygląda przestrzeń międzyplanetarna, kto wie...

— Myślę — odpowiedział nie bez szczypty ironii w głosie Adam — że jeśli chodzi o fantazję, dobraliście się w korcu maku. Do przesadnie lęklwych i zahukanych ona też, jak mi się zdaje, nie należy.

— Nie — przytaknął Darek. Roześmieli się obaj krótko. Natychmiast jednak spowaźnieli.

— Darek — przypomniał stryj — powiedziałem: ważne!

Dłuższą chwilę w kabinie znowu panowało milczenie. Wreszcie chłopiec wyprostował się i spojrzął na Adama.

— Może wiem, może mi się tylko zdaje — rzekł zachrypłym lekko głosem. — Ale obiecałem ko-

mus, że nic nie powiem, dopóki z nim nie porozmawiam. Co byś zrobił na moim miejscu?

— Nie dawałbym takiej obietnicy — odpalił szybko reporter. Darek przełknął ślinę.

— A jeśli byś już ją dał?

Adam przygryzł wargę i zastanowił się. W końcu wzruszył ramionami i rzucił nienaturalnie obojętnym tonem:

— Niech będzie. Nie chcę, żebyś przeze mnie stracił szacunek dla samego siebie. Tylko widzisz... nie chcę także, żebyś wpadł w jakieś paskudne tarapaty. Jeśli z kolei ja dam ci słowo, że nie pisnę nic nikomu, dopóki naprawdę nie będę musiał, czy powiesz mi, z kim musisz odbyć tę rozmowę?

Darek zastanawiał się chwilę. Niezbyt długo.

— Z Bo — wyznał.

— Z Bo Ytterbym?

— Tak.

Adam zamyślił się.

— No cóż — mruknął. W końcu — ten facet wygląda mi na normalnego. Co nie znaczy, że...

Minutę, może dwie, nikt nic nie mówił. Skądś, z daleka dobiegał cichutki świergot sprzężarek tłoczących powietrze, przypominający śpiew samotnego, uwięzionego świerszcza. Poza tym panowała absolutna cisza.

Pierwszy przerwał milczenie Darek.

— Czy wiesz — spytał z wahaniem — jak wygląda taki aparat fantomatyczny? Reporter drgnął.

— Kiedyś to były duże projektory podobne trochę do kinowych, Potem nauczyli się robić te obiektywy... Bo ja wiem — wzruszył ramionami — wcale nie są większe od butelek z kolą. Pamiętam pewną sprawę, dotyczyła człowieka, który był zamieszany... Ale mniejsza z tym — urwał nagle. — Tyle robiłem już tych reportaży...

Nagle spojrzął na zegarek i strzelił palcami ze złością.

— No, jasne — zawołał — już się spóźniłem na spotkanie z dyspozytorem! Słuchaj — spojrzął gorączkowo na chłopca — nie chciałbym zostawiać cię samego, ale...

W jego wzroku odbiła się tak błagalna prośba, że Darek musiał się uśmiechnąć.

— Zdażyłem się przyzwyczaić — bąknął. — Idź, idź...

Adam zaśmiał się. Znowu był sobą — wszędobylskim dziennikarzem pochłoniętym bez reszty myślą o tym, co jeszcze ciekawego dałoby się gdzieś wyszperać.

— Tym razem naprawdę tylko na chwilę. Ja... — zamachał rękami i już go nie było.

Chłopiec wpatrywał się chwilę w zamknięte drzwi, kręcąc z niedowierzaniem głową. Gdyby jeszcze mieć pewność, że Adam naprawdę pójdzie do dyspozytora, że nie ugrzęźnie w sąsiedniej kabinie...

Uśmiechnął się do swojej myśli, ale potem ta myśl ustąpiła innej i twarz chłopca z powrotem się zachmurzyła. Podeszedł powoli do fotela i opadł ciężko na jego poduszki. Fotel natychmiast przekształcił się w wygodną leżankę.

Dłuższy czas leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit. Przez jego głowę przesuwały się strzępy myśli, jak baraszkuje w powietrzu kawałeczki bibułki, na której ktoś przedtem namalował obraz.

Te luźne, nie związane ze sobą myśli także nie tworzyły żadnej logicznej całości. Z ich barwy wynikało jednak, że obraz był raczej mroczny, ponury i groźny.

Wreszcie chłopiec poruszył się niecierpliwie, podłożył ręce pod głowę. Zmiana pozycji odbiła się korzystnie na jego nastroju. Zobacz, co mu powie Bo... Wtedy będzie czas na zastanowienie się. Na razie i tak musi czekać na Adama.

Postanowił myśleć o czymś weselszym. I od razu, jakby ten obraz czekał już w jego podświadomości na taką okazję, ujrzał smagłą dziewczynę z czarną grzywką.

Ciekawe, kim byli ta błękitna i ten granatowy. Sprawiali wrażenie zadomowionych tutaj na dobre. Co nie znaczy, by zanadto przejmowali się rolą gościnnych i usługowych gospodarzy.

Darek nie był zawzięty. Nie miał im też specjalnie za złe, że nie potraktowali go z całą należną obcemu powagą i szacunkiem. Gwiazdy ekranu... Cóż to właściwie znaczy dla kogoś zajętego prawdziwymi gwiazdami?

Nie powiedzieli sobie nawet do widzenia. Ale to on sam wybiegł stamtąd jak oparzony. Mieli pełne prawo pomyśleć, że ma którąś klepkę lekko oblużowaną. Gdyby wiedzieli, że zostawił ich tak bez słowa, bo ujrzał... trupa! Trupa, który jakby nigdy nic, z lekko tylko przybladłą twarzą wszedł do dyspozytorni i chodził między ludźmi.

Pantomatyka, projektory, przestrach Bo, szkaradny uśmiech Gratha, podejrzana ciekawość tego niepozornego Mammei, żywy trup... A z drugiej strony — złotowłosa piękność i jej opiekunka, która najwyraźniej wprawia Adama w stan lekkiego po mieszanianiu zmysłów. A teraz Jeszcze ta czarna i jej braciszek. Wpatrywał się w Sonię jak w tęczę, chociaż miał tyle do powiedzenia o „gwiazdorach”.

Darek uczył w sercu lekkie ukłucie. Zazdrość? O kogo? O Sonię? Nonsens. Poza tym ona by nigdy... to znaczy, on by nigdy...

Nie wiadomo, jakim torem potoczyłyby się dalej myśli chłopca, gdyby nie zostały brutalnie przerwane. Pchnięte od zewnątrz drzwi zadygotały wściekle i do kabiny wpadł Adam. Właśnie

„wpadł”, a nie wszedł czy wkroczył.

— Zbieraj łachy i chodź! — krzyknął od progu. Oczywiście o żadnych łachach nie mogło być mowy. Darek oprócz tego, co miał na sobie, mógł zabrać najwyżej pościel. Sformułowanie "zbieraj łachy" dobrze jednak podkreślało fakt, że mówiącemu zależy na pośpiechu, i chłopiec gotów był bez dyskusji uznać tę próbkę stylu wielkiego reportera.

— Pali się? — spytał, siadając na leżance, której oparcie natychmiast samo uniosło się za jego plecami, tworząc z powrotem fotel.

— Będzie się palić! — odkrzyknął Adam z głębi swojej szafki.

Na podłogę zaczęły wylatywać miniaturowe kamery, przekaźniki, taśmy i szpulki przewodów.

— Zaraz będą rozsadzać tę planetoidę! — głos Adama dudnił wewnątrz schowka.

Wreszcie jego stopy zaczęły sunąć rakiem ku środkowi kabiny, pociągając za sobą resztę ciała. Na końcu ukazała się głowa pokryta straszliwie zmierzwioną czupryną,

Wyprostował się, zgarnął swój reporterski warsztat i zaczął go starannie upychać po kieszeniach.

— Polecieć już nie zdążymy, ale nic straconego, bo na jutro zaplanowali następny wybuch. Teraz możemy to sobie obejrzeć na ekranach... jeśli oczywiście zdążymy wstać z fotela — dorzucił znacząco.

Darek podskoczył.

— Dokąd? — burknął, pośpiesznie zmierzając w stronę drzwi.

— Do dyspozytorni. Tam chyba będzie najlepiej widać.

Tym razem nie musieli rezygnować z wind. Przy okazji chłopiec nauczył się wywabiać je ze ściany — wystarczyło nacisnąć jeden z guziczków tutejszych bluz.

Wewnątrz kolistego pulpitu w dyspozytorni siedział ten sam siwy mężczyzna, który ogłaszał, a następnie odwoływał alarm. Na pomoście obiegającym salę nie było teraz nikogo.

— Poczekaj tutaj — szepnął Adam i, przeskoczywszy poręcz, zszedł po pionowej drabince na główny poziom sali.

Zatrzymał się przy pulpicie, czekając, aż Nerpa przestanie na chwilę manipulować klawiszami. Każdy ruch dłoni dyspozytora powodował jakieś zmiany na tarczach stojących wokół niego ekranów. Raz była to gra kolorów, kiedy indziej rytmiczne lub przeciwnie, bezładne falowanie świetlnych linii. Czasami pojawiały się jakieś wzory lub pojedyncze cyfry. Na próżno jednak usiłował Darek odnaleźć na którejś z tych tarcz obraz planetoidy zawieszonyj tysiące kilometrów stąd, w kosmicznej przestrzeni. Chyba że przekazywał go jeden z najbliższych ekranów, odwróconych teraz do chłopca tyłem.

Dyspozytor oderwał wreszcie palce od pulpitu i zauważył stojącego obok mężczyznę. Wtedy Adam powiedział coś po cichu. Siwy odpowiedział krótko i uśmiechnął się.

— Idziemy dalej — oznajmił Adam. Właściwie nie Adam, a jego głowa, kiedy jej czubek ukazał się nad krawędzią pomostu.

Zaraz potem reporter przesadził poręcz i nieco zdyszany pobiegł z powrotem w stronę windy. Darek skwapliwie podążył za nim.

Podjechali na wyższy poziom. Przeszli małą sień i ujrzeni przed sobą niewielkie, pancerne drzwi. Były uchylone. Przekroczyli niewysoki próg i...

Z dwóch piersi jednocześnie wyrwał się okrzyk zachwyty.

Przed nimi rozpościerała się szeroka i długa platforma. Cała ściana w głębi, na wprost drzwi, była przeźroczysta. Również wzdłuż jednej z bocznych ścian ciągnął się rząd wielkich okien czy ilumina-torów, przez które widać było czerń przestrzeni roziskrzoną miliardami złotych iskier.

— Nie sądziłem, żeby mieli tu coś takiego — powiedział po dobrej chwili Adam, kręcąc z uznaniem głową, — Przecież to tylko zwykła stacja robocza.

Na te słowa zareagowała żywo jakaś ciemna sylwetka stojąca pomiędzy nimi a szklaną płytą.

— W tej zwykłej stacji pracują ludzie, którzy budują niezwykle miasto — zabrzmiał urażony dziewczęcy głosik.

Darek nie musiał wyęczać wzroku, żeby rozpoznać osóbkę, do której ten głosik należał.

— Miło mi poznać niezwykłego człowieka — zaśmiał się nie zmieszany Adam. — Proszę

wybaczyc,

że tak się wyraziłem. To tylko z cielecego zachwytu. — Podeszedł do dziewczyny i przedstawił się: — Nazywam się Adam Ryska. A tam stoi Darek. Prawda, wy się już znacie...

— Anna — powiedziała osóbką z czarną grzywką, podając reporterowi dłoń. — A to jest mój brat, Marek — wskazała ledwie widoczną w mroku postać. — Nie chciałam powiedzieć nic złego — dodała przepaszającym tonem. — Tak mi się wyrwało.

— Zapomnijmy o tym, co się komu wyrwało — zaproponował wesoło Adam. — Przyszłście popatrzeć na ognie sztuczne?

— Nie takie znowu sztuczne — powiedział Marek. — W epicentrum anihilacji będzie około dwóch milionów stopni.

"Mądrzy się" — pomyślał Darek. Nie wiecieczemu, sprawiło mu to przykrość.

— Mój uczony brat gotów nam jeszcze znacznie dokładniej wytłumaczyć, co tam się będzie działo — oświadczyła z zabawną powagą Anna. — A gdzie druga gwiazda? — spytała spoglądając w stronę drzwi.

— Raczej pierwsza — poprawił Marek. Darek przypomniał sobie, że tym dwojgu był już coś niecoś dłużny.

— Chodź, stryju — powiedział spokojnie, zwracając się do Adama. — Sam widzisz, że mamy tu do czynienia z zainteresowaniami charakterystycznymi dla pewnego typu młodzieńczej mentalności. Oni potrafią myśleć i marzyć tylko o gwiazdach filmowych. Mnie natomiast, a sądzę, że i ciebie, bardziej interesują inne. Prawdziwa gwiazda — zwrócił się mimochodem do Marka — to taka ku la rozżarzonej materii krążąca po orbicie, dookoła środka galaktyki. Przy okazji wyjaśnię wam to dokładniej.

Wypuściwszy tę strzałę, ruszył prosto w stronę szklanej ściany. Zatrzymał się tuż przed nią i wtedy dopiero dobiegł go stłumiony chichot. Nie dane mu było jednak nacieszyć się tym zwycięstwem. Ujrzał bowiem coś, co natychmiast kazało mu zapomnieć o gwiazdach, przynajmniej filmowych. A nawet o złotych lokach i czarnej grzywce.

Za przeźroczystą ścianą platforma ciągnęła się dalej. O ile jednak tutaj, pod dachem, była to tylko duża, pusta sala, o tyle tam, na zewnątrz, w międzyplanetarnej pustce, gdzie panowały temperatury dochodzące do absolutnego zera, gdzie nie było śladu powietrza ani innych gazów, gdzie bezkarnie plądrowały strumienie najrozmaitszego promieniowania kosmicznego — rozciągał się najprawdziwszy ogród. Rosły tam niewielkie, rozłożyste drzewa okryte zielonymi liśćmi i kwiatami. Na niezbyt starannie przystrzyżonym trawniku urządzono małe oazy ozdobnych roślin. Kwitły bratki, azalie, irysy, ścieliły się barwne dywany mchów. Przy ścieżkach przemkających pomiędzy rabatami i drzewami widniały niewielkie latarnie, teraz wygaszone. W głębi rysowały się kontury sporego stawku, z fontanną i wielkimi liśćmi roślin wodnych.

Darek mimo woli westchnął z żalem.

— Wspaniałe — powiedział półgłosem. — Jaka szkoda, że to tylko złudzenie.

Usłyszał, że Anna i Marek wraz z towarzyszącym im Adamem stanęli tuż przy nim, i nie odwracając się dodał:

— Tak będą wyglądały ogrody przyszłego miasta? Ale jak to jest zrobione, że przez tę szybę widać równocześnie ten malowany ogród i prawdziwe niebo?

Anna przysunęła się krok bliżej i, dygnawszy niemal równie popisowo jak Sonia, oznajmiła:

— Miło mi będzie zaprosić znakomitego aktora na spacer po tym malowanym ogrodzie... pod prawdziwymi gwiazdami. Niestety, musimy to odłożyć do jutra. O zmierzchu zamyka się u nas parki.

Darek spojrział na nią kosym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

— Czyżby moje niewinne zaproszenie zostało źle rozumiane?! — zatroskała się dziewczyna.

— On myśli, że chcesz się z nim umówić na randkę i siedzi cicho, bo ma na widoku swoją partnerkę — wyjaśnił jej braciszek. — To dość delikatny sposób odpalenia dziewczyny... jak na gwiazdora, oczywiście.

Adam roześmiał się głośno. W samą porę. Jego śmiech sprawił, że Darek odzyskał mowę.

— Chętnie się przejdę — odpowiedział uprzejmie. — Co do randki... nie wiem wprawdzie, czy w parku nie będzie trochę tłoczno...

Śmiech Adama umilkł nagle.

— To o mnie — poskarżył się Annie i Marko-wi. — Wyhodowałem żmiję na własnej piersi.

— ...ale myślę, że jakoś sobie poradzimy — gładko zakończyła żmija. — Dziwię się tylko, że mając czas i ochotę na randki, tak wcześnie zamykacie ogród.

Tym razem Marek nie wytrzymał.

— On mówi — zauważył. — I to, powiedziałbym, zupełnie normalnie..

— ...jak na gwiazdora, oczywiście — podchwycił Darek.

Przez moment było cicho, po czym już wszyscy razem wybuchnęli śmiechem.

— To nie jest malowany ogród — objaśnił po dobrej chwili Marek. — W pierwszych osiedlach pozaziemskich, na Leonardzie i Błękitnej, rzeczywiście są takie wielkie ekrany, na których widać nie tylko parki, ale i niby-góry, niby-lasy czy co tam jeszcze, nie wyłączając sztormu na morzu. Ale budowniczości naszego miasta — w głosie chłopca pojawiła się nutka dumy — doszli do wniosku, że ludzie zasługują na coś więcej. Zbudowali prawdziwy ogród. Taką jakby szklarnię bez ścian. Park jest przykryty specjalnym polem siłowym, które sprawia, że w ogrodzie panuje normalna ziemiska temperatura, że utrzymuje się tam powietrze, woda i tak dalej. Takie pole to coś nowego. Ojciec mówił, że kilka instytutów naukowych pracowało nad tym ładnych parę lat.

— Więc jednak są ściany, tylko niewidoczne — zauważył nie bez pewnego rozczarowania Darek.

— Jakie tam ściany?! — zirytował się Marek. — A gdy stoisz na Ziemi i patrzysz w niebo, to czy myślisz wtedy, że ileś tam kilometrów nad twoją głową nie ma już ani chmur, ani błękitu, ani nawet powietrza?

Darkowi spodobał się zapach, z którym granatowy, jak ciągle go jeszcze w myśli nazywał, mówi o swoim mieście.

— Rozumiem — zgodził się. — Więc w tym nowym mieście... — Sztuczna grawitacja będzie nieco inaczej zaprojektowana niż w poprzednich obiektach poza-

ziemskich — wtrąciła się Anna tonem świadczą-cym, że wywody uczonego brata zaczynają ją nieco nużyć. — To wszystko. A tutaj — wskazała widoczny za szybą ogród — masz jakby eksperymentalne poletko... I rzeczywiście możemy tam wyjść, tylko nie teraz. Zamknęli drzwi ze względu na ten wybuch. Ojciec powiedział, że nie ma pewności, czy przez osłony, które założono wokół miejsca eksplozji, nie przedostanie się jakieś twarde promieniowanie. Pewnie nie, ale poza Ziemią trzeba być bardzo ostrożnym.

„Kim może być ten ich ojciec?” — pomyślał Darek. Na głos powiedział poważnie:

— Wiem. Chowałem się na Ganimedzie.

— Co? — wykrzyknęli równocześnie Anna i Marek. Był to krótki okrzyk, ale w uszach „gwiazdora”, vel „barana”, zabrzmiał jak najpiękniejsza piosenka.

— Moja mama prowadzi tam badania — ciągnął zdawkowym tonem. — Należy do stałej załogi. Ja prawie nie znam Ziemi.

— I stamtąd ściągnęli cię do... do... — Anna zająknęła się.

W jej głosie zabrzmiało nie ukrywane niedowierzenie.

— Do filmu? Tak się złożyło... — wzruszył ramionami Darek.

W tym momencie z głośników rozległ się głos dyspozytora:

— Kto chce obserwować eksplozję planetoidy numer dziewięćset osiemdziesiąt dwa, niech przejdzie do salki widokowej. Wybuch będzie widoczny na tle Krzyża Południa. Życzę miłych wrażeń. — zakończył wesoło.

W sali, przed przezroczystą ścianą, nastąpiła martwa cisza. Oczy wszystkich jak na komendę powędrowały w jedno miejsce, tak dobrze znane starożytnym żeglarzom przemierzającym w swoich łupinach niezmiernie połącie Oceanu Spokojnego.

W ciemnościach rozjaśnionych tylko odrobiną jakiegoś granatowego światła Darek spostrzegł, że Anna wyjmuje z kieszeni niewielki przyrządek i coś przy nim robi. Zaraz potem usłyszał cichy, daleki głos zniekształcony trzaskami i szumami. Ten głos odliczał:

— Cztery... trzy... dwa... jeden... zero...

Patrzącym wydało się, że wśród gwiazd ktoś nagle zapalił wycelowany w nich olbrzymi

reflektor. Odruchowo zamknęli oczy, by dopiero po dobrej chwili zerknąć spod przymrużonych powiek.

Jakby wzeszło nowe, bliskie słońce. Początkowo oślepiająco białe, zaraz potem zaczęło zmieniać barwę, czerwienieć. W następnym momencie roz-pękło się na miliony złocistych okruchów, które niby płonące strzały rozbiegły się we wszystkich kierunkach naraz. I kiedy już wydawało się, że całe widowisko naprawdę będzie podobne do ogni sztucznych, te płonące strzały nagle znieruchomiały, utknęły w przestrzeni, jakby trafiły na jakąś nieprzebytą zaporę. Na nieboskłonie utworzyła się ogromna kula przypominająca wielki motek utworzony z pogmatwanych, złotobiałych, błyskawicowych nici.

W sali zabrzmiał chóralny okrzyk podziwu.

— Fascynujące! Jutro muszę tam być! — zawołał z zapamiętaniem Adam.

— Wspaniałe — oświadczyli równocześnie Anna i Marek.

Darek zmarszczył brwi. Widowisko było wspaniałe, prawda, nawet więcej niż wspaniałe, ale kryła się w nim pewna zagadka. Chwilę jeszcze milczał wpatrzony w gwiazdy, którym przybyła tak osobliwa i piękna towarzyszka, po czym dotknął ramienia Adama.

— Dlaczego to tak?... — spytał cicho i niezbyt mądrze.

— Co; dlaczego? — nie zrozumiał stryj.

— No, ta kula — wyjaśnił z pewnym zniecierpliwieniem chłopiec.

— Kula? Aha! — wykrzyknął Adam tonem odkrywcy. — Nie mam pojęcia, o co ci chodzi — wyznał na koniec.

— Dlaczego taka regularna? — pośpieszył z pomocą Marek.

— No... — mruknął lekko urażony Darek. Granatowy jednak nie zniechęcał się tak łatwo.

— Przecież po to rozsadzają planetoidy, żeby zdobyć materiał budowlany — tłumaczył z zapalem. — Miasta dla stu tysięcy ludzi nie da się skonstruować tylko z tworzyw sztucznych i metali. A cóż by komu przyszło z rozwalania takiej planetki, gdyby po wybuchu wszystkie jej okruchy poleciały w przestrzeń? Dlatego najpierw zakłada się pole ochronne, taki jakby worek elektromagnetyczny.

— Takie samo mniej więcej pole — wtrąciła Anna — jak to, które chroni ogród. Rozumiesz?

Chłopiec zrozumiał, czemu niezwłocznie dał wyraz nieokreślonym pomrukiem. Zastanowiło go na odmiannę co innego. Świetlistą kulą przygasła w oczach, w jej sąsiedztwie powoli zaczynały się już ukazywać prawdziwe gwiazdy, a Anna ciągle manipulowała przy tym aparacie, który przed eksplozją zaczął tak niespodziewanie odliczać czas, i to zwykłym męskim głosem. O, właśnie w tej chwili znowu uniosła przycisk i przysunęła go sobie do lewego ucha. Darka dobiegły jakieś przyciszone, niezrozumiałe dźwięki.

— Co tam masz? — nie wytrzymał wreszcie. Marek roześmiał się głośno.

— A, to prezent od naszego ojczulka. Jedna jedyna osoba na tej stacji ma swój własny komunikator. Zgadnijcie, kto?

Dziewczyna szybko opuściła aparat.

— Wiem, jak go używać... i kiedy — burknęła obrażonym tonem.

— Komunikator? — zainteresował się Adam. — Pokaż.

Anna po chwili wahania podała mu przedmiocik, nie większy niż pudełko zapalek.

— Ho, ho — zanucił z uznaniem reporter. — Mam też komunikator, ale starszy model. Czy wiesz — zwrócił się do Darka — że za pomocą tego drobiazgu jego właściciel może się natychmiast połączyć z każdą stacją na Ziemi i w całym układzie słonecznym? W ten sposób właśnie ja nadaję moje reportaże. Mam tylko jeszcze przystawię, z której puszczam nagrane taśmy. A może ty jesteś dziennikarzem? — spytał żartobliwie, oddając Annie cenny aparat.

— Nie — zaśmiał się znowu granatowy, błyskając swoimi zębiskami — po prostu ma się te chody.

— Rozumiem — z powagą skinął głową Adam — pan ojciec...

— Otóż to — potwierdził Marek. — Ale tylko jedną ze swoich pociech obdarzył tak bezgranicznym zaufaniem.

— Ty zrobiłbyś zaraz jakiś głupi kawał — broniła siebie, a równocześnie ojca Anna.

— Chyba tak — skrzywił się z ubolewaniem Marek. — Na przykład pewnego dnia przycisnąłbym klawisz wezwania alarmowego, żeby przypomnieć tacie, który na trzy dni

musiał wyskoczyć na Ziemię, o lalce z niebieskimi oczami umiejącej odpowiedzieć na kilka pytań w rodzaju: „kto jest twoją najmilszą mamusią?”

— To było dawno! — zawołała oburzona dziewczyna. — Poza tym jesteś świnia...

— Tam chyba coś słychać — powiedział bardzo głośno Adam.

Tak się złożyło, że komunikator, który Anna zacisnęła w piąstce, rzeczywiście akurat zaczął wydawać jakieś odgłosy. Dziewczyna potrząsnęła czarną grzywką, odwróciła się tyłem do brata i ponownie zbliżyła aparacik do ucha. Po chwili wykrzyknęła głośno:

— Statek z Ziemi!

Ton jej głosu świadczył, że ostatnia sprzeczka z granatowym przeszła już do historii, Darek mimo woli zanotował w pamięci ten fakt, kładąc po stronie dziewczyny wielki znak "plus".

Anna słuchała jeszcze chwilę.

— Zgłasza się jako „Pająk”. Czeka na orbicie.

— Czeka? — spytali równocześnie Adam i Darek.

— Nie mogli go doprowadzić do stacji, bo jego tor przechodził przez rejon eksplozji — wyjaśniła, dalej nasłuchując. — Teraz ojciec mówi, żeby poczekał jeszcze minutę, a potem uruchomił silniki.

— To znaczy — zastanowił się Marek — że za trzy minuty powinien lądować.

— Popatrzmy. Może ktoś dowiózł te obiektywy — Adam spojrzał znacząco na Darka.

— Stąd nie zobaczymy... — zaczął Marek. W tej samej chwili przez okna wpadła smuga jasnego światła. Omiotła wnętrze sali, błysnęła w szybie, za którą widniał bajkowy, próżniowy ogród, i zgasła.

— Oświetlają lądowisko — rzuciła Anna. — Stąd rzeczywiście nie widać platformy, a na pole startowe nas nie wpuszczą.

— Chodźmy do ojca — zdecydował Marek. „Do ojca?” — powtórzył w myśli Darek. Ależ oczywiście! Komunikator Anny, to, co jej brat mówił o „chodach”...

— Wy jesteście?... Wy...

— Co my? — Anna zatrzymała się i spojrzała na Darka zaczepnym wzrokiem.

Chłopiec jednak był zbyt poruszony, żeby to zauważyć. Więc dyspozytor — ten poważny, siwy-mężczyzna zarządzający alarmy i kierujący stacją — to ich ojciec! Przypomniawszy sobie, jakim niby to obojętnym tonem opowiadał o Ganimedzie i o tym, że tam pracuje jego matka.

— Nic, nic — powiedział szybko. — Dobrze, chodźmy.

I na wszelki wypadek pierwszy ruszył zdecydowanie naprzód.

Kiedy tylko pojawili się na pomoście w dyspozytorni, siwy zatrzymał ich ruchem dłoni. Równocześnie pokręcił głową na znak, że teraz nie wolno mu przeszkadzać. Odezwały się głośniki:

— Tu „Pająk”. Widzę reflektory,

— W porządku, „Pająk” — odpowiedział Nerpa. — Podchodź.

— Podchodzę. Jestem w polu przyciągania stacji.

— Silniki stop.

— Silniki stop — powtórzył pilot.

Na ekranie na wprost dyspozytora zapaliła się złota nitka, która szybko przybladła, wykonała kilka łagodnych esów-floresów i zgasła.

— Lądowanie skończone — oznajmiły głośniki. — Przechodzę do służby. Cześć, Oleg!

Teraz kiedy manewry naprowadzania statku były poza nim, przybysz najwyraźniej uznał, że może już sobie pozwolić na mniej oficjalną rozmowę.

— Cześć — rzucił dyspozytor. — Wszystko w porządku? Zamiast odpowiedzieć pilot „Pajaka” zapytał:

— Jesteś sam?

Nerpa omiół przelotnym spojrzeniem swoje pociechy oraz towarzyszących im Adama i Darka. Oprócz nich w głębi pomostu stał jeszcze ktoś. Zielony. Teraz już nie zielony, miał na sobie zwykły roboczy kombinezon... Ale jego twarz pozostała nie zmieniona. Twarz trupa. Achillesa... jak mu tam? Aha, Mykeskes. Nazywa się Achilles Mykeskes i żyje, chociaż był

nieboszczykiem. Powiedzieli, że zszedł z posterunku i że dlatego doszło do alarmu. Ale czy trup może zejść z posterunku?

— Niezupełnie sam — mruknął dyspozytor, odwracając się z powrotem do swojego pulpitu.

— O co chodzi?

— Jestem już w służbie — odparł wymijająco przybysz. — Zaraz przyjdę, to pogadamy.

Teraz powiedz mi tylko, czy dzisiaj nie meldował się u ciebie jakiś inny statek.

— Z Ziemi?

— Niekoniecznie — odburknął mężczyzna.

— Rano przylecieli .filmowcy — odpowiedział Nerpa, uśmiechając się nieznacznie. — Poza tym nikt.

— A czy ktoś się zgłaszał?

— Nie.

— Jesteś pewny? — w głosie przybysza dało się wyczuć napięcie. — Może ktoś żądał współrzędnych, prosił o podanie pozycji czy coś w tym rodzaju? Albo może przechwyciliście jakiś automatyczny sygnał namiarowy?

— Nie wychodziłem dzisiaj z dyspozytorni — odpowiedział stanowczym tonem siwy — i mogę cię zapewnić, że nic takiego się nie zdarzyło. Stale obserwuję ekrany, wiesz, przy tego rodzaju eksplozjach nigdy nic nie wiadomo.

— Nie tylko przy eksplozjach — mruknął jakoś dziwnie ponuro przybysz. — No, już — dodał raźniejszym tonem. — Teraz idę do ciebie. Tylko...

Dyspozytor czekał chwilę, po czym mruknął ponaglająco:

— Co: tylko?

— Wolałbym, żebyś był sam, kiedy przyjdę — wyznał wreszcie głośnik.

— Coś mi mówi — zaśmiał się niewesoło Adam — że wasze chody tym razem nie wystarczą. — Na to wygląda — przyznał Marek. — Chyba że zostawimy szpiega.

— Szpiega? — nie zrozumiał Darek.

— On myśli o komunikatorze — wyjaśniła Anna. — Oczywiście, żartuje. Chociaż, kto wie. On jest zdolny do różnych rzeczy. Może właśnie dlatego to tylko ja dostałam komunikator.

Darek drgnął. Pomostem szedł w ich stronę niedawny trup. Zbliżył się na odległość pięciu kroków i powiedział cichym, zbolalym głosem:

— Bardzo przepraszam, ale teraz będziecie musieli stąd odejść.

— A pan? — spytał z głupia frant Adam. Zielony uśmiechnął się smutnie.

— Ja mam dyżur — wyjaśnił.

"Już raz miałeś dyżur i co?" — chciał powiedzieć Darek, ale ugryzł się w język.

Ciekawe, kim jest ten przybysz, którego głosu słuchali przed chwilą i który tak sobie poczyna, jakby sam był dyspozytorem. A siwy posłusznie wykonuje wszystko, co tamtemu spodoba się zarządzić.

— Jasne — powiedział pojednawczo Marek. — Idziemy.

Odrzucił się i pomachał ojcu ręką. Nerpa, pochylony nad pulpitem, nie dostrzegł jednak tego gestu. Nie zauważył także, że skończywszy rozmowę z przybyszem, nie wyłączył mikrofonu ani głośników. Bo chyba nie chciał, aby to, co teraz powiedział, dotarło do uszu wszystkich obecnych.

— Panie Mykeskes, jak pan wie, przyleciał statek z Ziemi.

Adam na dźwięk tych słów przystanął i zaczął pilnie słuchać. Zielony spojrzał na niego rozpaczliwie, z wyraźnym przymusem sięgnął do swojego mikrofoniku i przesunął go palcem bliżej ust.

— Czy ja tym statkiem...

W głosie technika zadrgał taki smutek, że Darek w jednej chwili wybaczył mu całe jego zmartwychwstanie i wszystko, co łączyło go z Grathem, Mammeą, a także z ponurą komórką przy końcu korytarza.

— Nie — odpowiedział dyspozytor. — Jeszcze nie tym. Ale chciałbym, żeby się pan pozbył złudzeń. Tak będzie lepiej dla wszystkich... Dla pana także.

Adam odrzucił się szybko i położył Darkowi rękę na ramieniu.

— Chodźmy — powiedział przyciszając głos. — Nerpa nie może postąpić inaczej, ale... Ja w każdym razie wolałbym tego nie widzieć. I nie słyszeć — dodał ponuro.

— Porozumiałem się w pana sprawie z drugim dyspozytorem — ciągnął ojciec Anny i

Marka, najwidoczniej nadal nie zdając sobie sprawy, że jego słowa przekazują głośniki w całej wielkiej hali. — Abart uważa, tak samo jak ja, że po tym, co zaszło, nie może pan tu zostać.

— No, chodźże! — Adam popchnął Darka w stronę najbliższej ściany.

Akurat ukazała się w niej kabina windy, z której wysiadł Mammea.

— Musimy stąd zjeżdżać — oświadczył Marek unosząc dłoń, jakby chciał powstrzymać niepozornego. — Teraz ojciec chce zostać sam. Ktoś przyleciał i mają się spotkać bez świadków. Rozumie pan coś z tego?

Mammea spojrział na chłopca roztargnionym wzrokiem i westchnął.

— Niewiele — rzekł swoim monotonnym głosem. — W każdym razie macie windę. Ja tu zostaję...

— Pan Nerpa prosił, żeby wszyscy wyszli — poparł Marka Adam.

— Zostałem wezwany — odpowiedział przeproszającym tonem Mammea. Adam wzruszył ramionami i wszedł do windy.

— Chodźcie — mruknął. — Robi się późno. Kiedy wszyscy byli już w kabinie, z głośników dobiegł ich znów głos tajemniczego przybysza:

— To bardzo dziwne, że nie odebrałeś żadnych sygnałów.

— Dlaczego dziwne? — spytał Nerpa. — A może ty coś słyszałeś?

— Może słyszałem — bąknął zagadkowo mężczyzna. — W każdym razie natrafiłem, na pewne ślady.

— Ślady?

— Uhm...

— W próżni?

Drzwi windy zamknęły się bezgłośnie, odcinając jej pasażerów od wszystkich głosów rozbrzmiewających w dyspozytorni.

W kabinie Darek spojrział na zegar. Dochodziła dziesiąta wieczór czasu miejscowego.

— Rzeczywiście, robi się późno — mruknął rozpamiętując leniwie pożegnanie z Anną i Markiem.

Nie przepuścili okazji, by wbić "gwiazdorowi" szpilę na temat jego nadobnej partnerki. Anna wyraziła nadzieję, że Darek potrafi złotowłosej opowiedzieć "swoimi słowami", jak wygląda wybuch planetoidy w sferze siłowego pola.

— Szkoda — martwiła się — że piękna pani była zbyt zmęczona, żeby ci towarzyszyć. Pewnie nudziłeś się z nami. Ba, cóż my!

Darek nie bardzo pamiętał, co odpowiedział, czuł tylko niejasno, że można było popisać się bystrzejszym dowcipem. Na szczęście nic straconego. W końcu jutro także jest dzień.

— Idziesz spać? — zainteresował się podejrzenie czułym głosem Adam.

— A ty?

— Ja? — zdziwił się niewinnie zagadnięty. W sąsiedniej kabinie panowała idealna cisza.

— Masz nadzieję — spytał uprzejmie Darek tłumiąc ziewanie — że one się zbudzą? Myślisz, że uda ci się tu znaleźć jakąś kawiarnię ze świecami i muzyką? Może... Skoro mają nawet ogrody...

— Nie wygłupiaj się — parsknął stryj.

— Ja? — głos Darka tchnął najczystszy z dumieniem. — Więc nie wychodzisz? Adam zmieształ się nagle.

— No... — zaczął, po czym urwał, spojrział bystro na swojego bratanka i raptem wybuchnął głośnym śmiechem.

— A widzisz — mruknął triumfalnie chłopiec, opadając na fotel, który natychmiast przeobraził się w miękkie, sprężyste łóżko. — No, to miłego... aaa... wieczoru...

S. O. S.

Karuzela zamiast zwalniać kręciła się coraz prędzej. Trzęsa się, trzeszczała, dygotała, a równocześnie przyspieszała coraz bardziej. W jej wnętrzu rozbrzmiewała muzyka. Ale cóż to była za muzyka! Jakieś ochryple piszczałki, zwariowane kukułki, pokrywki do garnków! A wszystko to brzmiało coraz głośniej i coraz cienie jak taśma w zepsutym magnetofonie rozszalałym w idiotycznym pośpiechu.

— Kręcić, kręcić!

— Cicho! — ryknął Darek.

Ale karuzela pędziła nadal. I nadal rozbrzmiewała ta jej potępieńcza muzyka:

— Kręcić! Kręcić!

Chłopiec postanowił się zbudzić. Kiedy jednak przyszło do realizacji tego postanowienia, okazało się, że już nie śpi. Od kiedy? Może od dwóch, może trzech sekund. No, bo jak miał spać, skoro... Nie, oczywiście, że nie .siedział na żadnej zwariowanej karuzeli. Ale jej ryk został znakomicie zastąpiony przez wrzask znanej mu dobrze, pękatej postaci, która tkwiąc na środku kabiny, wydawała z siebie straszliwe piski, kukania oraz pochrapywania, stanowczo przekraczające wytrzymałość normalnego ludzkiego ucha.

— Czas kręcić! Czas kręcić! Darek udając, że to jeszcze przez sen, wrzasnął tym razem naprawdę:

— Cicho!

Efekt był piorunujący. Piorunujący, chociaż niekoniecznie taki, o jaki chodziło. Zanim chłopiec zdążył otworzyć oczy, poczuł, że w jego piżamę na piersi wkręcają się jakieś grube, miękkie i niesłychanie ruchliwe śrubki. Równocześnie tuż przed nim ponownie zabrzmiał zdyszany, cienki głos:

— Wstawaj! Wszyscy czekają! Kamery! Scenografia! Czas! Czas! Scena pierwsza, druga, trzecia! Kręcić!

Darek zebrał się w sobie i wyprostował nagle na całą wysokość. Werwus, zostawszy nisko w dole, chcąc nie chcąc, musiał uwolnić jego piżamę.

Chłopiec .spojrzał na grubasa straszonym wzrokiem i spytał:

— Czy tak się budzi aktorów, żeby byli dobrze usposobieni do pracy? Gdzie jest Adam? — dodał już nieco łagodniej, rozglądając się po kabinie.

Werwus jęknął i załamał ręce.

— Jaki Adam? Adam występuje w ostatnim akcie. Nie, nie — zamachał rękami — to nie w tym filmie! Wszyscy czekają. Sonia, Lwizwis, automaty...

Adama nie ma. Zostawił Darka śpiącego i poszedł. Ubierając się, chłopiec postanowił, że tego mu już nie daruje. Wszystko jedno, czy pobiegł do dyspozytora wiedziony swoją reporterską pasją, czy też wybrał się na poranny spacer z piękną ciocią. Chociaż to raczej nie wchodzi w rachubę. Jeśli Sonia jest w atelier...

Adam był tam, rzecz jasna, także. Na widok Darka wchodzącego w światło reflektorów uśmiechnął się szeroko. Ani chybi puścił wodze swojej bogatej fantazji i delektował się obserwowaną oczami wyobraźni sceną budzenia chłopca. Przecież musiał być przy tym, kiedy posyłali Werwusa po Darka.

— Poczekaj tylko! — mruknął chłopiec przez zęby.

Ale już po minucie zapomniał, że spał kiedykolwiek w życiu. Lwizwis, Joe Grath, Bo i Werwus wzięli go w takie obroty, że kiedy stanął wreszcie w swoim filmowym kostiumie przed podkowiastym, cudownie zastawionym stołem, zza którego uśmiechało się do niego złotowłose zjawisko, nie wiedział w ogóle, gdzie jest i co sprowadziło go w to idiotyczne

miejsce. Mimo woli skierował się w stronę przeźroczystego fotela, aby zająć miejsce obok mrocznej postaci ze szczypcami zamiast palców.

— Nie tak! — zapiszczał Werwus.

— Masz przecież przywitać się z automatem — zawtórował mu niecierpliwy bas Lwizwisa.

— Zapomniałeś, Darku? — dorzucił wesoło Bo Ytterby.

„A ten z czego się cieszy”? — przemknęło chłopcu przez myśl. Nagle stanęły mu przed oczami niektóre wczorajsze sceny, jakby wyjęte z jakiegoś filmu grozy, i ogarnęła go złość.

— Wszystko przez to, że nie ma obiektów fantomatycznych — oświadczył szczególnym tonem, usiłując odnaleźć twarz Bo za oślepiającymi tarczami reflektorów. — Nie znalazły się przypadkiem?

— Mówiłem! Mówiłem! — załkał Werwus. — Nie — odpowiedział lekceważącym tonem Joe Grath. — Cóż to, chłopcze, nie poradysz sobie bez nich?

„Chłopcze”? Oczywiście, że sobie poradzi. Tylko...

— A wiesz, Bo — powiedział z naciskiem — zdawało mi się, że je widziałem.

Już w momencie kiedy wypowiadał to: „widziałem”, pożałował, że w porę nie ugryzł się w język. Trudno, stało się.

— Gdzie?! — zawołali równocześnie, każdy in-tym tonem, Lwizwis, Grath, Werwus i Adam.

— Gdzie?! — rozległ się jak echo słaby głos Mammei.

A więc i on był tutaj! Darkowi przyszła ochota z całej siły palnąć się pięścią w nos. Niestety, nawet ten skądinąd piękny gest nie mógł uratować sytuacji. A Darek chciał przecież tylko zawiadomić Bo, że nie będzie czekał na tę rozmowę z nim ani minuty dłużej niż to konieczne. Może wczoraj naprawdę nie było okazji, ale dzisiaj... Tymczasem wszystko wypadło inaczej i nie tyle gorzej, ile całkiem źle. Chłopiec pochwycił spojrzenie Adama i zrozumiał, że nie ma sekundy do stracenia — jeśli chce naprawić skutki własnego gadulstwa, musi to zrobić natychmiast.

Ozdobił twarz nonszalanckim uśmiechem i wzruszył ramionami.

— Pewnie mi się zdawało — wycofał się.

— Na pewno ci się zdawało — potwierdził półgłosem operator, Joe Grath. Półgłosem, ale takim tonem, że chłopcu ciarki przeszły po krzyżach.

Wyprostował się, przybierając zaczepną postawę.

— Jestem gotowy — rzucił wyzywająco.

— Całe szczęście — zasyczał głosik anielicy przytulonej ramieniem do martwej, człekokształtnej bestii spoczywającej w sąsiednim fotelu — że Darek umie się tak szybko przygotować. Inaczej spędzilibyśmy tutaj kilka miesięcy.

Darek spojrział na nią zaskoczony. Jeszcze przed chwilą uśmiechała się tak pogodnie, była taka... taka... jasna, a teraz...

Mimo woli pokręcił głową. Na szczęście w tym momencie Lwizwis, zniecierpliwiony, dał znak do rozpoczęcia zdjęć. Kamery poszły w ruch. Chłopiec skoncentrował całą uwagę na swojej roli. Nie chciał nikomu dawać okazji do jakichś okrzyków pod swoim adresem. Nikomu, a już szczególnie tej...

Spojrzął na „tę” i... gdyby na to pozwalała scena, którą właśnie kręcili, byłby z pewnością mocno przetań oczu. Zobaczył bowiem tak promiennie uśmiechniętą, wdzięczną twarzyczkę, tyle było w niej słońca, życzliwości... A równocześnie czuło się, że owa twarzyczka należy do kogoś, kto zgłębił niejedną tajemnicę niejednego świata.

Nie ulegało wątpliwości — ta mała diablica była wspaniała. Grała jak w natchnieniu. Nieuchwytnymi gestami potrafiła zaakcentować własną osobowość, pozostając przy tym w doskonałej zgodzie z intencją, a nie — z dosłownym brzmieniem scenariusza. Uwagi Lwizwisa chwytała w pół słowa. Nie popełniła ani jednego błędu.

Na jej tle Darek wydał się sobie surowy i niezgrabny. Ot, dzikus, przywieziony do wspaniałego filmowego atelier wprost z najdalszego zaułka układu planetarnego i od razu postawiony przed kamerami razem z najsłynniejszą gwiazdą. Być może rzeczywiście na jej tle wypadł nieco bladło. Rzecz w tym jednak, że zgodnie z koncepcją autorów filmu tak właśnie miał wypaść. Przecież był zagubionym w teoretycznych roztrząsaniach naukowych, zniewieściałym mieszcuchem, który przypadkiem znalazł się w dziwnym świecie planet i satelitów, podczas gdy ona...

Ale Darek po prostu zapomniał o tym, że gra akurat kogoś takiego. Toteż kiedy wreszcie kamery stanęły, kiedy zgasły reflektory, a zapaliły się zwykłe lampy, i kiedy sala zabrzmiała nagle od oklasków, sam — zupełnie bezwiednie — zaczął bić brawo.

— Tego już za wiele — zagrział Lwizwis. — Panie Adamie, niech pan powie temu młodemu artyście, że skromność jest jedną z dróg do wielkości.

Adam zaśmiał się głośno. Darek znieruchomiał. Pobiegł wzrokiem do złocistej i ujrzał jakąś obcą, kwaśną twarz. Piękne usteczka były wykrzywione w podkowę. Z jasnych, błękitnych oczu pozostały wąziutkie szparki jak u śpiącego kota. Tylko że ten kot nie spał.

— Tak ci się podobało? — zasyczał głosik, który jeszcze kilka sekund temu sypał perełkami najszlachetniejszych dzwonek. — On zdaje się uwierzył w siebie — ciągnęła Sonia, w dalszym ciągu nie patrząc na nic ani na nikogo. — To zresztą dobrze. Każdy naprawdę wielki aktor musi wierzyć w siebie...

Brawa umilkły. Ktoś wprawdzie jeszcze klaskał, ale zagłuszył to chóralny śmiech. Darek odczekał, aż w sali zrobi się nieco ciszej, po czym powiedział:

— Nie wiem, jak kto, ale ja biłem brawo tobie. Bardzo mi się podobałaś, nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo. Cały czas się dziwiłem, że gram razem z tobą.

Sonia siedziała jeszcze chwilę bez ruchu, wreszcie podniosła się z fotela i podeszła do Darka. Stała przed nim i westchnęła głęboko.

— Wszyscy mówią, że mam wstrętny charakter — oznajmiła bez żadnych wstępów i bez uśmiechu — i obawiam się niekiedy, że mają trochę racji. Naprawdę bywam rozkapryszona i złośliwa, prawda, ciociu? — zwróciła się rzeczowo do Barbary, która patrzyła na swoją pupilkę z wyrazem ostatecznego osłupienia, najwyraźniej nie wierząc własnym uszom. — Trzeba ci wiedzieć, że ja naprawdę chcę zostać aktorką. I nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Zobacysz, że film się uda. Przepraszam.

To "przepraszam" nie wypłynęło, tylko wionęło z różanych usteczek przyszłej gwiazdy. Chłopiec chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł znaleźć słów. Zdołał tylko zareagować nikłym, wodnistym uśmiechem.

Nie przestał się tak uśmiechać nawet wtedy, kiedy Sonia, skończywszy swoje wystąpienie, ponownie przybrała nieobecny wyraz twarzy, opadła na fotel i po dawnemu zmrużyła oczy.

— Dziewczyno — odezwał się zachwycony Lwizwis — dziewczyno, będziesz wielką gwiazdą! Ja ci to mówię!

— Brawo, brawo, brawo! — zapiszczał Werwus, podskakując w miejscu.

Ten ruch spowodował katastrofalne skutki. Jedno z dwojga — albo lśniący fioletowy kurteczka była zbyt ciasna, jak na to, co w nią wtłoczono, albo też brzuch kierownika produkcji był zbyt pękaty, jak na jego kurteczkę. Dość że po ostatnim „brawo”, któremu towarzyszył dziarski podskok, rozległ się przeraźliwy trzask i fioletowa kurteczka dokładnie rozpołowiona spłynęła na podłogę. Grubas przeszedł natychmiast od entuzjazmu do rozpacz. Schylił się posapując boleśnie i zgarnął części swej garderoby, próbując z powrotem uzyskać z nich jedną całość. Incydent ten przeszedł jednak nie zauważony.

— A nie mówiłem?! — wykrzyknął pewnym siebie głosem Grath. — Im nie trzeba niczego wyświetlać, wyobrażaj sobie wszystko, co tylko zechcą!

Te słowa przypomniały Darkowi o Bo. Kamerzysta milczał. Tkwił przy swojej wygaszonej już aparaturze i jakimś dziwnym wzrokiem spoglądał na Joego Gratha. Nie zauważył nawet że tuż obok stanął Mammea i jeszcze ktoś. Ktoś obcy.

Niepozorny — przygarbiony bardziej niż zwykle — zrobił kilka kroków w stronę Darka. Za nim ruszył obcy. Chłopiec zdążył zauważyć, że jest to wysoki, szczupły mężczyzna w dziwnie skrojonej bluzie. Jego ciemne włosy zaczynały się już srebrzyć na skroniach, ale twarz miał młodą, pełną, z mocnym, niemal kwadratowym podbródkiem. Dalszą obserwację obcego uniemożliwił chłopcu Mammea.

— Słuchaj, Darku — powiedział niepozorny niepozornym tonem — przed rozpoczęciem zdjęć wspominałeś coś o tych obiektywach. Czy naprawdę wydaje ci się, że je widziałeś?

Po tych słowach Mammei ruchliwe oblicze Gratha stężało, szpakowaty nieznanomy pochylił się do przodu i bacznie czekał na odpowiedź, twarz Bo Ytterby'ego przybrała barwę kredy.

— Panu chodzi o obiektywy fantomatyczne? — zabrzmiał głos Adama i chłopiec aż się zdziwił, ile serdecznego rozbawienia pomieszanego z nie udanym lekceważeniem potrafił

reporter zawrzeć w tym swoim głosie. — Gdzież niby miałby je widzieć? Poza tym dam głowę, że Darek nigdy w życiu nie zetknął się z żadną aparaturą fanto-matyczną, więc jakim cudem mógłby ją rozpoznać. A może się mylę, Darku?

W tym momencie chłopiec raz na zawsze darował Adamowi wszystkie dawniejsze i przyszłe ka-wały. Jego serce przepęłniło uczucie wdzięczności.

— Nie, stryju — odpowiedział lekko zachrypłym głosem. — Nigdy nie widziałem...

— No, proszę! — triumfował Adam. — A zresztą, odnoszę wrażenie, że pan Joe ma rację. Im niepotrzebna fantomatyka. Nawet nie przypuszczałem, że chowamy w domu prawdziwego aktora. Oczywiście, daleko mu jeszcze do Soni, ale coś niecoś jednak potrafi. To pewnie po mnie — zakończył.

Atmosfera została rozładowana. Mammea rad nierad uśmiechnął się blado i wycofał tyłem za kamery. Szpakowaty także rozjaśnił twarz w uśmiechu. Tylko operator jeszcze przez dłuższą chwilę patrzył obojętnym wzrokiem w sufit, jakby działa się tam akurat coś niebywale frapującego. Wreszcie spuścił głowę i, zapewne przypadkiem, spojrzął w stronę Bo. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem kamerzysty, którego twarz nadal była biała jak świeżo spadły śnieg.

Z korytarza dobiegł szybki tupot nóg. Do sali wpadł Marek, a tuż za nim Anna.

— Brawo! — zawołał zdyszczanym głosem chłopiec, Podbiegł do Darka i zaklaskał głośno. — Widzieliśmy was! Tata włączył podgląd... zamiast obserwować planetoidy. Ona grała jak... jak... — zająknął się wbijając zachwycony wzrok w omdlałą złotowłosą.

— Jakby całe życie nie robiła niczego innego — dopowiedziała Anna, zbliżając się do dziewczyny. — To będzie bombowy film!

— Jeśli o mnie chodzi — wycedziła Sonia — zrobię, co będę mogła. Nie wszystko jednak zależy ode mnie.

Nastąpiła chwila ciszy. Anna zmieszana się.

— Chciałam tylko powiedzieć — mruknęła z urazą — że bardzo nam się podobałaś. A mój braciszek po prostu oszalał.

Po tej niefortunnej niedyskrecji Marek — nie wiadomo dlaczego — odwrócił się nagle tyłem do Darka.

— Wszystkim nam się podobali — rzucił pojednawczo Lwizwis. — No, na teraz dosyć. Przejrzmy taśmy, a wy idźcie sobie odpocząć. Po południu dalszy ciąg. Chodź, Knut — zwrócił się do grubasa, który nadal przyciskał do piersi połówki swojej kurteczki, widać medytując, jak by tu do prowadzić ją do pierwotnego stanu — pomyślimy o scenerii startu. Przecież oni lecą dzisiaj w nieznaną.

Lwizwis myślał oczywiście o filmie, ale jego słowa okazały się prorocze. Tylko że tego nie mógł przewidzieć ani Darek, ani Anna, ani Adam, ani w ogóle żadna z osób, czy osóbek obecnych w tej sali. Może to i dobrze, bo inaczej oświadczenie Lwizwisa nie zostałoby przyjęte z takim entuzjazmem.

— Może pójdziemy na platformę widokową — zaproponował Marek, kierując nieco cielece spojrzenie w stronę Soni.

— Idźcie — odpowiedział Adam. — Ja skoczę do dyspozytorni i także tam przyjdę.

Pomachał ręką Darkowi, uśmiechnął się do Barbary i wypadł na korytarz. Chłopiec zauważył, że twarz opiekunki Soni jakoś dziwnie pojaśniała. „Faktem jest — stwierdził nie bez pewnej satysfakcji — że musiałyby nie mieć krzty oleju w głowie, żeby nie docenić niektórych przynajmniej za-let Adama”.

Sonia wstała.

— Chcę się przejść — oznajmiła tonem królowej wzywającej dwór do swojego pałacowego parku. — Pójdiesz ze mną, prawda, Darek?

Chłopiec poczuł zamęt w głowie. Zdołał wprawdzie uśmiechnąć się blado do złotowłosej, ale zaraz potem odszukał spojrzeniem Annę. Ta była jednak szalenie zajęta usuwaniem z rękawa swojej bluzy jakichś nie istniejących strzępków.

— Mieliśmy iść na platformę widokową — przypomniał czując, że jego policzki stają się gorące.

— Phi! — parsknęła pogardliwie złocista.

— Chodźmy tam wszyscy — zaproponował nie swoim głosem Marek. Tym razem Anna parsknęła:

— Phi!...

Darek nabrał w płuca powietrza. Z trudem odrywając wzrok od czarnej grzywki, powiedział do Soni;

— Tam jest naprawdę ładnie. Wielka gwiazda odwróciła się plecami do mniejszej gwiazdy, darząc z kolei uśmiechem Marka.

— Ty także uważasz, że na tej waszej platformie jest coś godnego widzenia? — spytała tonem osoby z natury skłonnej do poświęceń.

Zagadnięty przełknął ślinę i przytaknął ruchem głowy. Anna roześmiała się głośno, ale natychmiast umilkła.

— No, to chodźmy — powiedziała słodziutkim głosikiem Sonia, podchodząc do jej brata.

Twarz złocistej znowu była uosobieniem aniel-skości. Darkowi zrobiło się jakoś głupio. Przecież dźwięczały mu jeszcze w uszach jej słowa, kiedy mówiła o swoim charakterze. To przedziwne — żeby znać siebie tak dobrze jak ona, a równocześnie nie robić nic, by choć trochę podreperować tę własną opinię o sobie.

Salę opuścili jako ostatni. Barbara wraz ze szpakowatym, który coś do niej mówił, szli tuż przed nimi. Dwa kroki za szpakowatym dreptał przygarbiony Mammea. Lwizwis, Grath, Bo i Werwus dawno już zniknęli w korytarzu.

Na platformie widokowej, czyli w sali z przeźroczystą ścianą, tym razem paliły się wszystkie lampy. Anna podeszła do kontaktu i zgasiła światło. Sięgnęła po swój komunikator, pottrzymała go chwilę przy czarnej główce, po czym oświadczyła spoglądając na Barbarę:

— Niestety i dzisiaj nie będziemy mogli wyjść na zewnątrz. Znowu zapowiedzieli eksplozję. Z windy wypadł Adam.

— Darku! — krzyknął przytrzymując nogą drzwi kabiny, żeby się nie zamknęły. — Chodź prędko! Lecimy!

— Dokąd? — spytał błyskawicznie Marek. — Dokąd? — powtórzył jak echo szpakowaty.

Barbara spojrzała na niego ze zdumieniem. Zdziwił się także Adam.

— Przepraszam... — powiedział zmienionym tonem i urwał.

— Teraz nie wolno startować — wymamrotał cicho Mammea. — Na dzisiaj przewidziano kolejną eksplozję.

— Wiem — uciął Adam. — Właśnie dlatego lecę. No, chodź, Darek.

Najwyraźniej chciał pouczyć niepozornego i tego obcego, żeby nie wtrącali się w nie swoje sprawy.

— Lecicie w stronę tej planetoidy? — spytał z ogniem w oczach Marek.

— Aha — potwierdził reporter. — Mam okropny zwyczaj być wszędzie tam, gdzie się coś dzieje. W każdym razie staram się...

Szpakowaty zrobił dwa kroki w ich stronę.

— Nazywam się Stewa — powiedział uprzejmie. — Nie znamy się jeszcze, wczoraj przyleciałem z Ziemi.

— Nie szkodzi — Adam wyszczerzył do niego zęby — ja także przyleciałem wczoraj. Ryska, bardzo mi miło. A teraz przepraszam, ale śpieszę się. Darek, idziesz wreszcie czy nie?

— Jeszcze słówko — szpakowaty nie należał do ustępliwych. — Z pewnych względów bardzo zależy mi na tym, żeby wiedzieć, czy Nerpa zgodził się na ten lot.

Adam chwycił bratanka za łokieć i wepchnął go do windy.

— To chyba moja sprawa, prawda? — rzucił przez ramię. W tym momencie przypadła do niego Anna.

— Niech nas pan weźmie! — wydyszała. — Marek! — odwróciła się do brata, jakby oczekiwała od niego pomocy.

Ten z kolei spojrzał błagalnie na Darka, a Darek zamknął koło, stawiając nagły opór swemu stryjowi, który już zamierzał zatrzaskać drzwi windy.

Adam wprawdzie zatrzymał się, ale potrzęsnał przecząco głową.

— Musielibyście porozmawiać z ojcem, zresztą dostałem tylko dwuosobową rakietę.
— Nie wyłączyłaś komunikatora, Anno — popłynął nagle z głośników poważny baryton Olega Nerpy. — Pan Ryska leci, ponieważ jest reporterem i ma specjalną kartę pilota oraz wszystkie potrzebne uprawnienia. Darek także ma kartę pilota i, o ile wiem, spędził wiele godzin w próżni. Natomiast ty chodzisz dopiero na kurs, a Marek nie ma jeszcze za sobą ani jednego samodzielnego lotu. Musicie poczekać na inną okazję.

— On jest wszędzie — oświadczyła z goryczą Anna — i wszystko słyszy. Czy można normalnie żyć w takich warunkach?

— Ma pan jeszcze jakieś pytania? — Adam posłał szpakowatemu najbardziej ujmujący ze swoich uśmiechów.

— Nie — wycofał się zagadnięty.

Darek włączył w myśli szpakowatego, vel Stewę, jak przybysz się przedstawił, do grona podejrzanych.

Stanowczo zbyt wiele ludzi interesuje się na tej dziwnej stacji tym, co widzieli lub słyszeli inni. A także tym, co ci inni zamierzają zrobić.

Rakieta była nie tylko dwuosobowa, ale mniejsza od wszystkich, z jakimi Darek miał kiedykolwiek do czynienia. Fotele obu pilotów stały tak blisko siebie, że chłopiec czuł przylegające do niego ramię Adama. Tuż nad ich głowami widniał wąski, potrójny ekran, pod nim sterczał pulpit sterowniczy. Po prawej ręce Darka znajdowała się przystawka automatycznego pilota i klawiatura pokładowego komputera.

Byli w pełnym próżniowym rynsztunku. Podróż zapowiadała się ciekawie.

Kilkanaście sekund po starcie, kiedy minęło pierwsze przeciążenie, Darek spytał, dokąd właściwie lecą.

— Do drugiego dyspozytora, Abarta — odpowiedział Adam nie spuszczać wzroku z tablicy wskaźników.

— Widzisz ten namiar? — wskazał chłopcu jasnozieloną linię przecinającą tarczę jednego z ekranów. — To sygnał bazy, do której lecimy. Poprowadzi nas jak po sznurku.

— To nie będziemy w pobliżu eksplozji?

— W pobliżu takiej eksplozji — z tonu Adama wynikało, że reporter się uśmiecha — mógłbyś znaleźć się tylko raz w życiu. Wyparowalibyśmy razem z naszym stateczkiem jak kropla wody wrzucona do hutniczego pieca. Lecimy więc do bazy dyspozytora ruchu — dodał szybko, jakby sobie przypomniawszy śmierć starszego brata, ojca Darka, i doszedł do wniosku, że należy zmienić temat. — Zbudowali ją na numerze dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, maleńkiej planetoidzie stanowiącej akurat centrum przyszłego miasta. Jego budowniczowie podzielili się na dwie grupy, jedna pracuje na stacji pod kierownictwem Nerpy, a druga bezpośrednio w przestrzeni czuwa nad transportem i montażem. Szefem tej drugiej grupy jest właśnie Abart, do którego lecimy. Nie zostaniemy zresztą u niego. Obiecał wskazać nam bezpieczną orbitę, z której będziemy wszystko widzieć jak na dłoni. Muszę mieć dobre zdjęcia — wskazał pulpit zarzucony reporterskimi datorami, kamerami i antenkami.

Nie rozwijali dużej szybkości. Stateczek co chwilę zmieniał kurs, hamował i znowu przyśpieszał, by po kilkunastu sekundach wejść w kolejny łuk. Automatyczny pilot skrupulatnie i bezbłędnie wypełniał polecenia napływające z docelowej bazy.

— Tutaj roi się od małych, mniejszych i całkiem malutkich planetek czy raczej okruchów skalnych najspokojniej wędrujących sobie przestrzenią — powiedział w pewnej chwili Adam.

— Nie można się śpieszyć. Zresztą — spojrzął na zegarek — mamy masę czasu.

— Muszę wrócić po południu — przypomniał Darek — inaczej Lwizwis zrobi ze mnie jajecznicę.

— Nie dopuścimy do tego — zapewnił poważnie Adam. — W zeszłym roku spędziłem trzy miesiące na wyspach rezerwatu tahitańskiego. — oświadczył nagle pozornie od rzeczy. — Było nas tylko czworo, siedzieliśmy na maleńkim atolu koralowym i przez ostatnie trzy tygodnie jedliśmy wyłącznie jaja tamtejszych mew. Bez soli — dodał z niewymownym wstrętem — bo i tę miał przywieźć dopiero jacht, na który czekaliśmy. Powiedziałem sobie, że do końca życia nie spojrzę na jajecznicę. A ponieważ na ciebie patrzeć muszę, nie dopuszczę,

by Lwizwis... Tak, słucham? — rzucił nie zmienionym tonem.

— Uwaga. "Smyk" — odezwały się obcym męskim głosem słuchawki wewnątrz próżniowych kasków. — Tu Abart. Wszystko w porządku?

— Tu "Smyk" — powiedział Adam i Darek przypomniał sobie, że taką właśnie nazwę nosiła ich rakieta. Nazwa ta była wytrawiona tuż pod dziobem dużymi, prostymi literami, które kiedyś mogły mieć piękną, amarantową barwę.

— Jestem na kursie — mówił dalej Adam. — Odległość...

— Poczekaj — Abart nie pozwolił mu skończyć. — Uważaj, "Smyk". zmiana kursu. Nie możesz teraz lądować. Pole startowe mam zajęte przez ciężarówce, które wracają z rejonu eksplozji. Nie poradzę sobie z tym wcześniej niż za piętnaście minut. Może nawet dwadzieścia. Musisz wejść na orbitę i poczekać.

Adam pomyślał chwilę

— Tu "Smyk" — odezwał się wreszcie. - Zrozumiałem. Chciałbym jednak być przy przygotowaniach. Czy nic nie da się zrobić?

Słuchawki milczały jakiś czas.

— Jeden z was mógłby lądować w samym skafandrze — odpowiedział w końcu drugi dyspozytor, bez przesadnego entuzjazmu. — Ale rakieta nie. Nie mam dosłownie centymetra kwadratowego wolnej przestrzeni.

— No, to nic z tego — w głosie Adama brzmiało źle zamaskowane rozczarowanie. — Podaj nowy kurs.

Darek położył stryjowi rękę na ramieniu.

— Posłuchaj — rzucił szybko — jeśli chcesz, możesz lądować. Niech mi tylko baza podaje dane dotyczące kursu, a mogę siedzieć sam na orbicie nawet przez tydzień. Robiłem to już wiele razy.

Darek robił to rzeczywiście i Adam o tym wiedział. Ale zawahał się.

— A jeśli coś się stanie? — mruknął niepewnie. Darek uśmiechnął się. Wiedział, że Adam połknął

już haczyk i teraz marzy tylko o tym, aby dać się przekonać.

— Nie wiesz przypadkiem, co może się przytrafić rakiecie idącej po orbicie z dobrze wyliczonym kursem? Jeśli natomiast chodzi o meteoryty, inwazję obcej cywilizacji lub kosmiczne krasnoludki, to czy sądzisz, że twoja obecność odstraszyłyby je od "Smyka"?

Adam zamyślił się.

— „Smyk”, tu Abart. Wasza rakieta idzie po nowym kursie. Za chwilę miniecie bazę i wejdziecie na orbitę.

— Teraz albo nigdy — mruknął Darek.

— Tu „Smyk” — Adam zdecydował się wreszcie. — Uwaga, baza. Awaryjne lądowanie pilota. Przekazywać polecenia i namiar aparaturze skafandra. Wyłączam się z sieci pokładowego komputera. Przechodzę do służby.

Darek poczuł dotknięcie ręki Adama na swoim ramieniu. To dotknięcie wyrażało wszystko: prośbę, aby chłopiec zrozumiał, że reporter naprawdę musi być przy tych przygotowaniach, przeprosiny za pozostawienie go samotnego na pokładzie, a wreszcie zachętę do wytrwania. Tej ostatniej Darek nie potrzebował. Zresztą nie poczuł nawet, kiedy ręka Adama zniknęła z jego ramienia. Skupił całą uwagę na pulpicie sterowniczym i na ekranach. Tarcza jednego z nich przekazywała już obraz maleńkiej nieregularnej bryły wirującej powoli w próżni. Dookoła była czerń i gwiazdy. Na mikroskopijnym okruchu łądu, gdzie znajdował się dyspozytor Abart, widniało niemal niewidoczne światełko, które w rzeczywistości na pewno było potężnym reflektorem.

— Uwaga, Darek — zaszemrał w słuchawkach głos Adama — właz otwarty.

Chłopiec szybko zlustrował wskaźniki. Na pulpicie paliła się pomarańczowa lampka.

— Tak; właz otwarty — powtórzył. Sprawdził namiar i dodał: — Uwaga, baza. Uwaga, Abart. Pilot przygotowany do opuszczenia statku.

— Uwaga, "Smyk" — padła natychmiast odpowiedź — wprowadzam korekturę kursu. Czy pilot widzi namiarowy sygnał?

— Pilot gotów — głos Adama.

— Wszystko gotowe — uzupełnił Darek.

— Zaczynam odliczanie — rzucił Abart. — Wkrótce będziecie bezpośrednio nad bazą. Potem zaczniecie się szybko oddalać. Siedem... sześć... pięć... cztery...

— Trzymaj się, Darek. Wylądujesz, kiedy Abart będzie miał wolne pole. Stacja da sygnał i automatyczny pilot sam naprowadzi statek.

— ...trzy... dwa...

— Powodzenia, Adam. Nie zgub się.

— ...jeden...

— Cześć, stary — zaśmiał się reporter — będę biegł od gwiazdy do gwiazdy. Nie zabłądzą.

— ...zero...

Pomarańczowe światełko na pulpicie zgasło. Zielona linia kursu na ekranie przesunęła się odrobinę w lewo.

— Włącz zamknięty — zameldował komputer.

— Tu "Smyk" — powiedział Darek — włącz zamknięty. Co z Adamem?

Dłuższą chwilę czekał na odpowiedź. Statek leciał w takiej pozycji, że Darek na żadnym z ekranów nie mógł dostrzec maleńkiej sylwetki reportera zagubionego w bezgranicznej, czarnej przestrzeni. To znaczy jego sylwetki i tak nie mógłby dostrzec. Wiedziałyby jednak, gdzie Adam jest. Jego drogę wskazywałyby mały, błękitny płomycek gazowego pistoleciku, którego odrzut pozwalał człowiekowi pokonywać samotnie niewielkie odległości w próżni.

— Uwaga, "Smyk" — usłyszał.

— Tu „Smyk”.

— Poprawka kursu. Musimy zmienić tor niektórych bezzałogowych ciężarowców przygotowujących się do pracy w rejonie wybuchu. Wejdiesz na ciasną orbitę wokół Hidalgo. Dystans pokonasz w ciągu dziesięciu minut. Tam będziesz bezpieczny. „Smyk”?

— Słucham.

— Adam Ryska wylądował. Jest obok mnie w dyspozytorni. Pozdrawia cię.

— Tu "Smyk". Wchodzę na nowy kurs. Mam go już na ekranie. Pozdrawiam Adama.

— Trzymaj ten kurs. To na razie, "Smyk".

— Na razie, panie Abart.

Planetoida Hidalgo była niedaleko. Darek obserwował wijącą się leniwie linię kursu. Zboczyła lekko w prawo, po czym ponownie stanęła w pionie. W rzeczywistości ta nitka biegła przez przestrzeń tak prosto, jak to tylko w tej przestrzeni było możliwe. Łuk zatoczyła nie ona, a sam stateczek, na którego pokładzie znajdował się chłopiec z Ganimeda.

Rakietka szła podanym z bazy kursem, światełka wskaźników mrugały uspokajająco, radio milczało. Chłopiec rozparł się wygodnie w fotelu i odetchnął głęboko.

Cóż to za cudowna rzecz — te niewidoczne drogi wśród gwiazd. Jak dobrze mieć kartę pilota i krążyć tymi drogami, które tylko pozornie są puste. Bo przecież nawet i tutaj...

Darek właśnie zaczął sobie przypominać wszystko, co słyszał o niespodziewanych spotkaniach na drogach w przestrzeni, gdy nagle jedna z niewidocznych dotąd lampek w pulpicie sterowniczym zabłysła ostrą czerwienią. Równocześnie rakietka zaczęła gwałtownie zwalniać.

"Za wcześnie" — przemknęło chłopcu przez myśl. Rzut oka na tablicę przekonał go, że się nie myli. Za wcześnie. Co najmniej o trzy minuty.

— Tu „Smyk” — powiedział — staję. Według mojej oceny za daleko od planetoidy Hidalgo, Automatyczny pilot... — zawiesił głowę.

W tym samym bowiem momencie w jego słuchawkach rozległo się kilka pulsujących, urywanych sygnałów.

— „Smyk”, odezwiij się! — zażądała baza. Sygnały powtórzyły się. Sześć krótkich, zniekształconych dźwięków o charakterystycznym, niepowtarzalnym brzmieniu. To brzmienie było doskonale znane wszystkim słuchaczom kursu pilotażu. Automatyczny nadajnik ratunkowy. W pobliżu — kilometr, dziesięć lub sto kilometrów, w przestrzeni taka różnica nic nie znaczy — znajdował się ktoś potrzebujący pomocy. Darek nie zastanawiał się ani chwili.

— Tu „Smyk” — zgłosił się spokojnie do bazy. — Odbieram sygnał alarmowy. Automatyczny pilot zarejestrował wezwanie, zanim przekazały je moje głośniki, i wyhamował statek. Czy przejść na namiar obiektu nadającego?

— Tu dziewięćset sześćdziesiąta trzecia. „Smyk”, upewnij się, czy to jest sygnał alarmowy.

Według naszych danych w promieniu ośmiu milionów kilometrów nie powinien się znajdować żaden statek załogowy. Oprócz ciebie, rzecz jasna. Czekam.

Darek wzruszył ramionami. Wewnątrz jego kasku odzywało się coraz głośniejsze, przerywane buczenie, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym dźwiękiem. „Ciekawe, dlaczego ten nadajnik pracuje tylko na jednym paśmie? — przeszło mu przez myśl. — Wezwanie o ratunek biegnie przecież zawsze na całej szerokości skali. Widać obcy ma uszkodzony nie tylko silnik, ale i radio”.

— Tu „Smyk”. Słyszę coraz lepiej — spojrzał na ekran, po czym dodał: — Automata pilot już zmienił kurs mojej rakiety. Komputery pokładowe są przecież zaprogramowane tak, żeby same reagowały na sygnał s.o. s.

— Tu baza. „Smyk”, polecam ci odnaleźć statek wzywający pomocy. Jeśli to będzie możliwe, weź go na hol. Jeśli nie, przyjmij na pokład jego załogę. Poradzisz sobie? — zatroskała się niezupełnie regulaminowo Abart.

— Tu „Smyk” — odpowiedział krótko Darek. — Przerywam łączność z bazą. Przechodzę na zakres fal obiektu nadającego wezwanie.

Dotknął ręką pulpitu. Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, poczuł się bardzo samotny. Nic się nie zmieniło, był w przestrzeni sam, tak jak dotychczas... tylko że nie było już głosów ludzi, którzy prowadzili jego raketę i czuwali, aby nie zeszła z kursu. No, dość. Teraz trzeba się skupić.

Poczuł, że zmienia pozycję, i równocześnie na skraju ekranu zobaczył poszukiwanego. Był to mały-stateczek, nie większy od „Smyka”, tylko znacznie starszego typu. Tkwił nieruchomo nad samą powierzchnią Hidalgo porysowaną skalnymi wieżami.

Szybkość poszukiwanego i tego, który przychodził mu z pomocą, zrównały się.

— Tu Darek Ryska na pokładzie rakiety „Smyk”. Przybywam z pomocą. Wzywam uszkodzony statek. Słyszycie mnie?

— Słyszę, słyszę — zabrzmiał obcy, chrapliwy głos tak blisko i wyraźnie, że Darek aż się wzdrygnął. Co, u licha? Dlaczego ten obcy, jeśli ma takie dobre radio, nadawał przedtem tylko automatycznym kodem?

Chłopiec rzucił okiem na pulpit swojego komputera i przekonał się, że aparat nieznanego ma bardzo niewielki zasięg. Nie mogli go słyszeć w bazie. Adam i Abart nie wiedzą, że Darek dotarł już do celu. W ogóle o niczym nie będą wiedzieli, dopóki akcja nie zostanie zakończona.

— Możesz wyjść ze statku — spytał chłopiec — czy mam cię wziąć na hol?

— Straciłem zdolność manewrowania — odpowiedział mężczyzna. — Moje pudło jest już do niczego i trzeba je zostawić. Jestem w skafandrze. Mogę wyjść.

— Zapalam reflektory. Otwieram właz. Ustawiam statek włazem w stronę twojej rakiety — recytował Darek jak na egzaminie z pilotażu.

— Dobra, dobra — zamruczał obcy. — Hej, „Smyk”!

— Słucham?

— Widzę twój właz. Bądź ze mną w kontakcie. Mam wyczerpane ogniwa zasilające w pistolecie próżniowym. Nie wiem, czy dolecę.

Darek utkwiał wzrok w pomarańczowym światełku na pulpicie. W pewnym momencie zgąsto. Właz był zamknięty. Mogło to oznaczać tylko jedno. Obcy jest już na pokładzie. Czeką teraz w śluzie, aż jej komora wypełni się powietrzem. Dlaczego w takim razie mówi, żeby chłopiec pozostawał z nim w kontakcie? Dlaczego nie chce, żeby przełączyć radio na bazę?

Darek zdecydowanie sięgnął do pulpitu łączności. Światełka wskaźników zabłyśły jakby weselej.

— „Smyk” do bazy — rzucił. — „Smyk” do bazy. Mam na pokładzie uratowanego. Jego statek nie nadający się do lotu zostawiam w polu grawitacyjnym Hidalgo. Uratowany jest mężczyzną. Był sam. W tej chwili jest jeszcze w śluzie...

Zza pleców Darka wyłoniło się grube, męskie ramię. Dłoń w szerokiej, próżniowej rękawicy spadła na pulpit i przeszorowała po klawiszach. Rakietka gwałtownie zmieniła kurs. W słuchawkach przez chwilę panowała martwa cisza. Następnie zbudził się w nich jakiś dziwny szum. Dopiero po kilku sekundach chłopiec zorientował się, że to szumi w jego własnej

głowie.

— Wyłącz radio — usłyszał chrapliwy głos i równocześnie poczuł jakieś ukłucie między łopatkami.

— Tu baza — Abart był zaskoczony nie mniej niż Darek. — Chyba nie zrozumiałem...

— Wyłącz radio — powtórzył obcy.

To coś, co uwierało Darka w plecy, wpiło się w nie odrobinę głębiej.

Nie czas było pytać. Posłusznie przesunął tłumik fonii.

— Namiar też — powiedział z groźbą w głosie człowiek, który z ocalonego przeobraził się w napastnika.

Darek spróbował odwrócić głowę.

— Siedź prosto! — warknął obcy. — To, co tutaj mam — chłopiec znowu poczuł potężne szturchnięcie w plecy — to jest miotacz. Rób, co mówię, nie mam czasu ani ochoty na żarty.

— Jeśli wyłączę namiar — wyrzucił Darek — stracimy kurs.

— Podobno umiesz prowadzić takie łupinki — odparł głos. — Słyszałem, jak się chwaliłeś, kiedy rozmawialiście z tym jakimś Adamem... i z tym drugim, dyspozytorem. Więc nie udawaj niemowlaka. No, już!

Chłopiec ponownie sięgnął do pulpitu i wyłączył aparaturę nadawczo-odbiorczą utrzymującą kontakt z bazą. Zielona nitka zniknęła z ekranu jak zdmuchnięta. Równocześnie przestał działać automatyczny pilot i wszystkie zespoły pokładowego komputera.

"Słyszał — powtórzył sobie w myśli zmartwiały z przerażenia Darek. — A więc radio miał w porządku. Mógł wezwać pomocy na wszystkich pasmach. Z pewnością przyleciałby statek z bazy, a nawet ze stacji. Ale on specjalnie czekał tutaj na taką okazję. Nie chciał ekipy ratunkowej. Chciał zawładnąć rakieta. Przyczał się".

Chłopiec przeknął ślinę. Gardło miał suche jak popiół.

— Czego pan chce?

Za jego plecami zabrzmiał krótki śmiech. Był to najmniej miły śmiech, jaki kiedykolwiek słyszały

planetoidy.

— Ciekawy jesteś! — rechotał obcy. — Cierpliwości. Dowiesz się wszystkiego. Na razie rób, co Ci każę... i nie bój się. Nie jestem bandytą. Mam tylko tutaj pewną sprawę do załatwienia, a nie mogłem zrobić tego tak, jak sobie zaplanowałem, bo podszedłem wczoraj za blisko tej planetoidy, którą akurat zachciało im się rozwalić. Cudem wyszedłem z tego cało, ale nie wytrzymało moje pudło. Ja naprawdę musiałem nadać s. o. s.

Darek chciał odchrząknąć, ale zakrztusił się. Chwilę kaszłał. Łzy napłynęły mu do oczu.

— Tylko że niekoniecznie na jednym pasmie... — wychrypiął wreszcie.

— Będę krzyczał na cały świat — głos obcego zabrzmiał teraz jakoś dziwnie ponuro — ale dopiero potem. Kiedy zrobię już to, po co przyleciałem z Ziemi.

Chłopiec osłupiał.

— Z Ziemi? — powtórzył, mimo woli znowu próbując odwrócić głowę. — Tą rakieta?!

— Nie odwracaj się — znowu to coś, co może i naprawdę było miotaczem, kolnęło chłopca w plecy. — A tak, z Ziemi. Ty jesteś z tego filmu, prawda?

— Tak.

— Kto poza tobą przyleciał?

— Pan ich zna?

— Mniejsza o to, kogo ja znam. Odpowiadaj!

Darek zebrał myśli.

Ten człowiek popełnił — według kodeksu pilotów — niewybaczalne przestępstwo, pozbawił go łączności z bazą, kazał wyłączyć automatycznego pilota, groził miotaczem... A przecież w tym chrapliwym głosie było coś, co sprawiło, że chłopiec przestał się bać. Jeśli ten człowiek przyleciał aż tutaj z Ziemi rakieta dobrą do spacerów wokół Księżyca, to znaczyło, że był zdecydowany na wszystko. Mimo to Darek nagle uwierzył, że ten człowiek naprawdę nie zrobi mu nic złego... Jeśli nie będzie musiał.

— Lwizwis... to znaczy Lewis, reżyser — powiedział już spokojniej.

— Dalej, dalej! — ponaglał niecierpliwie napastnik.

— Bo Ytterby, kamerzysta. — Bo Ytterby... — mruknął jakby do siebie mężczyzna. —

Młody?

— Dość młody. Jest także operator, Joe Grath. Zapanowała cisza. Nieznajomy milczał tak długo, że w końcu Darek postanowił jednak obejrzeć się, aby sprawdzić, czy ktoś tam jeszcze jest. Był. I nie tylko był. ale udowodnił to, znowu wbijając chłopcu w plecy wylot miotacza.

— Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał — zagrzmiało. — Grath... — powtórzył zmienionym tonem. — Grath...

Darek odetchnął głęboko. Powoli wracał do siebie. Szum w jego głowie ucichł. Równocześnie przypomniał sobie o najważniejszym.

Błyskawicznie spojrzął na zegarek.

— Za kilkadziesiąt minut — powiedział starając się mówić spokojnie — w tym rejonie eksploduje kolejna planetoida. Nie opóźnią wybuchu, choćby chcieli, bo wszystko jest już zaprogramowane. Jeśli nie włączę automatycznego pilota, nigdy nie zrealizuje pan tego swojego planu, bo przestaniemy istnieć... Obaj.

— Jeśli włączysz automatycznego pilota — od-warknął obcy — komputer od razu uruchomi nadajnik namiarowy tej twojej łupiny. Za kilka minut będą nas mieli. A ja nie chcę... nie mogę — poprawił się. — Twoja głowa, żebyś doleciał sam. Pokaż, co potrafisz.

Darek zaciął zęby.

— Nie powiedział mi pan jeszcze, dokąd mam dolecieć.

— Na dziewięćset sześćdziesiątą trzecią, tam gdzie jest ten jakiś Adam i dyspozytor. Ale nie wylądujesz w samej bazie, tylko kilka kilometrów dalej. Tam cię zostawię, nie bój się, z całym ekwipunkiem, a sam zabiorę ten statek. Nie mogę inaczej... — w głosie nieznanego Darek dosłyszał ze zdumieniem jakby przeproszącą nutkę.

— Przecież nie dostaję kursu — burknął.

— Ale leciałeś już tą drogą. Coś chyba zapamiętałeś. A zresztą oblicz — poradził mężczyzna.

Łatwo powiedzieć: oblicz! Przecież takie właśnie obliczenie kursu miało być najbardziej dramatyczną sceną w filmie, o którym Lwizwis mówił, że:

„Widzowie będą w czasie oglądania na przemian szlochać, umierać ze śmiechu i omdlewać z przerażenia”. A rzeczą najbardziej niesłychaną w tym niesłychanym filmie miało być nie co innego, tylko

fakt, że dwoje dzieci potrafiło bez pomocy komputera i automatów doprowadzić do bazy statek kosmiczny. Kubek w kubek to samo miał teraz zrobić Darek, co gorsza nie w atelier, lecz w prawdziwej międzyplanetarnej przestrzeni.

„Oblicz!” Gdzieś w tym mroku krążą skalne bryły, planetoidy, z którymi spotkanie oznacza śmierć. Na jednym z tych kamiennych okruczeń przycupnęła ziemka... nie, nie ziemka — ludzka baza. W niej jest Adam. Jak ustawić dysze kierunkowe? Jak wytyczyć kurs? Jak nie roztrzaskać się o któryś z miniaturowych globów i jak nie minąć tego właściwego, nie ulecieć bezpowrotnie w nieskończoność kosmosu? A wreszcie jak zdążyć, zanim w przestrzeni — kto wie, czy nie tuż obok nich — wszędzie upiorne słońce wybuchu?

Chłopcu przypomniała się nagle rozmowa dyspozytora Nerpy z owym tajemniczym przybyszem, który przedstawił się potem jako Stewa. Jak on to powiedział? Ze odkrył w przestrzeni jakieś ślady. „Ślady?” — zdziwił się wtedy dyspozytor.

To zdziwienie było uzasadnione. Siad stanowiła ta zielona nitka, kiedy jeszcze świeciła w okienku wskaźnika. Śladami były głosy bliskich ludzi i informacje otrzymywane z komputera. Ale teraz? W tej najczarniejszej ze wszystkich nocy, w tej pozornej próżni, w której może się zdarzyć wszystko?...

Darek zaciął zęby i zaczął liczyć. Uruchomił podręczny kalkulator i odczytał z licznika dane dotyczące drogi, jaką przebył od wyjścia Adama do przyjęcia porywacza na pokład. Odtwarzał każdą, najdrobniejszą zmianę kursu, każdy zakręt. Nie wolno niczego przegapić, dopuścić do najmniejszej

niedokładności. Jeśli nie wróci dokładnie tą samą

drogą... Po chwili zapomniał już o tym, że ktoś stoi za

jego plecami, że ten ktoś ma broń i przed chwilą groził jej użyciem. Obliczał szansę pozostania przy życiu. Obliczał, jak daleko i w jakim kierunku

mogło ich znieść od Hidalga. Szukał śladów w międzyplanetarnej przestrzeni.

NIE WYCHODŹ Z KABINY...

Świetnie, mały — mruknął mężczyzna.

Darek zdał sobie sprawę, że przedmiot uciskają-cy jego plecy zniknął już dobrą chwilę temu. Był zbyt pochłonięty swoją ślepą, szaloną nawigacją, by to przedtem zauważyć.

Uznanie napastnika było w pełni uzasadnione. Dodajmy, że wbrew wszelkiej logice sprawiło chłopcu przyjemność. Wbrew logice, bo w końcu dobry pilot zasługuje na coś więcej niż wyrazy podziwu ze strony zbira, który porywa statki.

Maleńki glob był bardzo blisko. Tak blisko, że reflektory oświetlające bazę lśniły jak jedna z gwiazd. "Udało się" — powtarzał sobie w duchu Darek. Nie był nawet zdziwiony. Są sprawy tak niezwykle, że nie budzą już nawet pospolitego zdumienia. Szanse trafienia do Abarta i Adama, którzy dostali pewnie gorączki ze strachu o los chłopca, były takie, że... Zresztą, co tu mówić. Właściwie nie było żadnych.

A jednak Darek trafił.

Podprowadzał stateczek ostrożnie, bardzo powoli, nie zapominając o życzeniu napastnika. Przemknął nad oświetlonym lądowiskiem i jeszcze bardziej obniżył lot.

— Dosyć — rzucił mężczyzna.

— Jak to: dosyć? — burknął Darek. — Miało być kilka kilometrów. A poza tym muszę przecież wylądować.

— Nie musisz — wychrypiął ponuro obcy. — Zmieniłem zdanie. Teraz sam wezmę stery, a ty opuścisz statek. Tak jak przedtem ten twój Adam.

— Nie zejdem z pokładu — oświadczył chłopiec. — Jestem odpowiedzialny za los statku.

Ukłucie pomiędzy łopatkami przypomniało Darkowi, że pirat ma argumenty, które trudno będzie odeprzeć słowami.

— Złaz z fotela!

Chłopiec niechętnie cofnął dłonie znad pulpitu, po czym odruchowo przejechał nimi po swojej bluzie. Skafander był w porządku. Pomyślał jeszcze chwilę, następnie wzruszył ramionami i nie bez trudności — spowodowanych ciasnotą — przeniósł się na sąsiedni fotel. Usłyszał przyspieszony oddech, tamten gramolił się niezdarne przez oparcie, by zająć miejsce pierwszego pilota. Kiedy mu się to wreszcie udało, Darek po raz pierwszy, poprzez przezroczystą osłonę kasku, ujrzał jego twarz — chudą o mocno zarysowanych kościach policzkowych. Oczy nieznanego patrzyły niezbyt przytomnie, wargi poruszały się nieustannie, nawet kiedy nic nie mówił. W tym momencie — wbrew wszystkiemu, co zaszło, odkąd ten człowiek stanął na pokładzie "Smyka" — chłopiec doszedł do wniosku, że napastnik się boi. Tak, w tych jego oczach był strach. A może i coś więcej? Jakaś determinacja, smutek lub... szaleństwo?

— A teraz wynocha! — rzucił mężczyzna, szturchając Darka łokciem. — Masz dobry skafander? — zatroszczył się ni stąd, ni zowąd.

Chłopiec mruknął potakująco. Spojrzał na miotacz w dłoni swojego nieproszonego gościa i przez chwilę zawahał się, czy nie spróbować mu go odebrać. Ale ryzyko było zbyt wielkie. Pirat cały czas trzymał palec na spuście.

— A pistolet?

Darek pomacał się po kieszeni przy pasie. Pistolecik gazowy tkwił na swoim miejscu.

— Mam.

— Przechodź do wjazdu — rzucił obcy. — Nie robiłbym tego, gdybym nie musiał — dodał niespodziewanie, jego ton nagle złagodniał. — Nic ci się nie stanie, chłopcze, jesteś bardzo blisko bazy, a do wybuchu pozostało dobrych kilka minut. Zdażysz. — Ale pan nie zdaży — zauważył Darek przeciskając się już przez płataninę kabli w kierunku śluzy.

— O to niech cię głowa nie boli. I powiedz swoim, że dostaną ten piękny stateczek z

powrotem. Cześć, synu, i nie myśl, że... Zresztą, mniejsza z tym. Znikaj! Już!

Darek nie czekał na ponaglenia. Przed chwilą, kiedy ostatni raz spojrzął w ekrany, zobaczył, że światła bazy zostają za rufą rakiety. Każda sekunda oddalała go teraz od Adama!

Właz był otwarty. Napastnik, kimkolwiek był, umiał się obchodzić z aparaturą. Chłopiec odruchowo sprawdził szczelność skafandra, rozejrzył się po dalekich, obojętnych gwiazdach, pomyślał; że wkrótce ich blask zniknie w ogniu eksplozji, i głową naprzód wypłynął w przestrzeń.

Ułamek sekundy potem skierował wylot swojego pistoleciku w stronę przeciwną do bazy i nacisnął spust. Nie sądził wprawdzie, by ten dziwny pirat od razu uruchomił dysze napędowe "Smyka", spalając prawowitego pilota stateczku ogniem odrzutu, ale na zdrowy rozum biorąc, tamten nie mógł czekać zbyt długo. A pominąwszy nawet niebezpieczeństwo grożące ze strony opuszczonej dopiero co rakiety, chłopiec miał uzasadnione powody życzyć sobie, aby jego podróż trwała jak najkrócej.

Podróż. Słowo, którego brzmienie ma smak przygody. Piękne słowo.

Podróż... Małe sylwetki zawieszona w nieskończonej czerni. Światła, które widać, lśnią w odległościach nie dających się wyrazić słowami. Czasem któreś z nich gaśnie i tylko po tym można się zorientować, że pomiędzy mikroskopijnym człowieczkiem — osłoniętym przed próżnią, absolutnym mrozem i promieniowaniem jedynie cienką błonką skafandra — a gwiazdą pojawiła się jakaś przeszkoda. Statek? Planetoida? Meteoryt?

Taka podróż ma trochę inny smak...

W dodatku Darek podróżował w takiej pozycji, że to jedno, jedyne, zbawcze światło, światło zapalone przez ludzi, pozostawało dla niego niewidoczne.

Odłynąwszy na bezpieczną odległość od „Smyka”, skierował wylot pistoleciku za siebie i strzelił krótką serię. Jego ciało nabrało przyspieszenia. Dzięki temu udało mu się wreszcie obrócić. I wtedy ujrzał bazę. Była całkiem blisko. Potężne reflektory otaczały płaski -plac, na którym czerniały dwa wysmukłe kształty, dwie ostro zakończone kolumny. Statki. Mało brakowało, a wpakowałby się prosto na dziób wyższego z nich.

Skreślił ostro, wyminął raketę i nagle spłynęło na niego olśnienie. Uświadomił sobie, że nie jest już w kabinie "Smyka", że za jego plecami nie stoi uzbrojony napastnik i że wobec tego może... Co może? Oczywiście to, co powinien był zrobić natychmiast po opuszczeniu statku. Dziwne, jak łatwo człowiek zapomina o najprostszych rzeczach. Nawet człowiek, który skądinąd potrafi zachować zimną krew w najniezwyklejszych sytuacjach.

Sięgnął do rękawa i jednym muśnięciem palca uruchomił nadajnik.

— Mówi Darek Ryska — powiedział niezbyt głośno, ale i tak nie udało mu się opanować drżenia głosu. — Wzywam dyspozytora Abarta.

— Darek!

Okrzyk zabrzmiał tak blisko, że chłopiec musiał bezzwłocznie wykrzywić twarz w jakimś osobliwym grymasie. Ten odruch był absolutnie konieczny, jeśli nie miało dojść do katastrofy. Oczy Darka zaczęły bowiem podejrzanie mętnieć, jego broda drgnęła niebezpiecznie raz i drugi... Co, u licha, przecież nie... Tego by tylko brakowało!

— Darek! — wykrzyknął inny, tak dobrze znany głos.

Chłopiec poczuł nieprzepartą chęć użycia chusteczki do nosa. Niestety z paru co najmniej powodów było to niemożliwe. Nabrał więc tylko głęboko powietrza i, wypuszczając je małymi porcjami, powiedział:

— Dolatuję do bazy... W skafandrze... Napastnik uprowadził statek.

— Odbieram twój sygnał namiarowy — głos Abarta był już niemal normalny. — Siadaj, tylko ostrożnie.

— Ostrożnie, Darek — dorzucił Adam. — Wychodzimy na lądowisko. Zaraz nas zobaczysz. Zdażyłeś w sam czas. Za trzy minuty eksplozja.

Chłopiec ponownie skierował wylot pistolecika ku górze. Sekunda, dwie... i jego stopa dotknęła lądu. Odbił się, raz jeszcze dotknął spustu i stanął pewnie obiema nogami. Przez chwilę trwał bez ruchu, po czym uniósł stopę i mocno uderzył nią w skałę. Ląd!

Ląd — równy wielkością ziemskiej wsi, ot, taka wirująca w przestrzeni kosmicznej okruszyna, bez powietrza, wody, pozbawiona wszystkiego, co przypominałoby jakikolwiek

zamieszkały świat. A jednak Darek rozumiał teraz uczucia starożytnych żeglarzy, kiedy po huraganach i sztormach, w na pół strzaskanych statkach, bez kompasów, żagli i steru — dobijali w końcu cali i zdrowi do jakiejś pięknej, ocienionej palmami plaży.

W niskiej kopule bazy otworzy się prostokątne drzwi. Na plac wybiegły dwie sylwetki w skafandrach. Dwie... a za nimi jeszcze jedna. Ciekawe. Przecież miał być tylko dyspozytor... No i Adam.

Darek wyprostował się i ruszył im na spotkanie. Zrobił krok, dwa, po czym nagle — pod wpływem jakiegoś niedorzecznego impulsu — cisnął na ziemię swój pistolecik. Niech licho porwie wszystkich kosmicznych piratów, całe to beznadziejne obliczanie kursu, te podróże w samym skafandrze przez przestrzeń! Teraz tylko jak najprędzej znaleźć się z Adamem w zaciszu bazy, zrzucić kask, odetchnąć swobodnie w świetle i ciepłe, wezwać jakiś pomocniczy automat i zażądać, żeby przyniósł szklankę zimnej kuli.

Przyśpieszył. Jeszcze przyśpieszył...

Ani się obejrzał, gdy jego stopy ponownie zamachały bezradnie w próżni. Łąd uciekł spod nich tak szybko, jakby cała planetoida numer dziewięćset sześćdziesiąt trzy zamieniła się nagle w rozpędzony, kosmiczny statek. Światła reflektorów zaczęły błyskawicznie przygasać. Jasny krąg z bazą i sylwetkami ludzi kurczył się, malał, malał...

— Darek!

Dokoła panowała już nieprzenikniona noc, Skądś — w takiej nocy nie ma ani dołu, ani góry, ani lewej czy prawej strony, są tylko wszechobecne gwiazdy — zaczął się do chłopca zbliżać jakiś niesłychanie nikły ognek.

— Darek!

Zamiast odpowiedzieć, zamachał rozpaczliwie rękami. W efekcie osiągnął tylko tyle, że jego ciało leniwie odwróciło się do bazy... no, powiedzmy: plecami. Stracił z oczu ten ostatni ognek łączący go ze światem ludzi. Wiedział oczywiście, że ten ognek to błysk pistoleciku Adama lub Attarta i że wkrótce nadejdzie pomoc. Wiedział jednak także, że z trzech minut, które pozostały do eksplozji sąsiedniej planetoidy, zrobiło się już najwyżej półtora. Jeżeli nie zdążą, czeka ich śmierć. A najgorsze, że wszystkiemu winna jego własna głupota.

Milczał w dalszym ciągu. Nie ze strachu, Z wściekłości na samego siebie. Rzucił ten pistolecik jak ostatni idiota. A potem zachciało mu się skakać. Nie przeszło mu przez myśl, że na tej kosmicznej drobinie człowiek waży zaledwie jakieś dwadzieścia, no, niechby trzydzieści... gramów! Wystarczy jeden nieostrożny ruch, jeden bardziej sprężysty krok, by po prostu ulecieć w przestrzeń.

Nagle chłopiec uczył, że coś niesłychanie powolnym i łagodnym ruchem chwytą go za nogi i że jego ciało nabiera szybkości. Mimo woli odetchnął z ulgą. Zrozumiał też, że milczeć nadal — oznaczałoby wygłupić się do reszty. Odchrząknął i spytał nienaturalnie spokojnym głosem: .

— Jesteś już?

— Jestem — mruknął Adam.

— Zdążymy?

— Chyba że znowu uciekniesz — ton, jakim Adam wypowiedział te słowa, przeczył ich żartobliwej treści.

Darek pomyślał, że jeśli eksplozja nastąpi właśnie teraz, Adam nigdy już nie nada żadnego reportażu. Przez niego...

— No, ląduj! — usłyszał głos i równocześnie spełnił życzenie stryja, chociaż zapewne nie tak, jak ten to sobie wyobrażał.

Raptem tuż przed osłoną kasku Darka pojawił się szorstki, ciemny grunt. W następnym ułamku sekundy szorował już twarzą i brzuchem po polu startowym bazy.

— Brawo! — ucieszył się Adam. — Przepiękna jaskółka! Ale nie musiałeś wypełnić tak dokładnie tego: "ląduj".

Chłopiec zatrzymał się w końcu i bardzo ostrożnie wstał. Kiedy się odwrócił, reporter był już przy nim.

— A teraz w nogi! — zawołał.

Określenia „w nogi” nie należy rozumieć zbyt dosłownie. Przez całą drogę do bazy Adam włókł po prostu chłopca za sobą, a raczej nad

sobą, na podobieństwo latawca z krótkim sznurkiem, wystrzelując ostatnie zapasy energii ze swego pistoleciku. Nie znaczy to jednak, że nogi Darka w ogóle nie uczestniczyły w tym triumfalnym powrocie. Wręcz przeciwnie, odegrały rolę, którą trudno byłoby może nazwać zaszczytną, ale która okazała się szalenie ważna. Posłużyły mianowicie Adamowi jako ów sznurek od wspomnianego latawca.

Tak czy owak, podróżując w ten sposób, dobrnęli wreszcie szczęśliwie do wejścia, w którym widniała wysoka sylwetka mężczyzny. Mężczyzna ten cofnął się teraz pośpiesznie do środka.

— Już! — usłyszał Darek jakiś głos pełen napięcia.

Chłopiec chciał coś powiedzieć, ale nagle zobaczył na ścianie na wprost wejścia swój własny cień. Zaraz potem ta ściana buchnęła ostrym, przesywającym błyskiem. Chłopcu wydało się, że stanął przed lustrem, na które ktoś skierował światło dziesięciu słońc. Zmrużył odruchowo oczy i obejrzał się z rozpaczą. Ale Adam był już wewnątrz! Właśnie mocował się z kłapą włazu. Rozległ się trzask i w komorze śluzy zapanowała ciemność.

Teraz dopiero Darek zorientował się, że wrócił do pozycji pionowej. Wreszcie czuł, że jego tak ciężko doświadczone nogi stoją mocno i pewnie, dźwigając swoją przyrodzoną porcję żywej wagi. Tu nie groziły już żadne sztuczki ze strony — nie istniejącej niemal na tym globie — grawitacji.

— To się nazywa zdążyć w ostatniej chwili — powiedział jakiś męski głos.

Chłopiec przypomniał sobie, że z daleka widział trzy sylwetki zamiast dwóch. Abart tkwi pewnie przy aparaturze, w dyspozytorni. W momencie eksplozji nie mógł jej przecież opuścić nawet na ułamek sekundy. Kim więc był ten tutaj?

— Co się stało? — spytał krótko Adam. Darek z natury lubił jasne sytuacje. Poza tym uznał, że tym razem stryjowi naprawdę coś się od niego należy.

— Wyrzuciłem pistolet i podskoczyłem sobie — odrzekł szczerze. — Możesz powiedzieć, co o mnie myślisz, ale nie musisz — dodał po chwili ponuro. — I tak wiem...

— To dobrze — zaśmiał się krótko Adam i zaraz spoważniał. — Teraz powiedz, czemu zerwałeś łączność i co się stało ze statkiem?

Możliwie najkrócej opisał Darek wszystko, co mu się przytrafiło, od chwili kiedy komputer „Smyka” odebrał wezwanie o pomoc.

— Gdy kazał mi wyłączyć radio i automatycznego pilota, obliczyłem kurs...

— Co?! — przerwały chórem dwa głosy. W innych okolicznościach ten chór napęłniłby serce chłopca niewystowioną słodyczą. Ale po tym fatalnym wysoku, dosłownie i w przenośni... Darek doskonale wiedział, że musi minąć trochę czasu, zanim w pełni odzyska poczucie własnej wartości.

— Obliczyłem kurs — powtórzył więc skromnie. — Nad bazą ten facet wyrzucił mnie z rakiety. I to już właściwie wszystko.

Nad wewnętrznymi drzwiami śluzy zapłonęło zielone światelko. Znak, że komora wypełniła się powietrzem i można już wejść do bazy.

Idąc korytarzem w stronę dyspozytorni, chłopiec raz jeszcze musiał powtórzyć swoją relację. Zrobiło się jaśniej i wreszcie mógł zobaczyć twarz tego trzeciego. Szpakowaty. Stewa. Człowiek, który przyleciał po pierwszej eksplozji i któremu dziwnie zależało na tym, żeby spotkać się z Nerpą bez świadków. Człowiek, który stał za Mammeą, kiedy ten wypytywał Darka o zaginione obiektywy. Człowiek, który tak natarczywie domagał się od Adama odpowiedzi, dokąd mają zamiar lecieć i czy uzyskali zgodę dyspozytora. Słowem, ktoś, kto lubi zajmować się cudzymi sprawami. Chłopiec postanowił z miejsca, że szczerą rozmowę z Adamem odłoży do czasu, kiedy zostaną sami.

— Cześć — przywitał Darka dyspozytor, w odróżnieniu od Nerpy zupełnie młody mężczyzna, w takim samym jak tamten białym skafandrze. — Gratuluję. Wprawdzie napędziłeś nam porządnego stracha, ale z pilotażu... piątka z plusem! Co ja mówię! Dziesięć piątek!

— Powiedz mi, chlubo rodziny — odezwał się Adam — kiedy już nazbierałeś tyle tych piątek, jak się właściwie czujesz? Może powinniśmy go zbadać? — zwrócił się do Abarta z udaną troską. — Musiał przejść poważny szok. A potem ten rozpaczliwy skok w przestrzeń...

— Uważam sprawę za wyjaśnioną — grobowym głosem przypomniał swoją skruczę Darek.

— A czuję się dobrze.

— Pozwólcie — szpakowaty skończył właśnie manipulować przy pulpicie łączności i zwrócił się do chłopca — że teraz ja o coś spytam. Jak wyglądał ten mężczyzna, który porwał "Smyka"? Widziałeś go?

Darek spojrział na Adama, jakby chciał od niego usłyszeć, czy ma odpowiadać. Stryj jednak milczał.

— Widziałem, ale tylko przez chwilę — bąknął wreszcie niechętnie "piątkowy" pilot.

— Mógłbyś go opisać?

— Miał bardzo szczupłą twarz i takie... takie wystające kości policzkowe. Szpakowaty skinął głową. Jego oczy zalśniły.

— Jesteś pewny?.

— Tak.

Darek bardzo nie lubił, kiedy pytano go o coś dwa razy. Stewa jakby wyczuł, o co chodzi, bo uśmiechnął się przelotnie.

— To bardzo ważne — usprawiedliwił się. — Muszę mieć absolutną pewność. Mówiłeś, że pytałeś, kto z tobą przyleciał, i że jakoś dziwnie zareagował, kiedy wspomniałeś Joego Gratha. Czy jeszcze o kimś rozmawialiście?

Darek pomyślał o przerażonym Bo, któremu obiecał, że będzie milczał, zanim się nie rozmówią.

— O nikim — powiedział stanowczym tonem. Stewa przyjrzał mu się badawczo, po czym bez słowa zaczął nakładać kask.

— Teraz nie polecisz — oświadczył Abart. — Promieniowanie.

— Muszę — mruknął Stewa już z korytarza. Dyspozytor włączył mikrofon.

— Zabraniam startu!

— Odmawiam wykonania — zadudniło w głośnikach. — Muszę tam być przed nim... Abart strzelił z furją palcami.

— Tutaj ja decyduję — powiedział z naciskiem. — Blokuję właz.

—Właz otwarty — padła odpowiedź. — Na mocy moich uprawnień odblokowuję automaty bezpieczeństwa. Nie mogę inaczej, Abart.

Darek poczuł, że jego niejasne podejrzenia dotyczące osoby szpakowatego stają się odrobinę bardziej niejasne. O jakich uprawnieniach on mówi? Przecież w przestrzeni — obojętne czy na statkach, czy w bazach satelitarnych — decydujący głos ma zawsze dyspozytor. Spojrzął na Adama i ku swojemu zdziwieniu ujrzał, że ten uśmiecha się z uznaniem. Zaraz potem usłyszał jego głos:

— Twarda sztuka. Nie złość się, Abart. Dobrze wiesz, że na jego miejscu postąpiłbyś dokładnie tak samo. A poza tym — uśmiech Adama stał się szerszy — ktoś już kiedyś powiedział: władza ma wtedy autorytet, kiedy nie wydaje poleceń, o których wiadomo z góry, że nie zostaną wykonane. Nie trzeba było zabraniać.

Abart pomilczał chwilę, jakby obmyślając zemstę nad szpakowatym. Wreszcie poruszył się niecierpliwie i machnął ręką.

— Musiałem — odburknął. — Natężenie promieniowania trzykrotnie przekracza dopuszczalne wartości. Poza tym zostaliśmy odcięci od świata. Wy straciliście „Smyka”, a ja wysłałem swój statek śladem ciężarowców, w rejon eksplozji, żeby automaty przeprowadziły badania wytrzymałości siłowego pola. Pierwsza rakieta zamelduje się tu nie wcześniej niż za pół godziny.

— Pół godziny to jeszcze nic takiego — powiedział Adam, spojrzął na Darka i przymrużył zabawnie oko. — Nie martw się, zdążymy jeszcze nakręcić dzisiejszą porcję waszego wiekopomnego filmu.

Chłopiec odruchowo popatrzył na zegarek. Dochodziła druga. Nie do wiary! Wydawało mu się, że od kiedy opuścili stację, minęła co najmniej doba. W rzeczywistości ich lot „Smykiem”, porwanie, powrót i te ostatnie sceny w bazie — wszystko to razem trwało raptem trzy godziny!

— Kim właściwie jest... Stewa? — zwrócił się po chwili milczenia do Adama.

Ten moment wahania przed wymianieniem nazwiska miał dać reporterowi, do zrozumienia, że szpakowaty nie cieszy się szczególną sympatią Darka.

Adam spojrział niepewnie na Abarta. Porozumieli się wzrokiem, po czym dyspozytor

machnął ręką.

— Niech wie — mruknął. — Teraz to już i tak nie ma znaczenia.

Stryj Darka skinął głową na znak, że się zgadza z opinią Abarta.

— Stewa przyleciał specjalnie z Ziemi, aby wyjaśnić sprawę tych zaginionych obiektywów fan-tomatycznych — powiedział. — Jest oficerem w Radzie Głównej Służby Ochrony Zdrowia.

Chłopiec podskoczył jak ukąszony przez osę.

— Adam! — krzyknął chwytając reportera za rękaw. — Czy on wie... czy ty mu coś mówiłeś?

— Co mu miałem mówić? Przecież ja — zaakcentował to słówko — o niczym nie wiem. A trudno mi informować przedstawiciela Rady Głównej Służby Ochrony Zdrowia, że mój bratanek tak jakby czegoś się domyślał.

— Ja muszę się z nim zobaczyć! — krzyknął rozpaczliwie chłopiec. — To znaczy — poprawił się — a muszę porozmawiać z Bo! Ja muszę...

— Przykro mi, ale naprawdę to musisz czekać, aż uda nam się stąd odlecieć — zauważył stryj. — Możesz oczywiście połączyć się ze stacją i poprosić YtterbY'ego. Albo Stewę... Tylko że wtedy będą cię słyszeć wszyscy. A nawiasem mówiąc — dorzucił od niechcenia — czy nie mógłbyś przy okazji i mnie poinformować, co ty właściwie wiesz?

Darek spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem, potem przeniósł to spojrzenie na Abarta, wrócił do stryja i powtórzył całą operację od nowa. Ale dyspozytor tkwił nieruchomo przed swoim pulpitem, a Adam z osobliwym upodobaniem wpatrywał się w ścianę nad głową chłopca. Zza tej ściany dobiegał chwilami charakterystyczny, stłumiony terkot przekazańników. Poza tym w kabinie było cicho, jak makiem zasiał.

W tej ciszy głos Darka, kiedy wreszcie przemówił, jemu samemu wydał się obcy.

— Ja naprawdę muszę najpierw porozmawiać z Bo. Chyba rozumiesz... — wpatrzył się w Adama z błagalną prośbą.

— Rozumieć rozumiem — odpowiedział po namyśle reporter — ale boję się, że z tego rozumienia nic nikomu nie przyjdzie. Dlaczego właściwie — wrzasnął nagle, aż chłopiec cofnął się odruchowo o krok — nie powiedziałaś o wszystkim Stewie?! Mało ci latania bez namiaru, gubienia rakiet i roli w filmie?! Zachciało ci się jeszcze zabawy w detektywa?!

Darek po raz pierwszy w życiu widział tego swojego wesołego stryja w ataku autentycznej furii. Nie potrafił jednak nawet się zdziwić. Był zbyt przygnębiony.

— Skończyliście? — spytał po chwili Abart. — Jeśli tak, to może przyjdziecie popatrzeć.

Chłopiec nie był teraz ciekaw absolutnie niczego, co nie wiązało się bezpośrednio z ponurą tajemnicą Mykeskesa i Joego Gratha.

Adam natomiast... Ale czego innego można się było po nim spodziewać? Posapał jeszcze chwilę, gromiąc swego bratanek zabójczym wzrokiem, po czym nagle odwrócił się na pięcie i podbiegł do dyspozytora. Stał za jego plecami i jakby nigdy nic wpatrzył się w ekrany. A po chwili zapomniał o całym świecie. Liczyło się tylko to, co niosła bieżąca chwila. To, o czym będzie można opowiedzieć ludziom, słuchaczom i widzom jego agencji informacyjnej. Cały Adam!

— Darek! — zawołał w pewnej chwili. — Chodź tu prędko!

Wezwany nie drgnął nawet.

— No, chodźże! — ponaglił go niecierpliwie stryj. Wreszcie, nie słysząc kroków chłopca, odwrócił się w jego stronę. Spojrzał mu badawczo w oczy, po czym nagle wygłosił mowę.

— Możesz coś zrobić? Nie możesz — odpowiedział sam sobie. — Możesz coś wymyślić? Nie możesz. Na razie nie masz wpływu na bieg wydarzeń. W takiej sytuacji człowiek ma do wyboru albo siedzieć i płakać, albo czekać z założonymi rękami, albo wreszcie zająć się czymś pożytecznym. Zapamiętaj sobie, co mówię, ośla głowo, bo to jedna z wielkich tajemnic powodzenia. Nie tylko reportera, ale i naukowca, którym podobno chcesz zostać. Jeśli przyjdzie ci poczekać kilka go-dzin na wyniki jakichś pomiarów, to co zrobisz na tym swoim Ganimedzie? Pójdiesz spać? Będziesz biegał od jednego aparatu do drugiego i piszczał Jak Werwus? A może uwalisz się w hotelu i...

— Dobrze już, dobrze — przerwał Darek zrezygnowanym tonem.

Trudno odgadnąć, czy przekonał go, jeśli można tak powiedzieć, całokształt przemowy

reportera, czy też decydującą rolę należało przypisać samej "oślej głowie". A może po prostu wolał ustąpić, żeby tylko Adam przestał mówić? W każdym razie stryj osiągnął swój cel. Chłopiec, wprawdzie ociągając się, podszedł do ekranu. Przez chwilę jego twarz pozostała jeszcze mroczna i nieobecna. Zaraz potem rozjaśnił ją promyk zaciekawienia. Ten promyk wkrótce się powiększył w prawdziwe światło.

Widok był bajeczny. Na pierwszym ekranie rysowały się tory wielkich bezzałogowych transportowców, które przewoziły szczątki planetoidy z rejonu wybuchu na plac budowy. Była to istna płatanina zielonych nitek, ciemnych lub połyskujących, w zależności od tego, czy dany tor był akurat wolny, czy zajęty. Sąsiedni ekran ukazywał pracę automatycznych ładowarek zbierających te okruchy i przenoszących je do ładowni macierzystych statków. Te od razu po zamknięciu włazów uruchamiały silniki i odlatywały, bodąc czerń smugami wielobarwnego ognia. Trzeci ekran przekazywał obraz terenu budowy. Zawieszony w próżni reflektory oświetlały ogromną, niemal płaską jeszcze platformę. Tylko tu i ówdzie piętrzyły się sterty odłamów skalnych, tam gdzie w przyszłości miały być wzgórza, parki alpejskie lub tradycyjne budowle z kamienia. Wydawało się, że automaty montują miasteczko dla lalek. W rzeczywistości obszar przyszłego osiedla miał mieć średnicę pięciuset kilometrów.

Darek przeniósł wzrok na ekran stojący po przeciwnej stronie i przez chwilę przyglądał się przeskakującym na nim liczbom.

— A co to jest? — nie wytrzymał w końcu. Abart odwrócił się i podążył za wzrokiem chłopca.

— Mapa — odpowiedział z uśmiechem.

— Mapa? — nie zrozumiał Darek. — Mnie chodzi o ten ekran z liczbami...

— Przecież mówię. Mapa — powtórzył dyspozytor. — Tyle że zamiast przedstawiać rozmaite kraje, podaje ich położenie. Bo te kraje są stale gdzie indziej.

— Planetoidy — dopowiedział Adam.

Chłopiec odgadł już jednak sami że chodzi o planetoidy. "Mapa" przedstawiała po prostu drogi, którymi te ciała niebieskie odbywają swoje podróże wokół słońca. Te drogi były bardzo różne, od regularnych niemal kół po niezmiernie wydłużone elipsy. Przecinały się i rozbiegały na wszystkie możliwe sposoby. Istny gąszcz!

Nagle Darek przypomniał sobie, że cały ten obszar między Marsem a Saturnem jest rezerwatem. Planetoidy znajdowały się pod ścisłą ochroną, tak jak na Ziemi Alpy, wyspy Oceanii lub norweskie fiordy. Tymczasem oni tutaj rozwalają sobie te globiki niby nigdy nic, budują beztrąsko miasta.

Zapytał, jak to właściwie jest.

— W ziemskich rezerwach także trzeba od czasu do czasu wyciąć drzewo — odpowiedział Abart. — Widzisz, planetoidy są na ogół bardzo niesforne. Wiele z nich zapędza się w pobliże Słońca, by potem odfrunąć aż w okolice Jowisza. Wiemy, które z nich za tysiąc czy milion lat musiały

by się zderzyć z jakąś planetą albo wejść na orbitę okołozemską. Do tego i tak nie moglibyśmy dopuścić... A ponieważ potrzebujemy materiału budowlanego już w tej chwili, rozbijamy je teraz. Mogę cię zresztą pocieszyć, że na kilkaset tysięcy planetoid zamierzamy zniszczyć zaledwie pięć. Wczoraj byliście świadkami drugiej eksplozji, a dzisiaj trzeciej. Za tydzień rozprawimy się z dwiema pozostałymi. Czekamy tylko, aż będą trochę bliżej. Darek zastanowił się przez moment.

— Czy tego miasta nie opłacałoby się postawić na jakiejś istniejącej planetoidzie, zamiast budować w przestrzeni całkiem nowe ciało kosmiczne?

— Łatwiej jest zaprogramować orbitę sztucznego satelity niż zmienić naturalny szlak takich wielkich obiektów jak na przykład Pallas, Juno czy Dembowska mających po kilkaset kilometrów średnicy — wyjaśnił na odmianę Adam. — Trzeba by instalować w nich ogromne agregaty, rozkopywać skały i tak dalej. Chcemy, żeby to miasto krążyło sobie spokojnie, w jednakowej odległości od Słońca... i od Ziemi. Żeby miało stałą temperaturę i stałe zużycie energii. To leży w interesie i konstruktorów, i przyszłych mieszkańców. A jeśli chodzi o to, co mówiłeś o rezerwacie... Pomyśl, jakie wspaniałe wycieczki będzie można stąd robić! I stale na nowe planetoidy, bo przecież ruch planetoid jest niejednakowy, więc w pobliżu miasta będą się pojawiać coraz to inne. Jeżeli ktoś zechce, będzie mógł na przykład rozbić biwak na Amorze. Ta łupina o średnicy dwudziestu czterech kilometrów podchodzi tutaj co osiem lat

bardzo blisko. Wyobrażasz sobie te widoki? Albo Eros. To po prostu jedna skalna iglica o długości trzydziestu pięciu kilometrów, a szerokości — jedenastu. Niby jakiś szczyt w Tatrach. Tylko że można po niej chodzić bez lin, haków i tak dalej. Człowiek ważyłam dwadzieścia gramów.

— O niespodziankach z wagą ten młody człowiek miał już okazję przekonać się na własnej skórze — wtrącił Abart.

Reporter zarechotał.

— Właśnie — przytaknął. — A częściowo i na mojej.

— Więc nie martw się już o rezerwat — podjął przerwany temat dyspozytor. — Zostanie dość... Dla wszystkich. Vesta, Polonia, Eunomia, Hermes, a nawet choćby Hidalgo, któremu prawie złożyłeś już wizytę. Wymieniam tylko niektóre z większych planetoid. Będzie się dokąd wybrać... za miasto!

— Kto wie — zauważył Adam — czy nie zamieszkacie tu kiedyś z twoją matką. Przecież nie będziecie do końca życia tkwić w tej skorupie na Ganimedzie.

— Tu Abart, słucham — dyspozytor poprawił się nagle w fotelu i skupił uwagę na swoim pulpicie. — Zrozumiałem. Promieniowanie w normie. Pole siłowe zdejmuję za trzydzieści minut. To znaczy, że mogę ściągać statki.

Zamigotały jakieś lampki. Dyspozytor odbierał sygnały, nie włączając fonii.

— Powiedz, że odstawię mu jego gwiazdora za jakiś kwadrans. Ale osobiście dałbym dzisiaj chłopcu spokój. Miał dość wrażeń.

— Nic mi nie jest — naburmuszył się Darek, zrozumiawszy, o co chodzi.

— Psst, nie przeszkadzaj! — uciszył go Adam.

— Dobra, dziękuję — zakończył Abart. Bez słowa wyjaśnienia zajął się przyciskami na swoim pulpicie. Wreszcie wyprostował się, odetchnął i odwrócił do nich.

— Jeśli naprawdę tak bardzo chcecie mnie zostawić samego, możecie przejść do służby. Za cztery minuty podstawię wam raketę. Nerpa już wie. Szczęśliwej drogi — zakończył odprowadzając wzrokiem dwie sylwetki w skafandrach, które zniknęły już w drzwiach prowadzących na korytarz.

Rakieta była większa i wygodniejsza od "Smy-ka". Aparatura działała bez zarzutu. Nerpa powitał ich w połowie drogi, ale powiedział zaledwie kilka słów. Wiedział już, że Darek zdał celująco swój przedziwny egzamin z nawigacji. Uznanie wyraził krótkim: „gratuluję”. W jego głosie wyraźnie czuło się zatroskanie. Nic dziwnego. Stewa z pewnością nie omieszkał go już poinformować o porwanym statku, który teraz buszował gdzieś w pobliżu z wyłączonym radiem. A także o innych sprawach...

Chłopiec w czasie podróży nie odezwał się ani razu. Miasto wśród planetoid, świat małych plane-tek, ich osobliwości, drogi i nazwy — wszystko to natychmiast wywietrzało mu z głowy. Teraz nie musi już zajmować się "czymś innym", jak tego przedtem chciał Adam.

Co zrobi? Przede wszystkim odszuka Bo. Następnie porozmawia z tym oficerem Służby Ochrony Zdrowia, Stewą. Wreszcie pójdzie kręcić zaplanowane na dzisiaj sceny. Różne nieboszczyki, porywacze raket, obiektywy fantomatyczne i związane z nimi zagadki przestaną dla niego istnieć. Niech się tym martwią inni. On sam zrobi wszystko, żeby jak najprędzej skończyli ten film. Pomyślał o maleńkiej, tkwiącej w skałach bazie na Ganimedzie i nagle stanęła mu przed oczami twarz matki, tak żywa i bliska, że aż zaciał zęby. Dałby nie wiem co, żeby to już był koniec i żeby znowu mógł usłyszeć jej głos, przytulić się do niej.

— Pole startowe zamknięte — rozległo się w słuchawkach. — Lądowanie zakończone.

— Idź teraz prosto do naszej kabiny — powiedział Adam — i nie wychodź, dopóki po ciebie nie przyjdę. Chłopiec pokręcił głową.

— Muszę znaleźć Bo.

Atelier było puste. Kamery i projektory wyświetlające dekoracje przeniesiono w inne miejsce. Stanęli w drzwiach, które wychodziły na korytarz prowadzący do kabin.

— Nie teraz — rzucił zdecydowanie Adam. — Postaram się wrócić jak najprędzej. Ale do

tego czasu musisz siedzieć w kabinie.

— Czy nie rozumiesz, że ja muszę... — zaczął z wyrzutem chłopiec, ale Adam nie pozwolił mu skończyć.

— Teraz musisz zrobić to, co mówię — uciał. — Mogę cię zapewnić, że rozumiem i wrócę najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. Wystarczy?

Chłopiec bez słowa ruszył w głąb korytarza. Adam chwilę jeszcze stał bez ruchu, odprowadzając go pełnym napięcia wzrokiem, po czym odwrócił się i zniknął wewnątrz sali. Darek słyszał jego oddalające się kroki.

Szedł coraz wolniej... Stewa jest tutaj od pół godziny. Co zdążył zrobić? Chyba jeszcze niewiele. Lwizwis upewniał się u Abarta, czy Darek zdąży na popołudniowe serie zdjęć. A może to nie Lwizwis? Może w kabinie, do której Darek idzie, ktoś już na niego czeka? Ktoś, kto zrozumiał, że Darek wie odrobinę za dużo...

Zaraz. Co on właściwie wie? Trup, który okazał się niesumiennym mechanikiem, do tego zupełnie żywym, machinacje Gratha w tej mysiej dziurze na końcu stacji, przestrach Bo... I na tym koniec. Wszystko inne to tylko niejasne podejrzenia związane z zaginięciem obiektywów i z opowieścią Adama o fantomatyce. Porwanie „Smyka” mogło, ale nie musiało wiązać się z tym, co zaszło tutaj, na stacji. Nie, na razie przynajmniej może zupełnie bezpiecznie iść do swojej kabiny i czekać tam na Adama.

Pomyślawszy to, chłopiec zatrzymał się nagle. Gdyby tak teraz przypadkiem spotkać Bo...

Tuż za nim ktoś nagle cicho zakaszłał. Darek odwrócił się jak na sprężynie i ujrzał... zaróżowioną z pośpiechu, pewnie z pośpiechu, bo z ja-kiegożby innego powodu, ciemną twarzyczkę z dwoma okrągłymi dołeczkami. Czarna grzywka spadała na czoło dziewczyny pojedynczymi kosmykami, które w tej przynajmniej chwili przypominały rozcapierzone pędzelki do malowania.

— Czekasz na kogoś? — spytała Anna i zazezo-wała w stronę drzwi prowadzących do najbliższej kabiny.

Chłopiec, tak był przejęty swoimi sprawami, że nie zrozumiał znaczenia tego zeza. Przebiegło mu natomiast przez głowę, że ona coś wie o nim i o Bo. Myśl była zgoła niedorzeczna. Takich myśli należy się natychmiast pozbywać. Powtórzył machinalnie pytanie Anny:

— Czy ja na kogoś czekam?...

— Nie chciałabym przeszkadzać — zauważyła szczególnym tonem dziewczyna.

— Przeszkadzać?...

— Przepraszam, czy szanowny gwiazdor dobrze się czuje? — zatroszczyła się słodko latorośl pierwszego dyspozytora. — Podobno miałeś dzisiaj jakieś przejścia, a my za nic nie chcielibyśmy dopuścić do tego, żeby pobyt w naszej skromnej stacji odbił się niekorzystnie na serialu, na który tak niecierpliwie czekają miliony wielbicieli waszego talentu, nie wyłączając niżej podpisanej.

Tu nastąpiła kopia dworskiego dygu podpatzonego u Soni. Pech chciał, że dokładnie w tym samym momencie owe drzwi, które wzbudziły takie zainteresowanie Anny, stanęły otworem i ukazała się w nich złotowłosa osóbką w całej swej oka-załości.

Zobaczywszy Annę i Darka znieruchomiała na chwilę, po czym jej piękne rączki złożyły się wdzięcznie, jakby do oklasków.

— Proszę, proszę — zaszczębiotała, uśmiechając się jak kot do myszy — widzę, że będę miała dublerkę. Nie wiedziałam, że stoicie przed moimi drzwiami... A może to twój stryj przysłał cię do nas? — zagadnęła od niechcienia, nie patrząc na Darka, którego twarz z wolna zaczynała odzyskiwać normalną barwę. — Skoro tak, powinienes go uspokoić. Barbara jest tutaj. Odpoczywa.

Co powiedziawszy, zawróciła z gracją łabędzicy na jeziorze i odpłynęła. Niedaleko zresztą. Po kilku krokach zatrzymała się i rzuciła przez ramię:

— Przepraszam. Nie chciałabym przeszkadzać... I odpłynęła już na dobre, znikając w atelier. Darek odprowadził ją niezbyt przytomnym wzrokiem, a następnie zainteresował się drzwiami, które sobie wybrał, by przy nich podumać. Oczywiście, należały do kabiny pań Lewis! Teraz zrozumiał, skąd wzięły się te „delikatne” napomknienia Anny.

— Nie Wiedziałem... — zaczął głucho i na tym poprzestał.

Z dziewczyną najwyraźniej działo się coś dziwnego. Jej wargi i policzki drgały, jakby ktoś łaskotał je delikatną trawką. Chłopiec zapatrzył się w te osobliwe przejawy życia pozbawione logicznego związku z sytuacją, by nagle, zapominając o wszystkich kłopotach, wybuchnął beztróskim śmiechem. Anna zawtórowała mu natychmiast.

Dobłą chwilę korytarz rozbrzmiewał dźwiękami przypominającymi zachryple i rozpędzone do obłędu dzwonki. Nagle Darek ucichł i wykonał coś, co w jego mniemaniu wybornie naśladowało zgrabny dziewczęcy dyg, a co w rzeczywistości było bardzo podobne do potknięcia się starego strusia na wyslizganym lodzie.

— Przepraszam — wyjąkał wymachując ramionami, aby złapać równowagę — czy nie przeszkadzam?

Oszalałe dzwonki podjęły swoją muzykę i ciągnęły ją tym razem bez porównania dłużej.

— Wiesz — wykrztusiła wreszcie Anna — ty jesteś...

Nie dokończyła, bo zabrakło jej tchu. A może nie tylko dlatego? Zagryzła wargi. Zupełnie, jakby odżegnywała się od natrętnej myśli, której o mało co nie wypowiedziała na głos.

Darek także umilkł. Przyjrzał się czarnej, zmierzwionej grzywce, dużym i lekko skośnym oczom, dołeczkom.

„Ty jesteś...” — i nic.

Odetchnął głęboko i spowaźniał w jednej chwili.

— Co tutaj robisz? — spytał.

Anna spuściła głowę dziwnie zmieszana.

— Mieszkam niedaleko. Za zakrętem... — ruchem ręki wskazała kierunek.

Tam poszła Sonia, taro znajdowało się wejście do sali, w której wczoraj rano Darek zawarł znajomość ze swoją partnerką. Do tego miejsca chłopiec znał już każdy centymetr drogi. Ale przecież korytarz biegł dalej i tam dalej także mieszkali ludzie. Wszystkie kabiny znajdowały się na tym jednym poziomie. Stacja była przecież naprawdę mała.

Chłopiec ponownie westchnął.

— Muszę iść teraz do siebie — powiedział stanowczo, choć nie bez żalu.

— Mnie nie przeszkadzasz — usta dziewczyny drgnęły.

Widać było, że czeka tylko na najdrobniejszą zachętę z jego strony, żeby znowu parsknąć śmiechem. Ale Darek tym razem nie podjął wyzwania.

— Gdzie Marek? — spytał. Wzruszyła ramionami.

— Pewnie u ojca — mruknęła. — Albo właśnie przewraca oczami z zachwytem, jeśli udało mu się spotkać tę twoją gwiazdę. Och, przepraszam! — dodała szybko, jednak bez widocznych oznak skruchy. — Na twoim miejscu byłabym zazdrosna.

Chłopiec mógł jej szczerze powiedzieć, że jeśli już miałby być o kogoś zazdrosny, to... Zaraz, zaraz — zazdrość? Co za bzdury! Złotowłosa jest olśniewająca, nie da się ukryć. Gra jak w natchnieniu. Z pewnością czeka ją wspaniała kariera. Ale...

Jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza i powtórzył z naciskiem:

— Muszę iść do siebie. I... — zawahał się przez moment — bardzo bym cię prosił, żebyś także poszła teraz do swojej kabiny, a jeszcze lepiej do ojca.

Twarz dziewczyny w jednej chwili zmieniła wyraz.

— Dlaczego? Co to ma znaczyć?

— Ja cię tylko proszę... — wybąkał Darek. Anna cofnęła się. Zmrużyła oczy.

— Może naprawdę masz jakąś sprawę do tej ciotki? — syknęła. — Albo sam chcesz pobiec za Sonią? Jeśli myślisz, że musisz się mną krępować...

Chłopiec poczuł suchość w ustach. Odchrząknął i powiedział błagalnym tonem:

— Sprawa jest poważna. Na stacji coś się dzieje... Coś, co ma chyba związek z porwaniem "Smyka". Wiesz przecież... I nie chciałbym... nie chciałbym... — zająknął się. — Krótko mówiąc umówiłem się z Adamem, że będę na niego czekał w kabinie — wykrztusił w końcu.

— To idź i czekaj! — parsknęła Anna. — Czy Adam powiedział ci może, żebyś odsyłał do domu każdego, kogo spotkasz? Czy też tylko mnie spotkał ten zaszczyc?

— Nie rozumiesz — Darek stracił w końcu cierpliwość — że tu chodzi o poważne sprawy? Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Właśnie dlatego proszę — podkreślił to słowo — żebyś poszła do siebie albo do pana Nerpy.

— A ja proszę — wycodziła dziewczyna — żeby na mojej stacji nikt mi nie dyktował, co mam robić, i żeby nikt nie dzielił się ze mną swoim własnym strachem. Jasne?

W chłopcu zakipiła. W pasji zrobił coś, czego zapewne nie zrobiłby nigdy, gdyby udało mu się choć przez chwilę pomyśleć.

— Tak uważasz? — powiedział przez zęby. — W takim razie chodź ze mną. Pokażę ci to, czego na tej twojej stacji z pewnością nie widziałas jeszcze nigdy. I... zaraz zobaczymy, kto z kim będzie się dzielił swoim strachem!

To powiedziawszy zrobił w tył zwrot i ruszył ostrym krokiem w mroczną perspektywę korytarza. Kiedy mijał drzwi swojej kabiny, zaświtało mu, że nie tylko postępuje niezbyt mądrze, ale że w dodatku robi świństwo Adamowi. Temu samemu Adamowi, który wobec niego był zawsze lojalny.

Mógł się jeszcze cofnąć. Czuł, że powinien się cofnąć. Cóż, kiedy w uszach dzwięczały mu jeszcze jego własne słowa. "Zobaczymy..." Jeśli teraz stanie, odwróci się i powie z rozbijającym uśmiechem: „przepraszam, żartowałem”, to co ona o nim pomyśli? Co on sam pomyślałby na jej miejscu?

Minął więc drzwi swojej kabiny, nie spojrzawszy nawet w ich stronę. Nie. Jeśli się teraz cofnie, nigdy nie potrafi jej udowodnić, że nie powoduje nim strach, ani też, że nie zadziera nosa.

Szedł prędko. Nie oglądał się, słyszał jednak, że dziewczyna następuje mu na pięty. Bez namysłu wkroczył do owego pamiętnego przedsionka przy końcu korytarza. Część mieszkalna stacji pozostała za nimi. Otoczył ich mrok.

— Tam już nic nie ma — odezwał się zdyszany głosik.

— Tss! — syknął.

Położył palec na wargach i wskazał drzwi do komórki, w której wtedy urzędował Grath.

Teraz te drzwi również były uchylone. I podobnie jak wczoraj, kiedy chłopiec po raz pierwszy zawędrował w to miejsce, przez szparę padała na podłogę smuga światła. Ale wewnątrz panowała cisza.

Darek zaczął się skradać na palcach. Bardzo ostrożnie podszedł do szpary i przytknął do niej oko.

W polu widzenia chłopca ukazał się fotel, w którym wczoraj siedział trup, oraz spoczywający na poduszce tego fotela wielki, splątany motek cienkich drucików.

Darek wyprostował się i dwoma palcami dotknął delikatnie drzwi, powiększając szparę. W środku nie było nikogo.

Chłopiec odetchnął z ulgą. Otworzył drzwi na całą szerokość i śmiało wszedł do małej komórki zwężającej się w głębi na kształt przypląszonego lejka.

— No, chodź — zaprosił dziewczynę. Natychmiast znalazła się obok niego.

— Po co mnie tu przyprowadziłeś? — spytała rozglądając się podejrzliwie. — Tutaj nic nie ma... — jej wzrok padł na fotel i umilkła.

— Byłaś tu kiedyś?

Anna potrząsnęła przecząco głową.

— Ano właśnie — szepnął Darek. — Jak myślisz, kto tu może przychodzić? Spojrzała niepewnie, ale wzruszyła ramionami.

— Nikt. Bo i po co? Darek wskazał na małe, mleczone lampki wmontowane w sufit.

— Więc kto w takim razie zapalił tutaj światło? A ten fotel?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrzyła się w kłębek drucików i jej oczy powoli stawały się coraz większe. Gdyby jeszcze wiedziała, że te druciki opasywały wczoraj głowę nieboszczyka Achillesa Mykeskesa, który następnie nagle ożył...

— Co to właściwie jest? — spytała zdławionym głosem.

— Jeszcze nie wiem — mruknął chłopiec.

Nadrabiał miną, ale czuł się coraz bardziej nie-swojo. Dokoła panowała zupełna, martwa cisza. W takiej ciszy wszystko może się zdarzyć. I po jakie licha właściwie przyprowadził tutaj tę dziewczynę?! W razie czego...

Spokojnie. Nie dajmy się zwariować. Co to znaczy: w razie czego? Czego, na przykład?

W pewnej odległości od fotela ktoś ustawił cztery statywy. Wyglądały jak najzwyklejsze

stojaki pod małe kamery filmowe, ale kamer na nich nie było. Pod ścianą znajdował się jakiś wielki, szary pojemnik z dwoma szerokimi uchwytami, wyraźnie przystosowany do noszenia wielkich ciężarów. Ale ciężarami zajmują się przecież automaty, nie ludzie! W głębi, tam gdzie sufit zaczynał się gwałtownie zniżać, widniała niewielka wnęka.

Darek przypomniał sobie nagle o Adamie i przy szła mu chęć, by wymierzyć samemu sobie tęgiego kopniaka.

— Teraz powinniśmy stąd pójść — powiedział cicho. — Jeśli ci jeszcze mało, mogę dodać, że tutaj — wskazał ręką fotel — siedział wczoraj trup. A koło niego kręcił się ktoś z antypatyczną gębą. No, chodźmy.

Anna zzieleniała. Jej oczy wykonały obłąkany taniec, po czym zniknęły za długimi rzęsami.

— Trup? — wykrztusiła. — Czy ty... czy myślisz, że uwierzę?

— Jeżeli uważasz to za temat do żartów — szepnął z przekąsem chłopiec — mogę cię zapewnić, że ja osobiście jestem innego zdania. Csss!... — odruchowo chwycił dziewczynę za ramię i zacisnął na nim palce.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków. Ktoś widać bardzo cicho nadszedł, a teraz był już całkiem blisko. Chłopiec wpatrzył się nieprzytomnie w otwarte drzwi. Kogo w nich zobaczy? Adama? Bo? Tego... Stewę? A może...

To "może" sprawiło, że Darek odzyskał energię. Rozejrzał się błyskawicznie po ciasnym wnętrzu przemienionym tak nagle w pułapkę bez wyjścia. Jego wzrok powędrował ku owej maleńkiej wnęcie w lejkowatym zwężeniu komórki. Bez chwili wahania pociągnął w tamtą stronę Annę. Zaskoczona — stawiała mu bezwiednie opór, ale nie zważał na to. Upchał ją, jak mógł najgłębiej, w pomieszczeniu, w którym od biedy mogłaby się zmieścić para niezbyt wyrosniętych królików. Sam — poskładany w scyzoryk — ulokował się przed nią. Na dłuższą metę było to bardzo niepewne ukrycie. Ale w pierwszej chwili ktoś wchodzący z przed-sionka mógł ich nie zauważyć. Zwłaszcza że nisza miała coś w rodzaju listwy, jakby pozostałość po framudze drzwi, które kiedyś mogły się tu znajdować.

Kroki zatrzymały się przed wejściem. — No, chodź, chodź — powiedział ochryply męski głos.

Chłopiec poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Znał ten głos aż nazbyt dobrze. I z pewnością nie należał on do żadnej z osób, które Darek powitałby teraz z ulgą, jeśli już nie z radością.

W drzwiach ukazała się chuda sylwetka. Człowiek ten miał bardzo bladą twarz i sprawiał wrażenie załężnionego. A przecież miejsce, w którym się znalazł, nie było mu obce. Tylko że wtedy, kiedy Darek widział go tutaj po raz pierwszy, ten mężczyzna po prostu nie żył.

— Naprawdę bardzo cię pro-oo-szę... — przemówił zgaszonym głosem wczorajszy nieboszczyk, Achilles Mykeskes.

Ostatnie słowo wymówił tak dziwnie, ponieważ ktoś, kto stał za nim, w tym właśnie momencie popchnął go mocno do przodu. Mechanik potknął się, poleciał w stronę Totela. Głowa zachwiała mu się przy tym śmiesznie, ale ani Darka, ani Anny, tłumiących oddech w swojej króliczej dziurze, jakoś ten widok nie rozbawił.

— Tylko bez kawałów! - powiedział drugi głos, ten, który sprawił przed chwilą, że włosy chłopca ożyły i stanęły dęba.

Z mroku korytarza wychynęła sylwetka Joego Gratha. Jego twarz poruszała się ustawicznie, jakby żuł gumę i bał się, że mu ją ktoś odbierze. Rudawe włosy miał potargane,

Zamknął za sobą drzwi i szybko podszedł do leżącego pod ścianą pojemnika. Pochylił się, podniósł wieko i zaczął wyciągać ze środka jakieś przedmioty. Pierwszy z nich był podłużny, walcowaty, zaopatrzone w metalowe wąsy. Joe wziął go ostrożnie i przeniósł na fotel. Następnie wrócił do pojemnika po drugi, identyczny instrument, tak samo jak pierwszy wysuwający druciane czułki i, tak jak tamten, pomalowany na jaskrawoczerwony kolor. Potem uważnie, ale szybko umieścił obydwa przedmioty na statywach. Ustawił je tak, żeby te jakieś wąsy obu cylindrów celowały w fotel.

— Siadaj — rzucił.

Zdjął z poduszki fotela utkany z cieniutkich przewodów kask i, przytrzymując go oburącz, patrzył wyczekująco na swoją ofiarę.

— Joe... ja nie chcę — wybąkał Mykeskes spuszczaając głowę.

— Siadaj — powtórzył gorączkowo operator. — Siadaj, bo... — w jego głosie zabrzmiała groźba.

Mechanik wydał głuchy jęk. — Dlaczego mi to robisz — poskarżył się cicho. — Zacząłem z tobą, żeby oderwać się od tego pustego dla mnie świata, a teraz kiedy mógłbym stanąć na nogi, ty...

— Nie bądź babą! — warknął Grath. — Po tym, co zaszło wczoraj, i tak cię stąd wyrzucą. Ale na Ziemi będziesz mógł żyć jak człowiek. Chyba że im powiem, dlaczego zszedłeś z posterunku. Wówczas nic ci nie pomoże, powędrujesz do lecznicy na ładnych kilka lat. Dopóki nie nabiorą pewności, że zapomniałeś o fantomatyce. Siadaj.

— Straciłem całą rodzinę — ciągnął załamany głosem Mykeskes, jakby nie słyszał, że Grath coś mówi — zostałem sam, dlatego szukałem zapomnienia. Ale to nie jest zapomnienie, tylko ucieczka. Nie chcę już dłużej uciekać... Nie chcę, Joe...

Grath postąpił krok w jego stronę.

— Ale ja chcę skończyć film! — rzucił. — Mając to, co wymyślił ten dureń, Ytterby, mogę stać się twórcą, jakiego jeszcze nie było! Kto będzie wiedział, że dzięki wynalazkowi podrzędnego kamerzysty sfilmowałem to, co ty widziałeś, nie, co przeżywałeś w fantomatycznym śnie?! Ja im tego nie powiem, a on także nie, możesz być pewny!

Zarechotał wstrętnie, mrużąc oczy i spoglądając na Mykeskesa z pogardliwą ironią.

— Człowieku! — zmienił nagle ton. — Tobie jeden seans mniej czy więcej nie zrobi żadnej różnicy, a ja...

Urwał. W oczach zapaliły mu się ognie, jakby już widział te miliony wiwatujące na jego cześć.

Anna i Darek wysłuchali tego wszystkiego z zapartym tchem. Początkowo chłopiec był zbyt oszołomiony sytuacją, w której się znalazł i w którą — co gorsza — wpakował swoją towarzyszkę, żeby zastanawiać się nad tym, o czym tamci mówią. Za-frapował go dopiero ton głosu Mykeskesa. A potem nazwisko rzucone przez Gratha: Ytterby. Po chwili łowił już tak skrętnie każde słówko operatora, że zapomniał nie tylko o niebezpieczeństwie, ale i o całym świecie. Zaczynał stopniowo rozumieć, co miał na myśli Adam, mówiąc o groźbie fantomatyki. Tylko że Adam nie wiedział o tym wynalazku Bo. Fantomatyka swoją drogą. Jak to powiedział ten nieszczęsny mechanik? Ucieczka... Ale żeby z takiej ucieczki ktoś inny robił filmy? Żeby "podglądał", co uśpiony uciekinier widzi, przeżywa?... Nie, o tym nawet Adam nie miał bladego pojęcia...

Z tego, co mówił Grath, wynikało, że Bo Ytterby nie bierze w tym udziału. On tylko skonstruował przyrząd, który umożliwia oglądanie tego, co dzieje się w mózgu człowieka poddanego działaniu fantomatycznych obiektów. I nie tylko oglądanie, ale i zapisywanie na taśmie. Dlaczego ukrył ten wynalazek, skoro nie chciał z niego korzystać, tak jak to robi Grath? Dlaczego pozwolił Grathowi w podobnie haniebnym sposobie nadużywać swojego odkrycia? A może on o tym nie wie, może się tylko czegoś domyśla?

Operator ocknął się z marzeń i wrócił do swoich ponurych zajęć.

— Siadaj w tej chwili! — warknął znowu, robiąc wymowny gest pod adresem Mykeskesa.

Ten bezwolnie, jak automat, podszedł do fotela. Opał ciężko na poduszkę i bez oporu pozwolił sobie założyć na głowę pajęczą kask.

— No, widzisz — w głosie Gratha zabrzmiało zadowolenie — jakie to proste. Jeszcze pół godziny i będzie po wszystkim. Ostatnie zdjęcia! Stanę się sławny. Ja, Joe Grath... Swoją drogą ten pocziwy Patka wiedział, kiedy zachorować. Gdyby tu był, nigdy bym... No, dość! — przerwał i szybko podbiegł z powrotem do pojemnika.

Tym razem oczom chłopca ukazał się przedmiot większy i niewątpliwie cięższy niż owe wąsate walce. Świadczył o tym wysiłek, z jakim Grath niósł go, a następnie umieszczał na ostatnim wolnym statywie. Przypominał nieco zwykłą kamerę holowizyjną, ale nią nie był. Wybiegały z niego cienkie, kolorowe przewody, takie same mniej więcej jak druciki oplatające obecnie głowę Mykeskesa. Umieściwszy przyrząd na trójnogu, Grath zaczął teraz pośpiesznie spinać ze sobą końce drucików. Po chwili siedzący w fotelu mechanik był już połączony z aparatem grubym warkoczem przewodów.

— Teraz do komputera — zamruczał Grath, znów pochylając się nad pojemnikiem — tak...

Raptownie odwrócił głowę i potoczył dokoła rozognionym wzrokiem.

Darek cofnął się odruchowo, wgniatając dziewczynę jeszcze trochę głębiej w ścianę. Było to niemałe osiągnięcie, zważywszy, że Anna i tak upodobniła się już do jakiejś nieokreślonych kształtów figury, jeśliby szukać przykładów w geometrii. Figury są bowiem, co ogólnie wiadomo, całkowicie pozbawione takiej — niezbędnej żywym istotom — cechy jak grubość.

Na szczęście Grath nie zainteresował się niszą. Odwrócił się i włączył ukrytą w pojemniku aparaturę, która zaczęła cicho brzęczeć. Następnie szybko wrócił do statywów. Twarz człowieka siedzącego w fotelu powoli stawała się coraz bardziej martwa. Zamknął oczy.

Darek nie miał wątpliwości, że nie minie więcej niż pięć sekund, a Mykeskes będzie wyglądał dokładnie tak samo, jak wczoraj, przed swoim „zmarłychwstaniem” w czasie alarmu.

— A teraz jazda! — zawołał cicho operator, sięgając do urządzenia umieszczonego na środkowym statywie. — Wesołej podróży do cudownego świata! Miłych wrażeń! — zaśmiał się złowrogo.

Nagle umilkł, uniósł głowę i zaczął pilnie słuchać. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości i strachu.

Teraz Darek usłyszał także. Ktoś szedł korytarzem. Kroki brzmiały pewnie i głośno. Ten ktoś dobrze wiedział, dokąd idzie i czego chce.

Grath zaklął. W ułamku sekundy jego dłoń powędrowała do pasa. Ukazał się w niej mały, czarny przedmiot.

Miotacz! Grath ma miotacz! Darek wysunął odrobinę głowę. Postanowił, że jeśli Grath będzie chciał strzelać, to on...

Przecież to mógł być Adam. Albo ten oficer, Stewa. Mogli go szukać...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do komórki wpadł — Bo Ytterby. Stał, spojrzął na wycelowany w siebie miotacz i uśmiechnął się pogardliwie.

— Będziesz strzelał? — spytał niemal normalnym głosem. — Nie krępuj się. Trup. Prawdziwy trup. Tylko tego ci jeszcze brakuje.

Lufa miotacza opuściła się kilka centymetrów.

— Jakie lichy cię tu przyniosło?! — warknął przez zęby Grath. — Nie mam teraz czasu na po-gaduszki. Za pół godziny — zerknął przelotnie na zegarek — musimy być przy kamerach. Lwizwis ani nikt inny nie mogą się zorientować, że oprócz tego zakichanego filmu mamy tu jeszcze własną małą robótkę.

— Ty, masz — poprawił Bo z naciskiem. — Nie my, tylko ty. Mnie ta robótka wcale się nie podoba. Ten biedak — wskazał głową nieruchomą postać w fotelu — dość już zapłacił za tę chwilę słabości, kiedy przyszedł do ciebie, jeszcze na Ziemi. Zostaw go w spokoju.

— Zamknij się! — syknął z wściekłością Grath. — Teraz nie jestem już zwykłym szmuglerem fantomatyki, który organizuje po cichu seanse dla kilku mających tu i ówdzie coś do powiedzenia facetów, żeby znaleźć drogę do wytwórni filmowej. Odmówili mi patentu pierwszego operatora! Mnie!

— Oblałeś egzamin! — zauważył spokojnie Bo.

— Ich egzamin! Cała ta szacowna komisja z takimi starymi mopsami jak Lwizwis!... Ale teraz przyszły moje dni! Teraz się okaże, kto jest prawdziwym twórcą! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki to będzie film?!

— Dzięki mojemu wynalazkowi - westchnął po-nuro Bo. — Gdybym mógł przewidzieć, co z nim zrobisz... Gdybym tylko mógł przewidzieć!

— Ale nie przewidziałeś! — parsknął Grath. — Co nie zmienia faktu, że sam udostępniłeś mi tę aparaturę. Pamiętaj o tym!

— Nie wiedziałem, kim jesteś — powiedział Bo głucho.

— Teraz już wiesz! — Joe zarechotał. — A twój wynalazek — dodał ze złośliwym błyskiem w oczach — nie został zgłoszony w urzędzie ochrony, jak tego wymagają przepisy. Spróbuj tylko pisnąć, a wylądujesz w zamkniętym pokoiku...

— ...razem z tobą — gładko podchwycił Bo. Grath zachnął się.

— Ale ja przynajmniej będę miał mój film. A ty? Ty po prostu sprzedałeś mi swój wynalazek. Nic cię nie obchodziło, co z nim zrobię.

— Łgarstwo!

— Spróbuj to udowodnić! Spróbuj też udowodnić, że nie przeprowadzałeś razem ze mną tych eksperymentów! — parsknął Grath. — A teraz zjeżdżaj. No, już! — Lufa miotacza ponownie wycelowała w pierś kamerzysty. Bo nabrał powietrza, a następnie wypuścił je ze świstem.

— Proszę cię, Joe... — wyszeptał.

— Jeszcze tu jesteś?!

Nie dowiemy się nigdy, jak Bo Ytterby zareagowałyby na to ostatnie "pytanie". Czy nadal usiłowałyby wskórać coś prośbą, czy wyniosłyby się, jak tego żądał Grath, czy też spróbowałyby odebrać mu broń. Jeszcze bowiem nie przebrzmiał chrapliwy głos operatora, jeszcze Bo nie zdążył nawet zajrzeć w czarny otwór miotacza, gdy stało się to, co na dobrą sprawę powinno się stać już ładnych kilka minut temu. Darek — całym wysiłkiem wgnia-tający dziewczynę w ścianę niszy — poczuł mianowicie, że napór na jego plecy staje się nagle nie do przewyciężenia. Domyślił się, że Anna, ściśnięta niczym śledź na samym dole beczki, nie mogła już dłużej wytrzymać i postanowiła choćby nieznacznie zmienić pozycję ciała. Biedaczka nie wzięła pod uwagę, że każda tego rodzaju próba musi się skończyć katastrofą.

To nawet nie był jeszcze ruch. Wystarczyło, że głębiej odetchnęła, wypychając sobą chłopca odrobinę do przodu. Darek nie mógł wysunąć nogi, żeby się na niej oprzeć. Powoli, ale nieubłaganie zaczął tracić równowagę. Chwilę jeszcze balansował rozpaczliwie... a potem rymnął jak długi na podłogę, uderzając wyciągniętym ramieniem w podstawę najbliższego statywu! Łoskot, jaki przy tym po-wstał, można by porównać chyba tylko do czołowego zderzenia dwóch staroświeckich parowozów.

— Co, u licha?! — wrzasnął Grath.

Miotacz w jego dłoni błyskawicznie zmienił położenie, kierując się w stronę rozciągniętej na podłodze postaci.

— Darek! — krzyknął przeraźliwie Bo,

— Darek! — zawtórował mu cienki głosik Anny. Grath zaklął szpetnie.

— Co to znaczy?! — szczechnął z pasją. — Śledziliście mnie? Mnie?! Smarkacze! Ja wam...

— Zostaw dzieci, Grath — powiedział chłodnym, opanowanym tonem Bo Ytterby. Ktoś, kto by wszedł do komórki akurat w tym momencie, nie uwierzyłby nigdy, że ten człowiek przed chwilą krzyczą?

— Wstawaj! — Joe zlekceważył interwencję kamerzysty i zamachnął się, jakby chciał kopnąć chłopca.

— Jeśli go tkniesz — powiedział takim samym jak przedtem tonem Bo — daję ci słowo, że nie skończysz swojego filmu.

Grath zwrócił się z furią w jego stronę. Ręka, w której trzymał miotacz, zatoczyła półkole.

— Mruknij jeszcze tylko — wychrypiął -a strzelę. Myślisz, że nie?!

Ytterby umilkł. Grath nie dotknął jednak chłopca. Jednak nie. Wkroczenie Bo mimo wszystko okazało się skuteczne. Może Joe wyczytał w tym jego chłodnym głosie, że jeśli się nie opanuje, to naprawdę nigdy nie zrobi swojego wielkiego filmu.

Darek pozbierał się z trudem i stanął tak, żeby zasłonić sobą Annę.

— Co tu robicie?! — huknął na niego Grath. — Gadaj!

Chłopiec nie odpowiedział. Nie odpowiedziałyby nawet wtedy, gdyby był zdolny do wydania głosu. Co robią? A cóż to ma za znaczenie, po co tu przyszli? Skoro tak czy owak byli tutaj i skoro Grath wie, że musieli słyszeć każde słowo, które wypowiedział on sam, a także Mykeskes i Bo.

W tym momencie ściany komórki zajęczały cichutko. Drzwi zadrżały jak napięta struna. Gdzieś w głębi stacji obudził się wysoki, zawodzący głos. Przeniknął przez wszystkie przeszkody i wdarł się wreszcie tam, gdzie nie było już głośników, ponieważ żaden z mieszkających w stacji ludzi nie miał tam nic do szukania.

— Alarm! — krzyknął Bo.

Grath zaklął.

— Musimy iść! — zawołał kamerzystą. W jego głosie brzmiała nie ukrywana ulga. Chyba po raz pierwszy, od kiedy człowiek zaczął zasiedlać kosmos, dźwięk syreny alarmowej

wzbudził w kimś takie uczucie.

— Nie ruszać się! — rzucił Grath. — Jeśli któryś z was zrobi choć krok w stronę drzwi, będzie to ostatni krok w jego życiu. Nie żartuję.

Wyraz twarzy operatora świadczył wymownie, że tym razem nie zawaha się przed spełnieniem swojej groźby. Ytterby posłał Annie i Darkowi ostrzegawcze spojrzenie, którego zresztą nawet nie zauważyli. Ani im w głowie było ruszać się z miejsca. Stali jak sparaliżowani, obserwując gorączkową krzątaninę Gratha.

Rudawe włosy mężczyzny, który zapragnął zdobyć sławę jako twórca niezwykłych filmów, latały to na jedną, to na drugą stronę jego podłużnej czaszki. Joe miotał się po kabinie, cały czas klnąc pod nosem. Zerwał z głowy Mykeskesa pajęczny kask, rozłączył przewody spinające go z tym ciężkim, podobnym do kamery aparatem, gwałtownie potrząsnął bezwładnym ciałem mechanika. Nieszczęsny delikwent leniwie zamrugał powiekami. Grath był już przy pojemniku. Wrzucił do niego kask i umieścił w nim z powrotem oba feralne obiektywy.

— Jeśli nie stawimy się zaraz w dyspozytorni — zauważył Bo — zaczną nas szukać. Tym razem nie będzie to tylko sprawa dyżurnego, który opuścił posterunek...

— Siedz cicho i nie przeszkadzaj — sarknął Grath. — Zdamy...

Nióśł w stronę pojemnika ów ciężki przyrząd. Darek domyślił się, że to właśnie ten przedmiot był wynalezioną przez Bo aparaturą do filmowania snów czy jak to nazwać. Nie, nie snów. Przecież ludzie poddawani działaniu obiektywów fantoma-tycznych widzieli i czuli tak, jakby wszystko działo się naprawdę. „Bo, Bo, coś ty wynalazł...”

Sygnał alarmu rozbrzmiewał w dalszym ciągu. Zarówno Joe, jak Anna i Darek, nie mówiąc już o Ytterbim, wiedzieli doskonale, że będzie tak buczeć aż do momentu, w którym komputer zawiadomi dyspozytora, że wszyscy mieszkańcy stacji zgromadzili się już w wielkiej półkolistej sali.

Grath zatrzaskał wieko pojemnika i złapał za jeden z uchwytów.

— Bierz z drugiej strony! — skinął gorączkowo na Bo. Ten zawahał się.

— Co chcesz z tym zrobić?

— Rób co mówię! — zasyczał Grath. — Pamiętaj, że ja teraz nie mam wiele do stracenia...

No! — ponaglił zerkając wymownie na swój miotacz,

Bo bez słowa podszedł i chwycił za drugie ucho pojemnika.

— W drogę! — rzucił operator. — Mykeskes, ty też! Darek odwrócił się i wziął Annę za rękę.

— Chodź — wychrypiał. Odchrząknął, przełknął ślinę i powtórzył: — Chodź...

— A wy dokąd?! — Grath spostrzegł kątem oka, że niepożądani świadkowie jego "pracy" filmowej idą też do wyjścia. - Siedzcie tu i ani mru-mru. Jasne?! — pogroził, chłopcu miotaczem. — Przyj-dziemy po was.

Szarpnął za uchwyt pojemnika. Ytterby, chcąc nie chcąc, przyśpieszył.

Kiedy trzech mężczyźni byli już za progiem, Grath nagle stanął, jakby sobie o czymś przypomniał. Puścił pojemnik i pędem podbiegł do Anny. Darek próbował ją zasłonić, ale operator pchnął go tak, że chłopiec poleciał pod ścianę.

— Komunikator! — warknął Joe wyciągając rękę.

Anna cofnęła się odruchowo, patrząc nieprzytomnie na ich prześladowcę. Zaraz jednak dotarło do niej, o co Grathowi chodzi. Trzeźwo oceniła sytuację. Bez ociągania sięgnęła do kieszeni i podała mu mały przedmiocik.

— No — burknął operator, chowając komunikator. — A teraz bez kawałów. Zaraz wrócimy.

Zatrzaskał za sobą drzwi i ubezpieczył je potężną zasuwą. Pułapka zamknęła się.

Przez chwilę słyszeli jeszcze kroki w korytarzu, ale oddaliły się szybko i umilkły. Tylko spoza ścian w dalszym ciągu zawodziła syrena obwieszczająca niebezpieczeństwo.

— Że też zapomniałam o komunikatorze... — powiedziała cicho Anna.

PORWANIE

W kabinach i na korytarzach błyskały pomarańczowe lampki. Ludzie wychodzili z wind i ustawiali się w milczeniu na pomoście, spoglądając wyczekująco w stronę białej postaci widniejącej wewnątrz kolistego pulpitu. Ogłoszono alarm pierwszego stopnia. Mieszkańcy stacji nie musieli pędzić z wywieszonymi językami po schodach. Windy były w ruchu. Skafandry nie obowiązywały. Pierwszy stopień. Czyli nie ma — przynajmniej na razie — poważnego zagrożenia.

Takt ale informację o charakterze alarmu przekazywał Nerpa przez głośniki. Usłyszeli ją wszyscy, którzy byli tam, gdzie powinni być, to znaczy w pomieszczeniach przeznaczonych dla ludzi. Automatów nie trzeba przecież powiadamiać, że nie muszą zabierać skafandrów i że wolno im korzystać z windy.

Anne i Darek nie wiedzieli nic. Słyszeli sygnał, który rozbrzmiewa tylko wówczas, gdy stanie się coś niespodziewanego. A w przestrzeni pozaziemskiej wszystko, co niespodziewane i nieznanne, oznacza: niebezpieczeństwo.

Tymczasem oni tkwili w komórce, szczelnie odgradzeni od tego małego świata, który ludzie przynieśli tu ze sobą z Ziemi. Jak długo już? Trzydzieści sekund? Godzinę?

W rzeczywistości upłynęło niespełna sześć minut, od kiedy zostali sami, a drzwi otworzyły się znowu. Ujrzeni rudawą głowę Gratha i jasną czuprynę Bo. Mykeskesa z nimi nie było. Anna odruchowo przytuliła się do chłopca.

— Nie... — Darek chciał powiedzieć: „nie bój się”, ale udało mu się wyjąkać tylko to „nie”.

Anna odsunęła się szybko. W jej przerażonych oczach błysnęło coś jakby zdumienie.

Chłopiec zacisnął zęby. „Żeby nie wiem -co — powziął w duchu desperackie postanowienie — przynajmniej ją muszę z tego wyciągnąć!”

— Wyłazić! — rzucił Grath, ponaglając ruchem ręki, żeby wychodzili na korytarz.

Nie czekali na powtórne zaproszenie. Darek przepuścił dziewczynę, kiedy jednak chciał sam przekroczyć próg komórki, na jego ramieniu zacisnęła się dłoń operatora. Druga dłoń, uzbrojona, skierowała się w stronę pleców Anny.

— A teraz zapamiętajcie sobie — wycedził Grath mierząc Darka nienawistnym spojrzeniem. — Idziemy do dyspozytorni. Ale nie próbujcie żadnych sztuczek. Będę cały czas przy was. A wy nie oddalajcie się ode mnie na krok, na jeden maleńki kroczek. Miotacz schowam, o, tak — wsadził płaski, groźny przedmiot do bocznej kieszeni — widzisz? Zgadnij, czego dotyka mój palec. Tak jest, spustu — przytaknął, chociaż Darek nawet nie mruknął. — Niech tylko któreś z was piśnie słówko albo zrobi coś, co mi się nie spodoba, strzelę. Nie znacie mnie jeszcze. Strzelę, i to w dziewczynę. Pamiętaj, smarkaczu. Jeśli chcesz, żeby ona wróciła żywa do tatusia... Zrozumiałeś?

Darek z wysiłkiem skinął głową. Mimo woli biegł oczami ku wypuczonej kieszeni Gratha. Lufa miotacza rysowała się wyraźnie pod grubym materiałem. I nie przestawała celować w Annę.

— No, jazda! — Joe popchnął chłopca tak, że ten się zatoczył i byłby upadł, gdyby w ostatniej chwili nie podtrzymał go Bo.

— Trzymaj się, Darek — szepnął kamerzysta. — On nie strzeli, jeśli będziemy milczeć. Nie może. Gdyby to zrobił...

— Zamknij się — Grath ponownie popchnął chłopca w plecy. — No, już! Nie możemy spóźnić się więcej niż o kilka minut. Szybciej, bo...

Puścili się biegiem. Darkowi zaświtała niejasna myśl, że Joe jest po prostu szalony. Wariat. Przecież tylko wariat może tak postępować. „Chociaż idziemy z nim teraz między ludzi —

zastanowił się — a i tak nic nie możemy zrobić. Nic..."

Grath wepchnął ich do windy. W czasie jazdy powiedział z nieprzyjemnym uśmiechem:

— Byliśmy wszyscy na polu startowym. Oglądaliśmy dekorację do scen, które będziemy kręcić zaraz po alarmie. Jasne?

— Mają podgląd — zauważył ponuro Bo.

— Dekoracji nie podglądają — odburknął z ironią Grath. — A po alarmie — wrócił do poprzedniego, grożącego tonu — naprawdę pójdziecie ze mną na pole startowe. Zrobimy zdjęcia do tego

idiotycznego serialu. Skończymy je, a potem zostaniecie ze mną jeszcze na pół godziny. I żeby mi żadne z was nie pomyślało o jakimś idiotycznym kawale. Nawet pracując, nie będę spuszczać palca z pistoletu. Pół godziny wystarczy mi aż nad-to, żeby skończyć mój film, a potem cześć, pa,

do widzenia! Ja sam porozmawiam z tym twoim dziennikarzem — spojrzał przenikliwie na Darka — i z twoją rodziną — zwrócił się do dziewczyny. — Zrobię tak, żeby zostawili nas samych. Tylko na trzydzieści minut! Później żegnajcie, ptaszki! Zanim wrócicie do nich, ja będę już w drodze na Ziemię. Z moim filmem. Z moim filmem, rozumiecie?! Wyląduję w jakimś rezerwacie, zmienię sobie twarz, a umiem to robić, i za rok zacznę znowu pracować w wytwórni filmowej. Chcielibyście pewnie wiedzieć, jak się będę nazywał? Nic z tego moi złoci! Poznacie mnie po tym, że będę największym i najśłynniejszym reżyserem świata!

„On naprawdę jest kopnięty” — utwierdził się w swych domysłach Darek. Ale wnioski płynące z tego odkrycia nie były wcale pocieszające. Przeciwnie, ukazywały dodatkowe niebezpieczeństwa. Zawsze można próbować przewidzieć, jak zachowa się człowiek normalny. Ale niech ktoś zgadnie, co robi wariat w napadzie szaleństwa? „Muszę siedzieć jak trusia — osądził chłopiec. — Każdy ruch gotów wywołać reakcję Gratha, drgnienie jego palca na spuście. Annie nie może spaść włos z głowy. Jeśli będzie trzeba, ja sam pomogę Grathowi uwolnić się od towarzystwa Adama, Barbary, Marka i kogo tam jeszcze” — postanowił.

Winda stanęła. Co najmniej dziesięć par oczu zwróciło się w ich stronę. Ktoś uśmiechnął się na

powitanie. „Aha, to Barbara” — stwierdził niezbyt przytomnie Darek. Nawet Mykeskes był już tutaj. „Pewnie — pomyślał z goryczą chłopiec — kto jak kto, ale on nie mógł drugi raz się spóźnić”.

Obok Marka stała złotowłosa. Obdarzyła ich przelotnym, nieodgadnionym spojrzeniem i szybko odwróciła głowę. Jej piękne usteczka poruszyły się. Darek zobaczył, że brat Anny popatrzył na nią, potem na niego, potem na Annę, by wreszcie wrócić z ulgą do jasnej twarzyczki obok siebie.

Obok Barbary stał Adam. Od razu można się było zorientować, że z nim Grath nie będzie miał kłopotów. Zaledwie zerknął przez ramię na swego bratanka. Chłopiec odruchowo pokręcił głową. W tym momencie pochwycił podejrzliwy wzrok Gratha. Darek tak dobrze opanował już jednak swoją rolę, że udało mu się nawet wykrzywić twarz w nikłym uśmiechu.

Adam powiedział tylko chłodnym, zdawkowym tonem: — Szukałem cię w naszej kabinie... — po czym podjął przerwana rozmowę z Barbarą.

Stewa i Mammea stali dalej i ledwie zauważyli pojawienie się czwórki spóźnionych. Kiedy Darek na nich spojrzał, Mammea mówił akurat do szpa--kowatego coś jakby. "No, to na mnie czas". Zaraz potem, nie spiesząc się, ruszył w stronę schodów. W pewnej chwili sylwetka niepozornego skryła się zupełnie za wielką postacią Lwizwisa. Reżyser oderwał się od Werwusa i szedł szybko w ich stronę, pozostawiając na pastwę kierownika produkcji nieszczęsnego Mykeskesa. Chłopiec z mściwą satysfakcją obserwował, jak mechanik wiję się i skręca pod potokiem słów płynących z ust małego grubasa.

— Cześć, bohaterze! — huknął Lwizwis najgłębszym ze swoich basów. Mocno potrząsnął rękę chłopca i zawołał tak, że aż echo poniosło się po sali: — Słyszałem, jak sobie poradziłeś. Brawo!

Darek uściśnął machinalnie dłoń reżysera, a równocześnie przyjrzał mu się podejrzliwie. To jego:

„słyszałem, jak sobie poradziłeś”, brzmi przecież niby czysta kpina! Chłopcu błysnęła nieprawdopodobna myśl, że Lwizwis wie o wszystkim, co zaszło w tej przeklętej komórce, do

której on sam, jak prawdziwy baran, zaciągnął Annę, i że reżyser z niezrozumiałych powodów trzyma stronę Gratha. Trzeba było dopiero dalszych gratulacji ze strony najwidoczniej czymś uradowanego reżysera, żeby Darek przypomniał sobie swój, tak niedawny przecież, lot na "Smyku" i niezwykle powrót do bazy na planetoidę numer dziewięćset sześćdziesiąt trzy. Dziwne, jak łatwo wylatują człowiekowi z głowy nawet takie wydarzenia, które zasługują, by pamiętać o nich do końca życia. Dzieje się to oczywiście wtedy, kiedy po tych wydarzeniach przychodzą inne, co najmniej równie niezwykle. Chłopcu wydawało się, że od porwania „Smyka” minęły wieki.

Odpowiedział coś Lwizwisowi, bez ładu i składu, aż tamten się zdziwił, ale mimo to nie przestał się uśmiechać.

— Proponowałem już Soni — mówił przymrużając porozumiewawczo oko — że odwrócimy role w filmie. To ona będzie zabłąkaną dziewczyną z Ziemi, a ty pogromcą kosmosu. I jak myślisz, zgodziła się?

Darek wsłuchiwał się w gruby, przyjazny głos reżysera i powoli wizja skierowanego w Annę miotacza zacierała się w jego umyśle. Mimo woli wyobraził sobie minę Soni, kiedy zaproponowano jej, by grała tę zagubioną.

— Myślę, że wiem, co odpowiedziała — mruknął stwierdzając z zaskoczeniem, że jego głos brzmi niemal normalnie. — "Jeśli chodzi o mnie, nie widzę powodu, by w związku z tym pożałowania godnym incydentem przewracać cały scenariusz do góry nogami" — wyrecytował ściągając usta i naśladowując słodki sopran złotowłosej.

Lwizwis ryknął tak głośnym śmiechem, że zaniepokojony Grath szybko spojrzał w ich stronę. Jego ręka tkwiąca w kieszeni spodni wykonała szybki ruch. Nie uszło to uwagi Darka. Od razu stracił dobry humor.

Reżyser nie spostrzegł zmiany, która zaszła w twarzy chłopca. Śmiejąc się w najlepsze, powiedział:

— Brawo! Jakbyś przy tym był — odwrócił się i poszukał rozweselonym wzrokiem Anny.

Ta jednak nadal stała do nich tyłem. Lwizwis, nie przestając się śmiać, zwrócił się znowu do Darka i pogroził mu palcem.

— Swoją drogą, z ciebie także lepszy numer! Ale na przyszłość — ton reżysera nieco spoważniał — jeśli będzie alarm, trochę szybciej skończcie napawać oczy widokiem dekoracji. Zaczynałem się już niepokoić... To byłaby prawdziwa klęska, jakbym musiał szukać nowego aktora!

Dla Darka te słowa zabrzmiały zgoła złowieszczo. Biedny Lwizwis. Gdyby wiedział, jak niewiele trzeba, aby jego żartobliwe obawy stały się ponurą rzeczywistością...

Chłopiec rozejrzał się machinalnie. Tyle ludzi...

zajętych swoimi sprawami. A wśród nich — da-lej, niż gdyby znajdowali się w innej galaktyce — Anna i on. Niedorzeczność! Ktoś tu najwyraźniej zwariował. Za minutę, za moment Adam albo Stewa czy wreszcie Nerpa, któryś z nich podejdzie do operatora i wyjmie z jego kieszeni ten niewielki trójkątny przedmiot. A potem okaże się, że to wcale nie był miotacz, tylko na przykład serce z piernika i wszyscy zażądają, aby Darek za karę zjadł ten piernik do spółki z Anną.

Ale mijały sekundy i nikt jakoś nie zainteresował się kieszenią Gratha. Tylko Lwizwis wpatrywał się w Darka coraz bardziej zdziwionym wzrokiem. Pewnie coś powiedział... Może o coś spytał?

Chłopiec zrozumiał, że wszystko to dzieje się jednak naprawdę, a on musi się zachowywać, jakby się nic nie stało.

— Skąd pan wie... — przełknął ślinę i odchrząknął, zanim mógł skończyć — ...że byliśmy tam, gdzie będziemy filmować?

— Mykeskes nam powiedział! — odrzekł po chwili Lwizwis. — A co, coś pokręcił?

— Nie — zaprzeczył ponuro chłopiec — nic nie pokręcił.

Pomyślał, że Mykeskes nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Szkoda, że było to zaufanie takiego Joego Gratha, który widocznie kazał mu iść do dyspozytorni i oznajmić, że dzieci oglądały dekoracje i są już w drodze. Tak, nie ulega wątpliwości — szalony plan operatora, wbrew jakiegokolwiek logice, ma wszelkie szanse powodzenia.

— Jest już po alarmie — mówił Lwizwis. — Od-

wołanie ogłoszono pewnie wtedy, kiedy jechaliście windą.

"Alarm!" — zaświtało Darkowi. Prawda, był alarm!

— Czy coś się stało? — wykrztusił.

Zanim reżyser zdążył odpowiedzieć, wyrósł przed nimi szpakowaty. Spojrzenie lekko przymrużonych oczu oficera tchnęło spokojem ale w tym spokoju było jednak coś nieuchwytnego, tak jak w powietrzu przed burzą.

Stewa obciągnął swoją obcisłą granatową bluzę i obejrzał się.

— Pytałeś, dlaczego ogłoszono alarm — powiedział cichym, beznamiętnym głosem. — Chodź, coś ci pokażę.

Wziął chłopca za rękę i podszedł z nim do balustrady otaczającej pomost. Przekroczył ją i zaczął schodzić po pionowej drabince. Darek, chcąc nie chcąc, podążył w jego ślady. Stawiając stopę na pierwszym szczeblu drabinki posłał porozumiewawcze spojrzenie Grathowi. Chciał mu dać do zrozumienia, że idzie ze Stewą, bo nie ma innego wyjścia, ale że nie zrobi nic, co mogłoby się operatorowi nie spodobać.

W odpowiedzi Grath uśmiechnął się i przysunął nieco bliżej Anny. Jego uśmiech miał w sobie coś takiego, że Darek najchętniej od razu z powrotem przesadziłby balustradę, aby tylko znów znaleźć się przy tym człowieku i dziewczynie z czarną grzywką. Nie mógł jednak pójść za tym odruchem, bo wzbudziłby podejrzenia Stewy... A to z kolei Joe potraktowałby jako świadomą próbę zdemaskowania go przed obecnymi. Do tego nie wolno było chłopcu dopuścić.

Tak, od którejkolwiek strony spojrzeć — położenie Darka przedstawiało się doprawdy niezbyt różowo.

Kiedy stanął na podłodze kolistej sali, Stewa tkwił już przed jednym z ekranów otaczających pulpit dyspozytora.

Darek przyspieszył i po chwili zatrzymał się za plecami szpakowatego. Teraz Grath nie mógł go usłyszeć. Wystarczyło szepnąć jedno słowo!

Nie. Anna.

— Darek...

Jego imię wypowiedziane było tak Cicho, że w pierwszej chwili nie wiedział, czy ktoś wymówił je naprawdę, czy to własne myśli zaczynają mu płatać niewczesne figle, podsuwając głosy, których w rzeczywistości nie ma.

— Darek... — zabrzmiało ponownie.. Chłopiec zerknął przed siebie. Szpakowaty stał jak wrośnięty w ziemię.

— Słyszysz mnie?...

W mózgu Darka otworzyła się jakaś klapka. Nagle rozpoznał głos dyspozytora Nerpy. Chciał skinać głową, ale ta niespodziewanie odmówiła mu posłuszeństwa. Na szczęście bunt dotyczył tylko mięśni szyi. Na szczęście, bo głowa była mu teraz bardzo potrzebna, od tego, jak ona się spisze, zależało dosłownie wszystko. Przecież nie może się zdradzić. Tamci, na górze, z pewnością śledzą każdy jego gest. Zwłaszcza Grath...

Zamrugał oczami. Nie wiedział, czy Nerpa go widzi; domyślał się jednak, że dyspozytor użył jednego z ekranów, by obserwować salę i biegnącą wokół niej galeryjkę.

— Zachowuj się, jakby nigdy nic. Stój bez ruchu.

Chłopiec odniósł wrażenie, że ten szept rodzi się w nim samym. Taki był cichy.

— Bądź spokojny, pilnujemy, żeby wam się nic nie stało. Nie odpowiadaj — zaszemrało, bo Darek mimo woli poruszył wargami.

Chłopiec nie wydał jednak z siebie żadnego głosu, wstrzymał nawet na chwilę oddech. Tylko jego usta drgnęły dwukrotnie. Ktoś, umiejący czytać "z ruchu warg, domyśliłby się być może, że Darek powiedział: „Anna”.

A więc oni wiedzą. To odkrycie spadło na chłopca jak deszcz na wyschniętą ziemię. Wiedzą. Skąd? Jakim cudem? Czy powiedział im Mykeskes? Może myślał, że dzięki temu uratuje się, że pozwolą mu tutaj zostać? Spokojny? Oczywiście, że będzie spokojny. I tak postanowił przecież, że zrobi wszystko, czego zażąda Grath; żeby go tylko nie sprowokować, żeby nie kusić jego szaleństwa. Tym bardziej teraz...

Plecy Stewy zniknęły nagle sprzed Darka, odsłaniając pulpit, ekrany i siedzącego przed nimi Nerpę. Szpakowaty uśmiechnął się swobodnie i ruszył z powrotem w kierunku drabinki. Stanął

przy niej i czekał.

Chłopiec już zamierzał skorzystać z tego niemego zaproszenia, kiedy jego wzrok padł przypadkiem na środkowy ekran. Zatrzymał się w pół kroku.

Na ekranie widniała twarz mężczyzny. Darek widział tę twarz tylko przez chwilę, ukrytą pod osłoną kasku, i wydawało mu się, że nie zapamiętał jej rysów. Teraz jednak poznał ją od pierwszego spojrzenia. Poznałby ją wszędzie i o każdej porze!

Przez chwilę starał się usilnie w jaką taką całość pozbierać rozpierzchłe myśli. Następnie odwrócił się i spojrzał w oczy Joego Gratha.

— To on. — powiedział specjalnie głośno, żeby wszyscy usłyszeli, co mówi. — To ten człowiek, który porwał "Smyka".

— Jesteś pewny? — odezwał się za nim równie donośnym głosem Stewa.

Chłopiec przewyciężył opór, jaki stawały mu stwardniałe mięśnie szyi, i skinął głową.

— Zupełnie pewny — potwierdził z przekonaniem.

Milczący dotąd — jeśli nie liczyć niesłyszalnych niemal szeptów — Nerpa westchnął nagle i pochylił się nad pulpitem.

— Obejrzymy go sobie jeszcze dokładniej — powiedział.

Przesunął jakąś dźwigienkę i wtedy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, na wprost dyspozytora, ale w odległości kilkunastu metrów od jego fotela, zaczęła spuszczać się z sufitu wielka, sztywna płachta. Po chwili sięgała już niemal podłogi. Nerpa ponownie dotknął jakiegoś guziczka i na płachcie ukazała się powiększona do nienaturalnych wymiarów — twarz porwacza.

W głębi sali zabrzmiało stłumione przekleństwo.

Darek odwrócił się błyskawicznie. Spostrzegł, że Grath rozgląda się gorączkowo, badając, jak obecni zareagują na to przekleństwo, które wyrwało mu się tak bardzo nie w porę, które zdradzało, że monstrualnie wielki portret, widoczny obecnie z każdego punktu dyspozytorni, przedstawia kogoś, kogo operator zna. I że obecność tego kogoś w stacji jest mu w najwyższym stopniu niemiła.

Jednak ten niepojętym wybuch Joego Gratha przeszedł jakby nie zauważony. Żaden z obecnych nie spojrzał nawet w stronę operatora. Może ludzie byli zbyt zafrapowani tą ogromną twarzą z zamkniętymi oczami, na której malował się wyraz absolutnego spokoju? Tylko sam Joe najwyraźniej nie mógł się opanować. Zatarł nerwowo ręce, po czym przypomniał sobie o czymś, natychmiast schował prawą dłoń z powrotem do kieszeni. Darek zamarł...

— Nazywa się Bogen — powiedział obojętnym tonem Stewa. — Luis Bogen. Jest... to znaczy był kiedyś pilotem. Niestety, musiano go skierować na leczenie. Niedawno uciekł... A teraz jest tutaj.

— Bogen — mruknął ktoś na galerii. Darek poznał głos Adama.

— Bogen — powtórzył reporter jakby do siebie. — Słyszałem o jego sprawie, ale nie pamiętam szczegółów.

Chłopiec wpatrywał się jeszcze chwilę wyczekująco w swego stryja, lecz ten milczał. Wtedy zwrócił się do Nerpy.

— Jak się tu dostał? — spytał. Dyspozytor przysunął sobie bliżej mikrofon. Jego głos wypełnił całą przestrzeń sali.

— Próbował przedostać się potajemnie do stacji — powiedział. — Wszedł swoim statkiem... to znaczy naszym statkiem, który uprowadził z rejonu budowy... w pole ochronne. Oczywiście, automaty nie wypuściły go już z tego pola. "Smyk" został wprowadzony do komory startowej, a jego pilot uspijony nieszkodliwym gazem. Obudzi się nie wcześniej niż za pół godziny. Dopiero wtedy dowiemy się, co myślał, czego chciał, podejmując tę szaleńczą próbę. A co do alarmu — dodał po krótkiej pauzie — ogłosiły go automatyczne czujniki, kiedy wykryły obecność „Smyka” w polu siłowym. Rzecz jasna, ani przez moment nie było żadnego prawdziwego zagrożenia. Dziwna historia — zakończył po chwili z namysłem — przecież on nie miał żadnych szans...

Darek nie mógł oderwać oczu od obrazu twarzy tego śpiącego człowieka, któremu miał do zawdzięczenia kilka niezbyt miłych chwil i... nie zamierzony egzamin z nawigacji.

— Odniosłem wrażenie — odezwał się wreszcie — że on nie jest zupełnie normalny... Nie wiem, jak to wyrazić... — zająknął się.

— Groził ci? — spytał Stewa.

— Groził — potwierdził z wahaniem chłopiec — ale tak naprawdę to cały czas wiedziałem, że nie zrobi mi nic złego. To znaczy, tak myślałem...nie wiem czemu...

Wzruszył bezradnie ramionami.

Gładko zaczesane, siwe włosy Nerpy załśniły przez moment najczystszy srebrem.

Dyspozytor wyprostował się i przy tym ruchu na jego głowę padło światło którejs z lamp.

— Czy ktoś z obecnych zna tego człowieka? — spytał przez głośniki. — Może ktoś domyśla się czego tu, u nas, szukał?

Cisza.

Darek przypomniał sobie okrzyk, który wyrwał się przed chwilą Grathowi. Teraz operator milczał. Ale przecież to jego nazwisko powtarzał tak dziwnie Bogen, wtedy kiedy zabierał "Smyka". Widać zaistniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, któremu będzie musiał stawić czoło Joe Grath, zanim

zostanie słynnym twórcą filmowym. I jeszcze jedno ostrzeżenie dla Darka, by nie kusił licha.

Nerpa dotknął pulpitu i wielka tarcza z widniejącą na niej twarzą z powrotem uciekła w górę. Następnie powiedział:

— Wszyscy mogą odejść do swoich zajęć. Miejmy nadzieję, że dzisiaj nie wydarzy się już nic nadzwyczajnego. Doprawdy, na brak wrażeń trudno ostatnio narzekać.

Nie trzeba dodawać, że Darek był dokładnie tego samego zdania.

— Chodź, bohaterze — szpakowaty uśmiechnął się i wskazał chłopcu drabinkę — wracamy. Chyba będziecie niedługo kręcić dalszy ciąg filmu?

Chłopiec posłuchał wezwania. Przechodząc koło Stewy skinął głową.

— Tak.

— O ile wiem, przenosicie się teraz na pole startowe? — pytał dalej oficer.

— Tak - powtórzył chłopiec.

Przyszło mu na myśl, że jeśli nawet Grath odleci, pozostawiając ich żywych i zdrowych, to i tak kręcenie filmu przeciągnie się przynajmniej o tydzień. A może dwa? Zanim ściągną innego operatora, zapoznają go ze scenariuszem i tak dalej... Chyba że Patka już wyzdrowiał. A może nie wypuszczą Gratha, nie pozwolą mu uciec? Pewnie tak. Skoro wiedzą...

To jednak niewiele pomoże. Pobyt na stacji przedłuży się. Tyle tylko, że już nie Grath stanie za kamerami. Zamiast spodziewanej sławy zdobędzie...

Tak, ale na razie to on jest górą. To on trzyma palec na spuście miotacza. I niezmiennie chodzi krok w krok za Anną,

Darek wspiął się szybko na pomost i obejrzał się na Stewę. Ale szpakowaty został na dole. Chwilę jeszcze patrzył w ślad za chłopcem, po czym szybko odszedł w przeciwną stronę sali. Jak się okazało, były tam małe, ukryte za jakąś aparaturą drzwiczki. Stewa otworzył je i zniknął Darkowi z oczu.

Na pomoście od razu dopadł chłopca Werwus.

— A teraz do kamer! — pisnął, łapiąc go za łokieć. — Lwizwis, trzeba kręcić!

Reżyser skinął przyzwalająco głową. Werwuso-wi wyrosły skrzydła.

— Na plan! Na plan! — zamachał skrzydłami... to jest rękami.

— Chodź, Darku — podchwycił Grath z takim uśmiechem, że przez plecy "gwiazdora" przemaszerowały zwykłe, ziemskie mrówki. Chociaż może i nie tak zupełnie zwykłe. Normalne mrówki nie są przecież z czystego lodu.

Adam, Barbara i Marek nadal byli zajęci własnymi sprawami, Mammea jeszcze nie wrócił. Bo Ytterby, nie czekając na Lwizwisa, szedł już w kierunku windy. Za nim, jak cień, sunął Mykeskes.

Sonia potrząsnęła główką. Złote włosy zafalowały, ale ani na chwilę nie przestały wyglądać tak, jakby dziewczyna tylko co odłożyła grzebień i szczotkę.

— Czy możemy już iść do pracy? — zabrzmiał jej rozkoszny głosik.

Barbara drgnęła. Szybko odwróciła się od Adama i podeszła do swojej pupilki. Twarz reportera zmierzchnęła na moment, ale po chwili znowu rozjaśniła się promiennym uśmiechem, Nadal jednak zdawało się Darkowi, że Adam specjalnie unika

jego wzroku. Głupia sprawa. Jeszcze tylko to było chłopcu potrzebne...

A może Adam także już wiedział?

„Nie — pomyślał ze smutkiem, — W przeciwnym razie starałby się być jak najbliższej mnie i Anny. Ot tak, niby przypadkiem”. Nie, Adam po prostu miał żal, że Darek nie czekał na niego w kabinie. Co gorsze, ten żal był więcej niż uzasadniony. Głupia sprawa.

W windzie Darek stał wciśnięty między Lwizwisa i Werwusa. Ponad łysiną tego ostatniego widział czarną grzywkę Anny. Tuż obok niej, nieco wyżej, kołysała się głowa porośnięta rudawymi włosami. Blżej drzwi stały Barbara i Sonia. Złocista mówiła coś do kamerzysty. Chłopiec nie słyszał jednak, by ten odpowiedział choć jednym słowem.

A więc człowiek, który porwał "Smyka", jest już ujęty. Tyle sobie obiecywał, a skończyło się na tym zamkniętym pokoiku, w którym siedział teraz uśpiony, pod opieką automatów. Za pół godziny ten człowiek powie, czego szukał na stacji, w bazie budowniczych nowego kosmicznego miasta. Wtedy chłopiec dowie się, dlaczego musiał zdawać najtrudniejszy w życiu egzamin z pilotażu, a potem wysiadać w próżnię. Oczywiście, jeśli porywacz będzie chciał mówić. Nikt go przecież nie zmusi. Ale to nie jedyny warunek. Ważniejsze jest to, aby Anna i Darek znajdowali się jeszcze wtedy w takim stanie, w jakim człowiek w ogóle może przyjąć coś do wiadomości. Aby ta niesamowita historia z miotaczem zakończyła się szczęśliwie.

Wysiedli na najniższym poziomie, następnie dość długo jechali ruchomym chodnikiem zajmującym całą szerokość krętego, niskiego korytarza. Tej Części stacji Darek jeszcze nie znał. Nic dziwnego. Przecież był tutaj zaledwie drugi dzień. Pomyśleć tylko — dwa niepełne dni! A gdyby zebrać wszystko, co się w ciągu tych dwóch dni wydarzyło? starczyłoby tego na rok z okładem. Przynajmniej jeśli chodzi o takie przygody i przejścia, do jakich nikt, nawet najbardziej spragniony wrażeń reporter, zbytnio nie tęskni.

— Piloci udający się na pole startowe proszeni są o zabranie paczek żywnościowych i potwierdzenie diagnozy lekarskiej — odezwał się dziwny, miauczający głos.

Chodnik stanął. Boczna ściana rozsunęła się bezszelestnie, odsłaniając długą, oświetloną niszę. W głębi widniał podłużny stół, na którym leżało kilkanaście niewielkich kolorowych paczek. Obok, pod ścianą, znajdowała się aparatura medyczna. Stał tam fotel, w którym przed startem każdy z pilotów musiał obowiązkowo posiedzieć dwie, trzy minuty. Dopiero kiedy komputer orzeknie, że kosmonauta jest zdolny do lotu- wolno mu iść dalej.

. Zza fotela wytoczył się śmieszny, pomarańczowy robot połyskujący małymi lampkami.

— Prosimy bardzo uprzejmie do bufetu — odezwał się wesoło, zachęcającym głosem. — Jest indyk na zimno, kiełbaski, sałatka marsjańska i placek a la Błękitna. Pozwoliłbym sobie ponadto szczególnie polecić świeżutkie komетки marcepanowe w sosie bakaliowo-czekoladowym. Komu mogę służyć?

Ktoś przełknął nerwowo ślinę, ale nikt nie odpowiedział. Pomarańczowy postać jeszcze chwilę, po czym oddalił się powoli. Jego lampki przybladły, jakby na skutek uczucia zawodu.

— Dziękuję — usłyszeli po chwili. Podłoga pod ich nogami ruszyła znowu.

— Swoją drogą — powiedział Lwizwis — szkoda, że nie jesteśmy pilotami. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zajrzeć do tego bufetu. Przez ten cały rozgardiasz spowodowany alarmem na śmierć zapomniałem o obiedzie.

— Musiałbyś się poddać badaniu — odpowiedział swobodnie Grath. — Ale ja też nie wiedziałem, że mają tutaj takie wspaniałości.

"Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy" — przeszło Darkowi przez myśl. Spojrzał na Anne i spytał:

— Nie jesteś głodna?

— Dziękuję — odpowiedział ni w pięć, ni w dziewięć, wdzięczny głosik. — Może potem będę chciała coś przegryźć, ale sądzę, że pan Werwus nie pozwoli nam umrzeć z głodu.

W innej sytuacji Darek na pewno by się roześmiał. Ilekroć ktoś się o kogoś zatroszczy, ta mała królewna bierze to natychmiast do siebie. Ciekawe, czy rodzice tego ją nauczyli? Bo Barbara raczej nie. A przecież złotowłosa potrafi pomyśleć o sobie całkiem dorzecznie... Jeżeli jej się chce.

— Nie jestem głodna — szepnęła Anna i były to jej pierwsze słowa, od kiedy opuścili tę fatalną komórkę na końcu korytarza.

Darek chciał odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zrobiło mu się jej okropnie żal, a

zarazem znowu pomyślał z goryczą, że sam ją wpakował w tę paskudną sytuację. To co, że go pod-bechtała. Przecież nie wiedziała... nie mogła wiedzieć. Natomiast on powinien był przewidzieć, co ich może spotkać. Na co ją naraża. Chodnik stanął.

— Teraz będziemy kręcić — ucieszył się Wer-wus — a potem przyniosę coś do zjedzenia. Kanapki! Te rakiety, to jest, chciałem powiedzieć: kometki! Melba z sosem. Tfu! Mniejsza z tym — zdecydował wreszcie — cały bufet! Ale potem! Potem! Teraz proszę...

Stanął w miejscu, gdzie kończył się chodnik, i przepuszczał wszystkich obok siebie, jakby liczył owce wracające z pastwiska.

— Proszę, panno Soniu... proszę, panno Barbaro... Nie — zatrzymał opiekunkę złotowłosej — pani będzie łaskawa stanąć tutaj. Tam dalej tylko kamery, światła, dekoracje, film! Proszę, panie reżyserze. Anno — jego pulchne palce dotknęły ramienia dziewczyny — ty także musisz zostać tutaj. Wskazał jej miejsce obok Barbary, ale Grath zaprotestował.

— Anna jest mi potrzebna na planie — rzucił krótko, popychając dziewczynę przed sobą.

Werwus wznosił oczy do góry, ale natychmiast opuścił je z powrotem.

— Pan Achilles stanie obok pani Barbary... A ty, Bo, do kamery. Uwaga, na miejsca!

Darek szedł bezwiednie przed siebie, aż wreszcie zatrzymał się w jaskrawym świetle reflektora. Stał u podnóża stalowego, pochyłego pomostu prowadzącego do otwartego wjazdu dużej rakiety. Dokoła wznosiły się kratownice i konstrukcje, lustra antyradiacyjne i anteny. Pod nimi umieszczono pulpity i ekrany komputera. Wszystko jak na każdym prawdziwym polu startowym. Bo też to było prawdziwe pole startowe, na którym ustawiono jeszcze dekoracje potrzebne do kręcenia serialu. Twórcy filmu postanowili teraz nakręcić sceny odlotu wyprawy ratunkowej, jaką podejmowały dzieci wprowadzone w błąd przez podłe automaty.

Darek rozejrzał się. Siewy tutaj nie było, chyba że ukrył się w jakimś ciemnym kącie. Adam został na górze, u Nerpy. A Mammea? Chłopiec pamiętał, że w pewnej chwili niepozorny wymknął się po cichu z dyspozytorni. Czy to nie on właśnie miał za zadanie "zająć się" Bogenem, uwolnić Gratha od nowego kłopotu, skoro Grath musi być tutaj, przy zdjęciach? „Nie — odpowiedział sam sobie. — Nie mogli się porozumieć w tej sprawie, bo Mammea wyszedł, zanim Grath zobaczył Bo-gena". A potem operator nie miał już okazji porozmawiać z Mammeą. Dziwne. Niepozorny zwykł przecież nie odstępować ich ani na krok, pojawiać się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, jak chociażby wtedy, kiedy chłopiec po raz pierwszy zobaczył twarz "nieżywego" Mykeskesa.

Na pocieszenie została Darkowi świadomość, że Nerpa i Stewa wiedzą, w jakich opałach znaleźli się Anna i on. Coś wymyślą... Chociaż na razie nic nie wskazuje na to, by mieli już jakiś konkretny plan. Ale przecież nie dopuszczą do tego, żeby na ich oczach i za ich wiedzą Grath zrealizował swoje zamierzenia.

Więc dobrze. Na razie najspokojniej w świecie trzeba grać tego zagubionego, wdzięcząc się do kamer, za którymi stoi Joe Grath... z miotaczem wycelowanym w Annę.

— Ja jestem gotowa — wypłynęło z różanych usteczek złotowłosej.

— Ja też — wyjąkał Darek.

— Jesteście na pomoście — huknął basem Lwi-zwis — i śpieszycie się. Wkładacie skafandry. Au-

tomaty już przygotowały statek do startu. Wchodzicie do wjazdu. Pamiętajcie role?

— Ja pamiętam — podkreśliła Sonia. Darkowi przyszło na myśl, że gdyby nawet ćwiczył do końca życia, i tak nie zdołałby wymówić

w ten sposób tego "ja".

— Światło? — rzucił reżyser.

— W porządku — zakwilił Werwus.

— Kamery?

— Możemy kręcić — odpowiedział siląc się na normalny ton, Bo Ytterby.

— No, to jazda!

I raptownie, w świetle reflektorów, jeszcze raz objawiło się Darkowi czarowne, złotowłose zjawisko. Dziewczyna była piękna i rozsądna, śpieszyła się, ale nie zapomniała o niczym, równocześnie potrafiła każdym gestem, słowem, uśmiechem podtrzymać na duchu biednego teoretyka z Ziemi. Stan, w jakim chłopiec się znajdował, pomógł mu, znów zabłysnąć w tej bądź co bądź niezwyklej dla niego roli. Był... Zresztą, co tu ukrywać. Grał siebie, grał tego, kim

był w tej chwili.

Skończyli pierwszą scenę. Werwus kazał im włożyć skafandry i ustawił ich przed samym włazem rakiety. Lwizwis rzucił wskazówki dotyczące następnych ujęć, które miały być kręcone już wewnątrz statku.

Kamery ruszyły ponownie.

— Chwileczkę — powiedział nagle Grath. — Zdaje się, że to światło trzeba ustawić jednak troszkę inaczej.

— Co ty mówisz, Joe! — zaprotestował piskliwie Werwus, ale Grath przerwał mu niecierpliwym machnięciem dłoni.

— Sam to zrobię — uciął.

Rozejrzał się, podniósł leżący na podłodze mały przedmiot, jakąś soczewkę czy filtr fotograficzny, i nieoczekiwanie podał go Annie.

— Pomóż mi, dziecko — powiedział przymilnym tonem. — Weź to i chodź ze mną. To nie potrwa długo.

Nikt nie zaprotestował. Operator wie w końcu lepiej, czy wychodzą mu dobre zdjęcia, czy nie. A że poprosił o pomoc dziewczynę, która z filmem nie miała nic wspólnego?... Ale przecież ta dziewczyna stała cały czas tuż obok niego, jakby tylko na to czekając, aby się na coś przydać.

Anna, trzymając podany jej przez Gratha przedmiot, weszła do wnętrza rakiety. W komorze śluzy otwartej na przestrzał, bo przecież i w statku, i na polu startowym było zwykłe powietrze, zatrzymała się niepewnie.

— Wy także wejdźcie — Grath odwrócił się, by skinąć na Sonię i Darka.

Złotowłosa przekroczyła próg włazu, rad nierad Darek podążył za nią. Wolał być bliżej Gratha i... Anny.

Joe wyprostował się i spojrzał na reżysera.

— Wiesz, chciałbym zobaczyć, jak wyglądałaby ta scena, gdybyśmy już teraz ustawili dzieci w komorze śluzy, zaraz za włazem, żeby dalej kręcić z zewnątrz. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

— Spróbuj — przystał po namyśle Lwizwis. — Może to nawet będzie niezły skrót. Odda atmosferę pośpiechu. Dzieci tylko przebiegły przez pomost... O to ci chodzi?

— Właśnie — podchwycił z zapalem Grath. —

Poczekajcie chwileczkę — zwrócił się do stojącej przed nim trójki — skoczę tylko na moment do środka i zapalę światło. Ruszył szybko ku drzwiom prowadzącym do wnętrza statku ale po kilku krokach zatrzymał się, jakby sobie o czymś przypomniał.

— Chodź, Aniu — spojrzał z rozbijającym uśmiechem na dziewczynę. — Pomożesz mi spr-

wdzić, czy te automaty, które mają ich porwać, są na swoich miejscach.

W Darku zawrzała krew; kiedy widział, jak Anna posłusznie, bez jednego gestu, idzie za Grathem. Opanował się jednak. Nie było co myśleć o wykorzystaniu chwilowej nieobecności operatora. Wszyscy, oprócz jednego Bo, stali pod przeciwległą ścianą.

Zresztą nie minęło nawet pół minuty, a Joe był już z powrotem

— Poprosiłem Anię — powiedział — żeby przysłała nam pierwszy automat, kiedy dojdziemy do tego miejsca w scenariuszu W ten sposób scenę, w której dzieci dowiadują się, że zostały uprowadzone, będziemy mogli nakręcić od razu, nie robiąc przerwy. No, do roboty — rzucił, dając znak Bo Ytterby'emu.

Kamery ruszyły, Sonia i Darek wymienili pierwsze zdania. I wtedy zaczęło się dzieć coś dziwnego. Z głębi statku dobiegło ostre: wysokie dzwonienie. W całej sali przygasły światła, by za moment ponownie zapłonąć pełnym blaskiem. Równocześnie jednak wszystkie reflektory zmieniły barwę. Pole startowe zaala upiorna, krwawa czerwień.

— Co się... — słowa uwięzły Lwizwisowi w gardle. Pochylił się do przodu i zamarł w tej pozycji, jak krzywo ustawiony posąg,

Pomost, prowadzący do włazu, sam, bez niczyjej pomocy, oddalił się od statku. Równocześnie pancerna kłapa drzwi drgnęła i zaczęła się zamykać.

— Nie! — krzyknęła Barbara, ale i ona nie zdołała powiedzieć nic więcej.

Mykeskes pobladł jeszcze bardziej, jeśli to tylko możliwe, i zawołał cicho coś, czego nie

dałoby się przetłumaczyć na żaden znany język. O jękach Werwusa lepiej w ogóle nie mówić.

Jeden tylko Bo Ytterby nie stracił głowy. W ułamku sekundy zrozumiał, co zamierza zrobić Grath. Porzucił kamery i skoczył rozpaczliwie ku najbliższej wnęce z kosmicznymi skafandrami. Porwał pierwszy z brzegu i zaczął go gorączkowo wkładać.

Spod sufitu opuszczała się gruba, przeźroczysta ściana ochronna, która odgradza startujące statki od zegnających je ludzi. Moment później pomiędzy nią a podłogą pozostał już tylko półtorametrowy prześwit. Za chwilę skamieniali z przerażenia widzowie będą całkowicie odcięci od statku i dzieci.

W ostatniej dosłownie chwili Bo — w rozpiętym skafandrze, trzymając pod pachą kask, którego nie zdążył włożyć — skoczył w ten malejący w oczach prześwit. Ludziom zaparło dech w piersiach, wydawało się, że sunąca nieubłaganie w dół krawędź grodzi musi przygwoździć ciało śmiałka, przeciąć je wpół jak lichą drzazgę. Ale Bo zdążył. Rzucił się szczupakiem po podłodze, zerwał i biegł w stronę statku, dopinając po drodze skafander.

Niestety. Cały ten zryw kamerzysty, jego błyskawiczna decyzja i szalone ryzyko, jakie podjął, okazały się bezowocne. Właz, przez który przeszli Anna, Sonia, Darek i Grath, był już zamknięty. A spod niewidocznej rufy rakiety, spoczywającej w swoim leżu głęboko pod podłogą, zaczęły wypęłzać strużki dymu.

Z piersi Bo wyrwał się rozpaczliwy okrzyk. Jednym ruchem nałożył kask i przypiął go do sztywnego kołnierza. Uchwyty zaskoczyły automatycznie.

— Kto zezwolił na start? — zagrzmiały głośniki.

— Blokuję urządzenia startowe — odpowiedział spokojny głos dyspozytora.

— Na polecenie pilota urządzenia startowe odblokowane — z charakterystycznych przerw między wyrazami dało się poznać, że tego nie powie-dział żywy człowiek. Automaty słuchały Gratha. Jeśli człowiek zarządzi start, posługując się hasłem zastrzeżonym dla wyjątkowych sytuacji, automaty muszą być posłuszne. Nie zapisano w ich pamięci wiedzy o tym, że ludzie, nawet jeszcze w dzisiejszych czasach, mogą być tak bardzo różni.

— Start awaryjny w toku — zameldowały ponownie automaty. — Dla poziomu zerowego i dla lądowiska ogłasza się alarm pierwszego stopnia,

— On startuje! — wrzasnął z bezgranicznym zdumieniem Lwizwis.

— Dzieci! Dzieci! Dzieci! — pisnął Werwus.

— Soniu! — Barbara rzuciła się przed siebie. Dosłownie w ostatniej chwili — wyrosły jak spod ziemi Mammea chwycił ją za rękę z przytrzymał. W ten sposób udało mu się uratować Barbarę przed uderzeniem z całym rozpędem o przeźroczystą pancerną ścianę.

Rakieta startowała. Pomieszczenie za grodzią wypełniały już strumienie ognia i płonącego jaskrawo dymu. Nagle przez głośniki dobiegł struchlałych ludzi ochryply śmiech.

— Do widzenia, kochani! — głos Gratha drżał z emocji. — Byłbym jeszcze trochę pobyt z wami, gdyby nie ten przeklęty Bogen! Licho go przy-niosło! Nie mogłem czekać, aż przyjdzie do siebie i zacznie opowiadać. Cześć, bądźcie zdrowi. Jeszcze o mnie usłyszycie!

— Soniu! Soniu! — krzyczała rozpaczliwie Barbara.

— Uwaga, Grath — głośniki powtarzały teraz słowa Nerpy — wszystkie statki rejonu wielkich planet natychmiast ruszą w pościg. Nie uda ci się przejść nawet orbity Marsa.

— Spróbujcie tylko! — wrzasnął w odpowiedzi Joe. — Mam dzieci. Całą trójkę, jakby się ktoś pytał. Mam także miotacz. Możecie mnie zatrzymać. Ale w takim razie nigdy nie zobaczycie swoich milusińskich... żywych. Wbijcie to sobie dobrze do głowy. Pamiętaj, Nerpa, że ja nie mam nic do stracenia... jeśli mnie dopadniecie. A bardzo wiele do zyskania, jeśli uda mi się dotrzeć na Ziemię. Nie róbcie głupstw. Kiedy dolecę, puszczę dzieci wolno. Włos im z głowy nie spadnie. Jeżeli jednak złapię namiar choćby jednego statku, który będzie szedł moim śladem, to...

Nastała cisza. Ludziom opadły ręce. Znieruchomieli, porażeni zgrozą patrzyli w milczeniu, jak nad dziobem statku otwiera się sklepienie. W czerni zabłyśły gwiazdy.

Rakieta drgnęła i początkowo powoli, a następnie z rosnącym przyśpieszeniem zaczęła iść pionowo w górę. Po kilku sekundach stracili ją z oczu. Dym począł rzednąć, tylko gwiazdy w górze gasił jeszcze błysk ognia strzelającego z dysz napędowych statku. Za przeźroczystą pancerną ścianą zaczęło się przejaśniać, ujrzeli wielką, pustą studnię ziejącą w miejscu, gdzie

jeszcze przed chwilą stała rakietą.

I wtedy, kiedy patrzącym wydawało się, że ogromne pole startowe zasypia już w mroku i ciszy, daleko, na jego krańcach, zabłyśły nagle pomarańczowe płomienie. Ponownie buchnęły ogniste snopy dymu.

— To Boi — zakrzyknął nieprzytomnie Lwizwis.

— Bo — powtórzył Mammea dziwnie jak na mego ożywionym głosem. — Bo dostał się do drugiego statku i teraz startuje.

— Ile jest jeszcze raket zdolnych do lotu? — spytał gorączkowo reżyser. Mammea pokręcił głową.

— Tylko "Smyk", którym przyleciał Bogen — odpowiedział — i stateczek Stewy. Obydwa bez zapasu paliwa. Reszta pracuje przy rozbitej planetoidzie.

Krótką chwilę panowało milczenie.

— Start awaryjny statku X-2 — oznajmiły automaty przez głośniki. — Zapewniamy łączność trójstronną. Prosimy o potwierdzenie.

— X-2 — odezwał się Nerpa — wzywam cię.

— Tu X-2 — nie mogło być wątpliwości kto mówi. Tyle że wesoły zwykle głos Bo Ytterby'ego brzmiał teraz twardo i ponuro.

— Tu X-2 — powtórzył. — Idę kursem X-1. Mam go na czołowym ekranie. Nie odejdę... jak długo starczy mi paliwa.

— Tu dyspozytor — zgłosił się Nerpa. — X-1, wzywam cię.

— Możesz mnie nie wzywać — zarechotał Grath. — Słyszę tego waszego blondasa. Hej, Bo, czy mam im powiedzieć, komu zawdzięczam pewien mój film?... To, jak go zrobiłem?

— Sam im to powiem — brzmiała odpowiedź Bo. — Nie umkniesz mi, Grath. Choćbym miał za tobą lecieć do końca galaktyki.

— Wystarczy — przerwał szyderczo operator — że będziesz za mną leciał jeszcze przez trzy minuty. Tyle Ci daję. Zastanów się, Bo. Jeśli po upływie tych trzech minut będziesz się jeszcze pętał koło mnie, dzieci polecą za burtę. Nie wszystkie. Na pierwszy ogień pójdzie chłopak... I to tym razem bez skafandra. Żebyście się przekonali, że ja nie żartuję. Zostaną jeszcze dziewczyny. Pomyśl, Bo, trzy minuty. Ani sekundy dłużej.

— Tu stacja — spokojny głos Nerpy. — Wzywam X-2.

— Zgłasza się X-2. W dalszym ciągu mam na ekranie X-1...

— Uwaga, X-2. Zejdź z kursu i wracaj do stacji. Nie rób nic, co mogłoby narazić życie dzieci. X-2, rozkazuję ci wracać do stacji!

— Nareszcie coś rozsądnego, Nerpa — zaśmiał się w głośnikach Grath. — Słyszałeś, Bo?

— Tu X-2. Nie, Nerpa, nie wrócę. On nie zrobi dzieciom krzywdy, ponieważ wie, że to byłby jego koniec. To, co się stało, stało się w znacznej mierze przeze mnie. Ja coś wynalazłem... i nie zgłosiłem tego. Wczoraj dowiedziałem się, co on z tym robi. Odpokutuję za wszystko, ale teraz nie mogę pozwolić mu uciec. Muszę go dostać. Muszę. Nie rozumiesz?!

— X-2, ponawiam rozkaz powrotu. Wiemy, co wynalazłeś. Niech Grath zawiezie dzieci na Ziemię i tam je puści. Wracaj, Bo...

— Nie.

W głośnikach znowu odezwał się chrapliwy głos operatora.

— Bo, ostrzegam, pozostały tylko dwie minuty. Jesteś dość blisko, by zobaczyć, jak ciało chłopca wylatuje za burtę. Zastanów się, Bo. Jeszcze czas.

— Wygrałeś, Grath... — zaczął Bo i nagle umilkł.

— Stacja wzywa X-2. Cisza.

— X-2, tu stacja. Odezwij się. Nic. Milczenie. Głośniki jakby nagle odmówiły posłuszeństwa.

— Bo, słyszysz mnie? — w głosie Gratha po raz pierwszy zabrzmiał niepokój. — Pamiętaj, ostrzegałem cię.

Także i to pozostało bez odpowiedzi.

— On wyłączył radio, radary i swój nadajnik namiarowy — powiedział półgłosem Mammea. — Leci na ślepo, tak jak Darek „Smykiem”. Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

Do przedsiönka sali startowej wpadł Adam. Rozejrzał się gorączkowo, dostrzegł Mammeę i

ruszył szybko w jego stronę. Po drodze zauważył Barbarę i przystanął koło niej.

— Nie bój się — rzekł głosem, któremu usiłował nadać brzmienie co najmniej bez troskie, jeśli nie zgoła wesołe. — One nie są tam same. Powiedziałaś jej? — zwrócił się do Mammei.

Zagadnięty potrząsnął smutnie głową.

— Nie zdążyłem — mruknął.

— Jak to: nie są same? — w oczach Barbary błyszczały łzy. — Przecież Ytterby, który za nimi poleciał, nie może nic zrobić. A teraz jeszcze pan Mammea mówi, że on wyłączył radio.

— Wyłączył — potwierdził Adam — ponieważ w ogóle wyłączył całą automatyczną aparaturę swojego X-2. W ten sposób Grath nie odbiera jego sygnału namiarowego. Nie wie, czy Bo leci

jeszcze za nim, czy zawrócił, tak jak mu to kazał

zrobić Nerpa. Dyspozytor spodziewał się, że Bo tak właśnie zrozumie jego polecenie. Nie mógł mu tego przecież otwarcie powiedzieć, bo Grath by usłyszał. Nie bój się. Bo Ytterby'emu zdarzyło się potknięcie, ale to porządny człowiek, a teraz płonie chęcią naprawienia swojego błędu. Nie to jednak miałem na myśli, mówiąc, że dzieci nie są same...

— Właśnie chciałem powiedzieć — poskarżył się znużonym głosem Mammea.

W zamglonym wzroku Barbary odbiła się nagle nieufność.

— Kim pan właściwie jest? — natarła na Mammeę. — A ty gdzie dotychczas byłeś? — zwróciła się z kolei do Adama. — Zostawiłeś dzieci same!

Reporter przymknął na moment oczy.

— Skąd miałem wiedzieć... — rozżalił się, ale natychmiast wziął się w garść.

Nie przyszło mu to łatwo, kiedy jednak zaczął mówić, jego głos był pełen optymizmu. Cóż innego mógł teraz zrobić dla zrozpaczonej opiekunki Soni, niewiele starszej od swojej siostrzenicy?

— Byłem u Bogena — rzekł. — On już się zbudził i wszystko opowiedział. Przyleciał tutaj, aby się zemścić. Przerwał samowolnie leczenie i uciekł ze szpitala. Okazuje się, że Grath jeszcze na Ziemi maczał palce w różnych brudnych sprawkach. Między innymi kradł czy produkował obiektywy fan-tomatyczne i rozprowadzał je wśród różnych nieszczęśników. Bogen jest właśnie jedną z jego ofiar. Usłyszał w telewizji, że Grath będzie kręcił ten serial z dziećmi, i stąd wiedział, gdzie go szukać.

A jeśli chodzi o pana Mammeę... — Adam uniósł brwi i uśmiechnął się blade.

— Jestem tutaj z polecenia Służby Ochrony Zdrowia — wyjaśnił ledwie słyszalnym szeptem niepozorny.

Barbara oniemiała. Natomiast Lwizwis rzucił się w stronę Mammei, jakby chciał z nim rozegrać rundę boksu.

— Pan jest z ochrony?! — huknął. — Ładna mi ochrona! Gdzie dzieci? Gdzie sprzęt fantomatyczny?!

— Grath nas zaskoczył — tłumaczył się napadnięty. — Nie spodziewałem się...

— Więc trzeba się było spodziewać! Od tego jesteście — ofuknął go reżyser.

— Oni nie mogli wiedzieć — wtrącił pojednawczo Adam. — Gdyby nie Bogen...

— A co ma do tego ten cały Bogen? — nie dał się udobruchać Lwizwis.

— Omówiliśmy wszystko ze Stewą — powiedział Mammea. — Stewę Centrala przysłała specjalnie, żeby założył podsłuch komputerowy. Grath wykonywał swoje eksperymenty na biednym Mykeske-sie... tak, tak — pokiwał głową w stronę nieszczęsnego mechanika — korzystając z komputera statku. Wiecie, że nikomu nie wolno dochodzić, o co ludzie pytają komputery. Każdy ma swoje sekrety, a ponadto w grę wchodzi takie rzeczy, jak tajemnica lekarska, ochrona praw autorskich i tak dalej. Przecież do komputerów zwracamy się także w naszych najbardziej osobistych sprawach. Pytając na przykład o szansę spotkania kogoś, kogo darzymy sympatią. Dlatego Centrala delegowała dodatkowo Stewę. On dysponuje wszystkimi pełnomocnictwami. Założył podsłuch i zaraz się okazało, że Grath każe komputerowi budować fikcyjne światy, które się rozwijają, są w ruchu, jakby naprawdę żyły. Przenosząc Mykeskesa za pomocą fantomatyki do takiego świata, dawał mu nie tylko realny krajobraz, płynące rzeki, drzewa szumiące pod naporem wiatru, lecz także "żywych" ludzi. A wśród tych ostatnich jego rodzinę, którą mechanik stracił w katastrofie. Z kolei wynalazek Bo Ytterby'ego pozwolił Grathowi filmować to, co w tym fikcyjnym świecie

przeżywał Mykeskes. Aparatura przenosiła wszystko na taśmę bezpośrednio z mózgu Mykeskesa, tak jakby tłumaczyła na język obrazów jego myśli, wrażenia i uczucia. Technika potrafi już rozwiązywać znacznie bardziej skomplikowane problemy... Tylko że tego, co realizował Grath, nie wolno robić, to jest przestępstwem. Krótko mówiąc, wiedzieliśmy już, że Grath knuje, i słyszeliśmy, kiedy mówił, że po nakręceniu sceny startu wróci do tego swojego własnego filmu z Mykeskesem. Przygotowaliśmy wszystko, żeby go na tym złapać. Pech chciał, że właśnie wtedy na stację próbował wtargnąć Bogen. Grath zobaczył go na ekranie i zrozumiał, że nie może czekać, aż tamten się zbudzi — opowiedziałby przecież o dawniejszych sprawkach operatora. Wtedy wymyślił to porwanie... Ba, nawet nie wymyślił. Skopiował po prostu sytuację ze scenariusza pana filmu — zakończył patrząc na Lwizwisa.

Reżyser poruszył bezgłośnie wargami. Trwało dobrą chwilę, zanim zdołał wydać jakiś nieokreślony, basowy pomruk.

— Aż się wierzyć nie chce — wystękał wreszcie. Barbara nie powiedziała nic. Wodziła nieprzytomnym wzrokiem po obecnych i nie ulegało wą-

pliwości, że jej także nie chce się wierzyć w to wszystko. Jeśli w ogóle zrozumiała cokolwiek z tego, co mówił Mammea. Adam ujął ją delikatnie za rękę.

— Spróbuj się opanować — powiedział bardzo cicho. — Tam jest Sonia, ale jest i Darek. A także córka dyspozytora. Całą przestrzeń między Ziemią a obszarem planetoidów postawiono w stan alarmu. A poza tym, pamiętaj, że dzieci nie są same.

— Powtarzacie mi to już po raz któryś z rzędu — wykrztusiła Barbara. — Co to znaczy, że nie są same? Pewnie, że nie. Przecież jest z nimi ten łotr!

Adam pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Barbara drgnęła i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Następnie szybko przeniosła wzrok na Mammeę. Ten skinął nieznacznie głową.

KWIATY DLA ANNY

Na ekranie świeciły gwiazdy i świeciła zielona nitka, ślad w przestrzeni. Tym razem ten ślad prowadził do jednej ze stacji satelitarnych krążących wokół samej Ziemi. U dołu ekranu przeskakiwały długie kolumny liczb.

— Trzy minuty minęły! — rzucił Grath do mikrofonu. — Bo, gdzie jesteś?!

Brak odpowiedzi.

Operator czekał chwilę, po czym zaklął i odwrócił się do swoich więźniów.

— Słyszałeś, mały? Chcą zobaczyć, jak będziesz koziołkował wylatując ze statku.

Darek poruszył wargami, ale nic nie powiedział. Wszyscy troje, upchani jak śledzie w beczce, tkwili za przezroczystym przepierzeniem, za którym pracował niekiedy podczas lotów dyżurny radiooperator. Przez szklaną ścianę swojego więzienia widzieli Gratha miotającego się na fotelach pilotów. Co chwilę odwracał się w ich stronę. Jego dłoń sięgała wtedy po miotacz leżący na pulpicie sterowniczym.

— Spróbuj tylko coś zrobić któremuś z nas — zabrzmiał najniespodziewaniej wysoki głosik — a nie wyjdiesz z tego żywy. I tak ci się to wszystko nie uda. Ale jeśli nas wypuścisz — ciągnęła pogardliwym tonem Sonia — będziesz miał jeszcze szansę. Można być łajdakiem, jeśli już komuś nie wszystko w głowie funkcjonuje tak jak powinno, ale niekoniecznie trzeba być równocześnie skończonym głupcem.

— Co? I — wykrzyknął Grath, bardziej zdziwiony niż zły.

— To, co słyszałeś. Poza tym jest mi tu bar-dzo ciasno.

— Zamknij się, smarkulo! — wrzasnął Joe.

— Phi! — parsknęła dziewczyna usiłując wzruszyć ramionami. Niestety, z braku miejsca było to niemożliwe.

— Bo, odpowiedz w tej chwili! Ty... — Grath zdławił przekleństwo.

— Tu stacja — odezwały się głośniki. — Słuchaj, X-1, nic nie wiemy o X-2. Nie znamy jego pozycji i nie odbieramy od niego sygnału namiarowego. Prawdopodobnie statek Ytterby'ego uległ awarii. Wiesz przecież, że nie był przygotowany do lotu.

— Wiem, że on jest blisko! — odpalił Grath. — I jeśli się nie odezwie...

Nie dokończył. Jednak po chwili spróbował znowu:

— Bo, przecież nie podejdziesz do mnie i tak. Ustawilem wyrzutnie, które porażą każdego, kto zbliży się do mnie na odległość pięciuset metrów.

Przestaniesz istnieć jak ta planetoida, z której zrobili ognie sztuczne. Bo, słyszysz?

— X-1, tu stacja. Powtarzam, nie odbieramy sygnału namiarowego statku Bo. Uważaj teraz, Grath. Jeśli zechcesz strzelać, wyłączymy ci zdalnie wszystkie zespoły energetyczne. Wiesz chyba, że baza może tak postąpić z każdym swoim statkiem. A więc nie rób głupstw.

Darek mimo woli nastawił uszu. Wyłączyć zespoły energetyczne? Oczywiście, że mogą. Każdy statek ma wbudowane urządzenia pozwalające zdalnie zatrzymać silniki, na wypadek, gdyby stery odmówiły posłuszeństwa, a załoga, powiedzmy, zatruta się nieświeżymi rybami. Mogą ze stacji unieruchomić silniki X-1 i pozbawić go radia, prądu elektrycznego, komputera. Nie mogą natomiast, niestety, zablokować ręcznego miotacza. Ten przecież ma swoje własne ogniwa zasilające. Szkoda.

A może Joe zapomni o tym drobiazgu? Może da się zastraszyć?

Ta nikła iskierka nadziei, zaledwie błysnęła, została jednak brutalnie stłumiona.

— Możecie zastopować silniki i pozbawić statek energii — odpowiedział Grath drwiąco. — Proszę bardzo. Ja na waszym miejscu nie zastanawiałbym się długo. Pozbawiony sterów i radia popłynę w przestrzeń jak pierwszy lepszy meteor. A dzieci razem ze mną. Nie zobaczycie ich już nigdy. Gdyby natomiast jakimś cudem udało wam się mnie wytropić, każdy, kto wejdzie na statek, wejdzie do własnego grobu. Ręcznego miotacza mi nie wyłączycie.

Chwilę trwała cisza.

— Nie chcemy tego robić, X-1 — powiedział wreszcie Nerpa. — Postanowiliśmy puścić cię na Ziemię. Ale nie groź dzieciom... ani nam. Ty trzymasz w szachu nas, a my ciebie.

— To zabierzcie stąd tego przeklętego kamerzystę! — wrzasnął znowu, nie panując nad sobą, Grath. — Ja wiem, że on gdzieś tutaj krąży. Szukam go na radarze i, jak tylko znajdę, będę strzelał! Nikt mi tego nie zabroni!

— Wyłączając komputer i radio, Bo otoczył się równocześnie osłoną antyradarową — powiedział półgłosem Marek Nerpa do Barbary, w odległej już o tysiące kilometrów dyspozytorskiej stacji. — Na jego miejscu podszedłbym do X-1, zrównał szybkość, a potem spróbował samemu, w skafandrze...

— Powinieneś już dostać tę kartę pilota — rzekł również szeptem Adam.

Barbara przyjrzała im się wilgotnymi oczami. Znowu zapadło milczenie.

— Czy masz zamiar trzymać nas w tej beczie przez całą drogę? — wycodziła niedbałym tonem złotowłosa. — Uprzedzam, że kręcę właśnie film, który poprzedziła pewna reklama. Ludzie mnie znają. Jeśli opowiem, jak nas traktowałeś...

— Zamknij dziób, ty gwiazdo w pieluchach! — nie pozwolił jej skończyć Grath. — Znalazłaś rai Się aktorka!

— Phil! ..— powtórzyła Sonia, zawierając w tym dźwięku taki bezmiar pogardy, że każdy inny na miejscu Joego poczułby się całkowicie zmiażdżony, unicestwiony i wbity w ziemię. Cóż, kiedy ziemi akurat nie było pod ręką ani na lekarstwo.

— Daj spokój Soni — wykrztusił Darek najbardziej stanowczym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Rób, co postanowiłeś, ale nie bądź taki dzielny wobec dziewcząt.

— Dzielny? — zarechotał szyderczo Grath. — Jak mógłbym być dzielny, kiedy one mają takiego obrońcę, bohatera kosmosu!

— Nic nie mów, Darek — szepnęła Anna. — Trzymamy się, Soniu, prawda? — dodała ciepło.

Widać było, że "postawa" gwiazdy stanowiła dla niej miłą niespodziankę. Nie przypuszczała,

że rozkapryszona piękność potrafi zachować tyle godności w opałach, w jakich się znaleźli.

Spotkało ją jednak pewne rozczarowanie.

— Ja się trzymam — odpowiedziała niedbała Sonia. — I nie potrzebuję, żeby ktoś dodawał mi otuchy. On może najwyżej zachowywać się jak cham i mnie to ani nie dziwi, ani mi nie przeszkadza. Nic nam nie robi, wie o tym równie dobrze jak ja.

Tym razem Grath już się nie roześmiał. Anna także wolała zachować dla siebie słowa, które już, już miała na końcu języka. Pokręciła tylko głową, mówiąc sobie w duchu, że kogoś takiego jak ta złotowłosa nie spotkała jeszcze nigdy w życiu.

Milczał też Darek. Nie dlatego, że akurat roztrząsał tajniki niewieścich charakterów. Jeżeli w ogóle myślał o dziewczynach to raczej o ich kolanach i łokciach. Jedna z nich siedziała przecież na jego prawej nodze, a druga niemiłosiernie ugniatała mu ramieniem lewy bok. Z każdą minutą Darek czuł coraz lepiej i coraz bardziej dotkliwie, że w tych pozycjach ani one, ani on sam nie przetrwają do końca drogi, nawet gdyby ta miała się skończyć wcześniej, aniżeli życzył sobie tego człowiek siedzący za sterami. Mógł zaproponować Grathowi, by zamknął ich w którejś z kabin mieszkalnych. Jednak kto wie, czy opryszkowi nie przyszłoby wtedy na myśl, żeby ich rozdzielić. Poza tym lepiej widzieć, co Grath robi, nie mówiąc już o tym, że tutaj w kabinie pilotów, przynajmniej od czasu do czasu rozlegał się głos Nerpy i że ten głos przypominał o ludziach, którzy robią teraz wszystko, by ich ratować.

Chłopiec zastanawiał się dość długo. Wreszcie wydało mu się, że coś wymyślił.

— Panie Joe — powiedział grzecznie — czemu pan nie włączy automatycznego pilota i nie usiądzie spokojnie? Kurs na Ziemię jest przecież obliczony. Wtedy mógłby nas pan stąd wypuścić, przecież miałby nas pan cały czas na oku.

Grath posłał mu kose spojrzenie.

— Mądrala — burknął po chwili. — Chcesz, żebym przestał patrzeć w ekrany? Liczysz na to, że ten bałwan Bo podejdzie ze swoim pudłem?

— Nie — odpowiedział nadal uprzejmie Darek — tylko Anna i Sonia nie wytrzymają długo w takiej ciasnocie. Tutaj naprawdę nie ma już czym oddychać. A jeśli im się coś stanie...

— Martw się o siebie! — odszczeknął Joe. — Jeżeli tamci w stacji nie zachowają się rozsądnie, ty pierwszy nie wytrzymasz tej podróży...

Widać było jednak, że słowa chłopca wywarły na nim pewne wrażenie. Przez następne kilka minut siedział bez ruchu, nie odzywając się.

— Chcecie się przenieść — powiedział nagle ze śmiechem, od którego w kabinie powiało lodowatym chłodem. — Dobrze.

Rzucił się do pulpitu. Darek odgadł raczej, niż zobaczył, że operator uruchamia automatycznego pilota. Sprawdził jeszcze raz kurs, po czym zerwał się z fotela. W jego dłoni błysnął miotacz.

— Wyłączyć! — zawołał rozkazująco. — Ale już! Chcieliście mieć jazdę z wygodami, proszę bardzo!

Jego twarz, która znajdowała się w ciągłym ruchu, żuła, marniała, rosła to wzdłuż, to wszerek, teraz nagle stężała. Zmrużył oczy i z ironicznym uśmiechem patrzył, jak najpierw Sonia, potem Anna, a za nimi Darek prostują się z trudem, pocierając odciśnięte, obolałe miejsca.

— Ofiaruję wam takie wygody, o jakich się wam nie śniło. No, już! — krzyknął, wskazując drzwi prowadzące na korytarz. — Ruszać się!

Kabinę pilotów poprzedzał niewielki przedsionek. Następne drzwi prowadziły do dużej sali> gdzie w czasie dalekich lotów zbierały się załogi, aby pogadać, poczytać, ponarzekać na kosmiczną kuchnię. Zwykle stały tutaj wygodne fotele, stoły, w tych salach instalowano także ekrany kinowe, bilard oraz inne gry towarzyskie. Słowem wszystko, co człowiekowi skracało i umilało drogę przez nieskończoną, czarną przestrzeń.

W tej chwili nikt nie byłby w stanie odgadnąć, czy którykolwiek z wymienionych sprzętów znajduje się w tej sali. Panowały w niej bowiem takie same ciemności, jak w otaczającej cały statek przestrzeni. Większe, bo nie było dalekich gwiazd. Nie paliły się nawet maleńkie, zazwyczaj nigdy nie gasnące, awaryjne lampki.

Grath zaśwycił ręczną latarkę. Ruchliwy, biało-

złoty promień przemknął kilkakrotnie tam i z powrotem, jakby czegoś szukając. Wreszcie padł na pojemnik z dwoma wielkimi uchwyty. Darek rozpoznał go natychmiast. A więc Grath i Bo przyszli właśnie tutaj, podczas gdy Anna i on czekali zamknięci w komórce, w której operator zaczął kręcić swój film z Mykeskesem. Widać tutaj, wewnątrz stojącego spokojnie na lądowisku statku, Grath chciał ten film skończyć. I byłby tak pewnie zrobił, gdyby nie niespodziewane przybycie Bogena. Musiał natychmiast uciekać. Tym łatwiej się na to zdecydował, że na pokładzie statku znajdował się pojemnik ze skradzionymi obiektywami fanto-matycznymi i wynalazkiem Bo. Wszystko przemawiało za tym, że Grathowi uda się zrealizować swój niecny i szalony plan, który miał mu w przyszłości zapewnić sławę wybitnego twórcy.

Promyk latarki biegał teraz po całym pomieszczeniu. Grath najwidoczniej się śpieszył. Od czasu do czasu światło muskało czekającą w milczeniu trójkę dzieci. Wtedy słyszeli krótki, chrapliwy śmiech i widzieli błysk lufy miotacza. Potem latarka znowu kierowała się to na pojemnik, to na fotele, biegała zygzakami po podłodze i ścianach. Słychać było jakby brzęk metalowych prętów, a następnie dziwny, cichy szelest. Wreszcie Darek pojął, że Grath ustawia aparaturę, tę samą, za pomocą której kręcił film z Mykeskesem!

Poczuł, że za kołnierz zaczynają mu spływać zimne kropelki potu.

— Co chcesz zrobić? — wykrztusił zdławionym głosem.

— Cierpliwości, synu — znów zachichotał operator. — Zaraz zobaczysz. Dostarczę wam takich

wrażień, że do końca życia będziecie mieli co opowiadać.

— Nie chcesz chyba... — wyjąkał chłopiec.

— Cicho teraz! — przerwał mu ze złością Grath. Usłyszeli jeszcze jakieś dwa, trzy niezbyt głośne stuknięcia, a następnie charakterystyczny trzask włączanych kontaktów. Zaraz potem zabrzmiał triumfalny głos Joego:

— A teraz siadać mi grzecznie, wszyscy troje! No, już!

Światło latarki padło na jeden jedyny rozłożysty fotel. Nie aż tak rozłożysty jednak, by wygodnie mogły w nim usiąść trzy, choćby znacznie szczuplejsze niż na przykład Werwus, osobki. Mimo wszystko — po ciasnocie panującej w tym kącie, w którym przedtem tkwili — Darek bardzo chętnie przystałby na podobną zamianę, gdyby nie to, że na poduszce fotela leżała tak dobrze mu znana pajęczka płatanina drucików.

— Nie! — wyrwał się chłopcu rozpaczliwy protest.

— Co się stało? — spytała drżącym głosem Anna. — Czy on ci coś zrobił?

— Proszę o spokój — kategorycznie zażądała Sonia. — On nikomu nic nie zrobi. Ja mogę usiąść w tym fotelu.

— Ale tam... — wystękał Darek i nie mógł powiedzieć nic więcej, bo Grath doskoczył do niego, dysząc z wściekłości.

— Dostyc! Jeszcze jedno słówko, a poprzetrącam ci wszystkie gnaty! Jazda na fotel.

— On nie panuje nad sobą — stwierdziła z nie ukrywanym wstrętem Sonia. — Chodźmy. To wariat. Nie wiadomo, co mu jeszcze strzeli do głowy.

— Siadać!

Darek odszukał w ciemności rękę Anny. Ucisnął lekko jej zimne jak lód palce i delikatnie pociągnął dziewczynę za sobą.

Wyprzedziła ich jednak Sonia. W kręgu światła, pośrodku którego znajdował się feralny fotel, załśniły przez moment jej złote włosy. Oparła się wygodnie i przymknęła oczy, jakby chciała dać do zrozumienia, że od tej chwili przestaje ją obchodzić, absolutnie i ostatecznie, wszystko, co dzieje się wokół niej i co jeszcze może się dziać.

Darek pomógł Annie ulokować się po prawej stronie drzemającej gwiazdeczki, a sam zajął miejsce na lewym koniuszku fotela. "Zajął miejsce" to brzmi bardzo zachęcająco. W rzeczywistości ledwo udało mu się wcisnąć między Sonię a boczne oparcie. Poczuł, że Grath robi coś z jego głową. Trwało to zresztą krótko i pozostawiło jedynie nieznaczny ucisk na włosach.

Światło latarki przeniosło się na głowę Soni, a potem Anny. Następnie zgasło.

— No, to przyjemnej podróży — jeszcze raz zarechotał w zupełnym mroku Grath. — I miłych wrażeń!

Darek pomyślał, że jeśli Joe umieścił im na głowach ten sam druciany kask, który zakładał My-keskesowi, to musiał go odpowiednio powiększyć. Ale te pajęczce przewody dawały się z pewnością rozciągać jak guma. Zaświtało mu jeszcze, że przecież ten kłębusek służył do filmowania tego, co, „śni się” człowiekowi poddanemu działaniu obiektywów fantomatycznych, i że jeśli Grath chciał ich tylko uśpić, mógł sobie darować całą tę zabawę z niby-kaskiem i po prostu postawić przed nimi owe obiektywy... Ale była to ostatnia myśl — już zresztą mglista i zamazana — jaką zarejestrował umysł chłopca.

Darek wracał ze spaceru znajomą ścieżką wijącą się wśród rudogranatowych skał. Na ich wystrzępionych, zębatych szczytach tu i ówdzie migotały w świetle Jowisza jakby wypolerowane ścianki kolorowych minerałów, srebrne kryształy, maleńkie blaszki złotej miki. Wielki księżyc Io, który wschodził właśnie, wydobywał z półmroku opalizującą, lekko zamgloną głowę niedalekiej już kopuły bazy.

Obok skały przypominającej kształtem gotycką wieżę chłopiec zatrzymał się na chwilę. Zawsze tutaj przystawał, by zebrać i zanieść do domu garść „jowiszowych kwiatów”, jak ojciec nazywał te dziwne, tęczkowe, kamienne twory uformowane przez naturę na kształt wysmukłych, fantazyjnie rozgałęzionych łodyg. Te "kwiaty" były do siebie bardzo podobne i oczywiście nigdy nie więdły, a jednak, ile razy Darek przynosił nowy bukiet, stare wyrzucało się z szerokiego, malachitowego dzbana, tak jakby musiały ustąpić miejsca świeżo zerwanym różom czy margaretkom z ziemskiego ogrodu.

Ściskając oburącz skalną wiązanek chłopiec wyprostował się i głęboko odetchnął. Powietrze w butlach było świeże i przesycone sapachem prawdziwych kwiatów. Io wysunął już całą swą tarczę i stał teraz nad bazą niby przybladła, zabrudzona lampa. Wyżej było czarno, a właściwie granato-woczarno, tylko księżyc Jowisza i gwiazdy rozjaśniały nikłymi złotymi nakłuciami noc przestrzeni. Mleczna Droga płonęła białą. Jakby tuż obok niej, choć w rzeczywistości miliardy miliardów kilometrów dalej, świeciły spiralne ślimaki odległych galaktyk.

Darek uśmiechnął się do siebie. Wracał do domu. Miło jest wyjść z zacisza bazy, pospacerować po tym świecie, który dawnym Ziemianom wydałby się zapewne obcy i surowy, ale potem jeszcze milej wracać do znajomych kątów, przerwanych rozmów, do zwykłych, codziennych spraw ludzi mieszkających na Ganimedzie.

Automat strzegący wejścia poznał chłopca i zadzwonił wesoło.

— Cześć — powiedział Darek.

— Cześć — odpowiedział automat. — Oni odpoczywają, ale nie śpią. Są w sali zbornej.

Przyniosłeś bardzo ładne kwiaty.

— Podobają ci się? — zaśmiał się chłopiec, Automat skinął głową i zadzwonił jeszcze radośniej. Darek poklepał go po stalowym pancerzu. Następnie wybrał ze swojego bukietu jedną cudacznie wykręconą łodyżkę i wręczył ją wesołemu odźwiernemu.

— To dla ciebie — powiedział. — Przyniosłem specjalnie.

— Jesteś bardzo miły — w czystym głosie automatu zabrzmiało jakby Wzruszenie. — Dziękuję.

W śluzie Darek zabawił krótko. Kiedy zapaliło się zielone światełko, zdjął szybko skafander i umieścił go pod właściwym numerkiem w prostokątnej szafie. Następnie wybiegł na korytarz i udał się prosto do sali zbornej. Już z daleka dobiegły go dźwięki muzyki.

Zebrali się tu wszyscy. Stary Olsen, szef misji na Ganimedzie, matka, ojciec, a także Sonia i Anna.

Stanął w progu. Zdawało mu się, że nikt nie zauważył jego przybycia, ale po chwili ojciec odwrócił głowę i posłał mu porozumiewawcze spojrzenie. Darek odpowiedział uśmiechem, pokazał ojcu przyniesiony bukiet, kładąc równocześnie palec na ustach. Oznaczało to, że będzie się zachowywał cichutko, żeby nie przeszkadzać innym w czasie koncertu.

Muzyka płynęła szeroko jak wielka fala oceanu, była kojąca i wspaniała. Darek prześliznął się wzrokiem po zasłuchanych twarzach mamy, Soni i Anny. Stopniowo sam poddawał się nastrojowi koncertu. Nie wiedział, co grają, ale czuł, że to coś bardzo pięknego. Muzyka

przynosiła głęboki spokój, było w niej wszystko — cisza wszechświata i błyski słońc, walka i wytchnienie, dobroć, łagodność i upór. Kompozytor musiał niejedno przeżyć i przemyśleć, a muzycy potrafili go zrozumieć.

Zabrzmiały ostatnie akordy i nastąpiła cisza. Siedzieli jeszcze chwilę bez ruchu, zadumani i rozmarzeni. Wreszcie mama Darka westchnęła. Rozejrzała się i dostrzegła chłopca stojącego w progu.

- Co za piękne kwiaty! — powiedziała z zachwytem.
- Alicja jak zwykle ma szalone powodzenie u panów — zażartował profesor Olsen.
- Phi! — parsknęła Sonia. Darek zwrócił się w jej stronę.
- Tobie także przyniosę — zapewnił podając bukiet mamie.
- To ładnie, kiedy syn pamięta o matce, ale niedobrze, że zaniedbuje pozostałe damy —

po

wiedział ojciec patrząc z udanym współczuciem na Sonię. — Prawda, dziewczęta.?

— Ja potrafię sobie sama nazbierać piękniejsze kwiaty — odrzekła Sonia potrząsając dumnie złotą główką.

— A ja — podchwyciła Anna — wolałabym dostać kwiaty od Darka.

Zerknęła spod czarnej grzywki na chłopca. W jej spojrzeniu był uśmiech, ale i coś jeszcze...

Chłopiec poczuł, że się rumieni. Jego pierś zalała fala ciepła. Podszedł z wahaniem do Anny i zatrzymał się przed nią dziwnie onieśmielony. Ale nie było to tego rodzaju onieśmielenie, które potem wspomina się niezbyt chętnie, a czasem zgoła ze wstydem.

— W takim razie — rzekł cicho — przyniosę ci najładniejsze kwiaty, jakie tu kiedykolwiek wyrosły...

— Ładniejsze niż moje? — spytała z zabawnym oburzeniem mama. — Oj, bo będę zazdrosna! Ojciec chrząknął znacząco.

— Phi! — powtórzyła swoje Sonia.

— A może nie tylko ty będziesz zazdrosna — rzucił lekko ojciec, spoglądając w sufit.

— Ja... — zaczął Darek, ale nie skończył. Usłyszał głuchy dźwięk, jakby ktoś upadł, poczuł, że traci równowagę, a równocześnie zdał sobie sprawę, że dokoła robi się ciemno. "Katastrofa!" — przebiegło mu przez myśl. I była to ostatnia myśl, która dotarła do jego świadomości...

Otworzył oczy. Nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nie rozumiał także, dlaczego nic nie widzi.

Ktoś coś mówił o zazdrości? Kto komu zazdrości? I czego? A przedtem... przecież przedtem... Tak, to był głos ojca. To był jego uśmiech.

Poruszył się niespokojnie i nagle z całą wyrazistością uprzytomnił sobie wszystko, co się stało.

Leżał na podłodze sali pogrążonej w kompletnym mroku. Podłoga była chłodna i niezbyt miękka, choć wyłożona elastyczną masą.

Przestraszył się, że odgłos jego upadku ściągnie tutaj człowieka z miotaczem. Wstrzymał oddech i dłuższą chwilę czekał bez ruchu, ale wszędzie panowała cisza. Bardzo ostrożnie pomacał dłonią dokoła siebie... Podłoga, jeszcze podłoga... jakiś przewód...

Jego dłoń natrafiła na twardą, ściankę i zatrzymała się. Chłopiec usiadł.

A więc tak. Joe Grath posadził ich wszystkich w jednym fotelu, następnie założył im ten nitkowaty kask i uruchomił obiektywy fantomatyczne.

Darek przypomniał sobie miejsce, gdzie przebywał przed chwilą, i posmutniał. Nagle zapomniał o grożącym im niebezpieczeństwie, myślał o matce w bazie- na Ganimedzie, o skalnych kwiatkach, o ojcu.

Była tam jeszcze muzyka. Bardzo piękna. Były także Sonia i Anna. Anna?...

"Więc to jest fantomatyki?" — powiedział sobie w duchu.

Ale myśl o dziewczętach otrzeźwiła go. One jeszcze najspokojniej śnią swoje sny... w nie istniejących światach. A przecież ich prawdziwa sytuacja nie uległa zmianie. Nadal znajdują się na łasce uzbrojonego, szalonego opryszka, w pędzącym przez przestrzeń statku.

Co innego z Darkiem. On był wolny i to zmuszało go do działania. Do ratowania towarzyszek, czarnej i złotowłosej, a także własnej przybladłej skóry. Czy potrafi wykorzystać

fakt, że Grath po-kpił sprawę?

Bo że ją pokpił, to nie ulegało wątpliwości. A więc jest wolny. Przytomny, wolny i... Czy równie bezsilny jak przedtem? To się okaże. Zdobył pewną maleńką przewagę nad zbirem, który siedzi przy sterach. Tamten przecież nie wie, że jeden z jego więźniów wrócił do prawdziwego świata.

Najpierw pomyślał o radiu. Ale to na nic. Pierwsze słowo sprowadzi tu Gratha z jego miotaczem. Potem przyszły mu na myśl zespoły automatyczne prowadzące statek. Mógłby się zakraść do maszynowni i popsuć je. Ale co na tym zyska? Nic. Grath może zażądać, aby go wzięto na hol, a Nerpa lub inni będą musieli tak zrobić, wiedząc, że trzyma ich dzieci na muszce.

Na razie postanowił wstać i znaleźć jakąś względnie bezpieczną kryjówkę. To pierwsze nie było zbyt trudne, chociaż kiedy przybrał już pozycję pionową, jego kolana wykazywały głupią i niezrozumiałą chęć ucieczki do tyłu. Poskromiwszy je, zastanowił się nad realizacją drugiej części swojego planu. To było już znacznie trudniejsze. W ciemnościach mógł przecież w każdej chwili nadzieć się na jakąś ścianę, stół, urządzenie, chociażby na te statywy z obiektami.

Po namyśle postanowił nie budzić dziewcząt. Cóż one mogłyby zrobić takiemu Joemu? Poza tym — w razie . czego — niech lepiej cała wściekłość opryska skupi się na chłopcu. Do śpiących Grath przecież nie będzie strzelał, bo po co?

A gdyby tak zacząć się za drzwiami kabiny pilotów i poczekać, aż Joe zajrzy do sali, żeby zobaczyć, czy jego ofiary nadal siedzą grzecznie tam, gdzie je zostawił? Może udałoby się wówczas Darkowi wpaść do kabiny i zatrzaskać za sobą drzwi? Miałby Gratha w garści, mógłby usiąść za sterami i skierować statek z powrotem do bazy.

Ta myśl wydała mu się najlepsza. Macając wokół siebie rękami, zaczął skradać się niesłychanie ostrożnie w stronę, gdzie widniała jaśniejsza plamka znacząca przejście do kabiny pilotów.

Nagle stanął. On będzie miał w garści Gratha, ale Grath — Annę i Sonię. Nonsens. Tak, to co wymyślił, stwarzałoby pewne szanse powodzenia, lecz tylko wówczas, gdyby udało im się przemknąć do kabiny całą trójką. A to było zupełnie nierealne. Grath ma przecież latarkę. Latarkę... i miotacz, W pierwszej chwili może przeoczyć jedno opustoszałe miejsce na fotelu. Nie przeoczy trzech. Żeby nie wiem jak się śpieszyli, Grath musiałby ich zauważyć, gdy będą we trójkę biec przedsonkiem. Nie zdążą zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Nie ma mowy...

Westchnął ciche i pomyślał chwilę. Potem drugą chwilę. I jeszcze jedną, jeśli ktoś potrafi sobie wyobrazić, co to znaczy chwila w takiej sytuacji.

Nagle bieg jego myśli został gwałtownie przerwany. Z głębi kabiny, stamtąd gdzie mrok był najgęstszy, dobiegł jakiś cichy szelest. Chłopiec zamarł. Szelest powtórzył się. Najwyraźniej było to ostrożne szuranie podeszwy próżniowego buta o wykładzinę podłogi.

„Grath!” — przemknęło Darkowi przez głowę. Widać, kiedy spali, przeszedł na tył statku. Po co?

Może chciał sprawdzić, czy wszystkie agregaty działają prawidłowo, a może bał się, że Bo podejdzie ze swoim statkiem i będzie próbował przycumować do rufy X-1? Ale czy Bo nie zawrócił? Już tak dawno przestał się w ogóle odzywać. Czegokolwiek tam Grath szukał, faktem było, że teraz wraca. Dlaczego jednak zachowuje się tak cicho, jakby wiedział, że tutaj, w mroku, czai się jeden z jego więźniów, wyzwolony z zakłętą kręgu fantomatyki? Dlaczego nie przyświeca sobie latarką?

Darek wykorzystał moment, kiedy tajemniczy szelest zabrzmiał nieco głośniejszy, i posunął się w stronę wyjścia. Nagle stopa chłopca zawadziła o coś leżącego na podłodze. Rozległ się głuchy stuk. W rzeczywistości był ledwo słyszalny, ' ale Darkowi wydało się, że uderzył potężnym młotem w wielki, zawieszony na wieży dzwon. Wstrzymał oddech i znieruchomiał.

Szelest ucichł. Dlaczego Grath skrada się jak Indianin ze starej powieści? Czyżby chciał schwytać uciekiniera, zanim ten zdąży splatać mu jakiegoś figla? Dziwne. Łatwiej byłoby przecież zaświecić latarkę i zagrozić miotaczem śpiącym dziewczynom. Darek musiałby się wtedy od razu odezwać i poddać. Ale Grath najwidoczniej wolał bawić się w ciuciubabkę. „No, cóż — orzekł w duchu chłopiec — w takim razie pobawimy się jeszcze trochę”.

Przedtem jednak należało usunąć tę przeszkodę, którą napotkał na swojej drodze. Schylił

się i na-macał jakiś plastikowy pręt. Przesunął po nim dłonią. Koniec był nagwintowany. Z drugiej strony także.

Odruchowo zacisnął pręt w dłoni i poczuł się raźniej. Kij — to wprawdzie nie miotacz, ale na bezrybiu i rak ryba.

Szelest odezwał się teraz już zupełnie blisko. Darek pochylił się do przodu i wyteżył wzrok usiłując wypatrzeć coś w otaczającym go mroku. Zamrugnął z wysiłkiem oczami i nagle odgadł raczej, niż zobaczył zarysy męskiej sylwetki. Zdołał jednak nawet ustalić, że opryszek stoi odwrócony do niego tyłem. Wysoki... raczej szczupły... lekko przygarbiony. Grath. Joe Grath...

"Poczekaj — szepnął mściwie w duchu — dam ja ci teraz!"

Skulił się i zaczął bezszelestnie sunąć w stronę czarnej sylwetki. Tamten w dalszym ciągu stał bez ruchu. Jakby czekał. Jakby specjalnie czekał...

Plastikowy pręt przeciął powietrze z cichym świstem, spadając prosto na czubek głowy mężczyzny. Trafiony zatoczył się, po czym runął bezwolnie na ziemię. Darek zamachnął się, gotów po wtórzyć cios, gdyby zaszła potrzeba. Ale tamten leżał bez ruchu. Sekundę... dwie... trzy...

Chłopiec przyskoczył do powalonego zbira, przyklęknął i zaczął gorączkowo wodzić dłońmi po jego skafandrze. Kołnier... bluza... pas.. Tutaj Joe nosił miotacz. Nie ma! W kieszeni spodni także! Co, u licha?

Wyprostował się i skupił myśli. Gdzie Grath mógł zostawić miotacz? Może zgubił? Może, wracając z wyprawy w głąb statku, nie miał go już i dlatego, spostrzegłszy, że chłopiec odzyskał przytomność, musiał się skradać, żeby działać przez zaskoczenie?

Darkowi brak było jednak czasu, aby rozważyć wszystkie ewentualne skutki, jakie może wywołać ów niespodziewany fakt, że ich prześladowca nie ma przy sobie broni. Tak czy owak, Grath zbudzi się wkrótce. Cios nie był wprawdzie słaby, ale plastikowy przewód nie może wyrządzić dorosłemu człowiekowi zbyt wielkiej krzywdy.

Nagle zaświtał chłopcu pewien pomysł. Aż się uśmiechnął, choć skądinąd nie było mu wcale wesoło.

Mógł już obudzić dziewczyny. Ogarnęła go jednak pokusa, żeby to zrobić dopiero wtedy, kiedy będzie już po wszystkim. Skieruje raketę z powrotem do stacji, porozmawia z Nerpą i wtedy dopiero... Powie im na przykład: "Wstawajcie! Dojeżdżamy do domu!", lub coś podobnego.

Zostawił więc czarną grzywkę i złotowłosą w spokoju, a zajął się Grathem. Odrzucił plastikowy pręt i ujął Joego mocno pod ramiona. Następnie szybko pociągnął bezwładne ciało w kierunku fotela.

— Zaraz i ciebie wyprawię na piękny spacer — mruknął ładując Gratha na opuszczonym przez siebie miejscu, obok Soni.

Nie musiał już zachowywać się cicho. Należało tylko uważać, żeby nie wejść w zasięg promieniowania fantomatycznych obiektywów stojących w ciemności gdzieś na wprost fotela. Inaczej zasnęliby we czworo i wtedy nie miałby już kto nawet się uśmiechnąć...

W końcu praca została wykonana. Darek przesunął jeszcze pajęczy kask, naciągając go Grathowi na głowę i odetchnął. Natychmiast jednak na powrót wstrzymał oddech. Od strony sterowni doleciał jakiś stłumiony okrzyk!

„Bzdury — pomyślał gorączkowo. — Tam nikogo nie ma”.

Równocześnie jednak poczuł, że na czoło występują mu kropelki potu. A przecież w tej ponurej, czarnej sali było raczej chłodnawo.

Głos odezwał się znowu. "Radio" — przebiegła chłopcu przez głowę rozpaczliwa myśl. Ale wiedział już aż nadto dobrze, że to wcale nie jest radio...

W obrysie drzwi błysnęło chybotaławe światło ręcznej latarki. Darek spojrzął ze ściśniętym sercem w stronę fotela, jakby chciał przebić wzrokiem ciemności i stwierdzić, kogo usadowił w zasięgu obiektywów zamiast Gratha. Kogo zdzielił po głowie i obezwładnił.

Nie było jednak czasu na rozdieranie szat i wypominanie sobie tragicznej pomyłki. Za ułamek sekundy prawdziwy Grath może skierować swoją latarkę w jego stronę.

Bez zastanowienia przypadł do podłogi i na czworakach, jak mógł najszybciej, by nie sprawić hałasu, zaczął się wycofywać. Musi przecież znaleźć jakąś kryjówkę!

— Hej tam! — chrapliwy głos Joego przeszył pograżoną w mroku salę. — Ktoś się zbudził? Chłopiec zamknął oczy. Myśli skłębiły mu się pod czaszką, wpadły w jakiś pośpieszny, nieprzytomny taniec. Grath! Naprawdę Grath! Teraz dopiero złapał się na tym, że przez cały czas łudził się jeszcze, iż to nie może być prawdą.

— No?!

Światelko zbliżyło się, omiotło podłogę raz i drugi, niemal dotykając skulonego Darka, po czym zatrzymało się na fotelu. Grath stanął. Widok śpiącej wytrwale trójki najwidoczniej musiał go uspokoić. Ale nie spocznie pewnie, zanim nie dojdzie, kto lub co hałasowało tutaj tak, że dosłyszał to aż przed swoim pulpitem pilota.

— Wzywam X-1 — zabrzmiał daleki głos.

— A wzywaj sobie — burknął Grath. Zrobił jeszcze dwa kroki w stronę fotela, ale zatrzymał się ponownie.

— X-1 — nie sposób było nie poznać głosu Nerpy, chociaż brzmiał tak cicho, że ledwie dało się rozróżnić słowa — odezwij się...

— Niech to!... — warknął do siebie Grath.

Stał jeszcze chwilę wodząc latarką po całej sali, po czym nagle zawrócił i pobiegł do sterowni. Musiał przebyć przedsiónek i całą kabinę, by dopaść fotela pod ekranami. Ten moment wykorzystał Darek. Kiedy tylko zorientował się, że Grath wraca do sterowni, wstał i śmiało ruszył za nim. Dotarł do pierwszych drzwi i stanął. Gdyby teraz wychylił się zza futryny, ujrzałby plecy i tył głowy Gratha siedzącego przy sterach. Mógł poczekać na sprzyjającą okoliczność, zająć porywacza od tyłu i...

Z niejakim żalem pomyślał p plastycznym drągu pozostawionym niebacznie gdzieś w mroku, na podłodze. Rzucić się z gołymi rękami? To dobre w prastarych filmach o Indianach, ale nawet i Indianie nie walczyli z pilotami ery kosmicznej, uzbrojonymi w miotacze...

W skołataną głowę Darka odżyła zagadkowa postać tego obcego śpiącego teraz jak dziecko obok dziewcząt. Któż to mógł być? „Mammea” — olśniło go nagle. Oczywiście, że Mammea. Któż by inny. Wspólnik. Tylko... dlaczego się skradał jak lis do kurnika? Dlaczego nie pomagał Grathowi? Może postanowił sam zebrać owoce działalności tamtego? Odczekać, aż zbliżą się bezpiecznie do Ziemi, po czym unieszkodliwić Joego, zabrać aparaturę i przy jej pomocy zrobić olśniewającą karierę?

Głośnik odezwał się znowu, odciągając uwagę chłopca od osoby niepozornego. Jeśli to naturalnie naprawdę on został tak niespodziewanie dla siebie wyprawiony w krainę snów...

— Czego chcecie?! — odpowiedział komuś z wściekłością Grath. — Nie mam już nic do powiedzenia. Dajcie mi spokój i trzymajcie kciuki, żebym szczęśliwie dotarł na Ziemię. Kiedy wy-

ładuję w pewnym rezerwacie, dam wam znać, gdzie możecie odebrać dzieci. Jeśli mi się coś stanie, nie zobaczycie ich już nigdy.

— X-1 — tak, to mówił w dalszym ciągu Nerpa — kontrolę lotu przejęła już stacja na orbicie okołozemskiej. Nie wiem, co oni zrobią, ale twoją jedyną szansą jest oddać nam dzieci zdrowe i całe. Ci z Ziemi nie poinformowali nas, jak zamierzają z tobą postąpić, powiedzieli tylko, że za chwilę przejmą także łączność radiową z twoim statkiem, ale że sami nie będą z tobą rozmawiać. Mówię ci to, abyś nie miał pretensji do nas.

— Mądrze rozegrał — szepnął Adam wprost do ucha Barbary. — Myślę, że teraz już to zrobi...

Barbara spojrzała na niego wciąż jeszcze nieprzytomnym z wrażenia i lęku wzrokiem.

— Tamten już doleciał?

Adam skinął głową.

— Dłużej nie można czekać... O, patrz!

Nerpa zdecydowanym ruchem przesunął dłoń po klawiaturze pulpitu. Niektóre ekrany zgasty. W okienkach czujników drgnęły świecące strzałki. Następnie dyspozytor wyłączył mikrofon i wyprostował się. Chwilę siedział bez ruchu, oddychając głęboko, po czym odwrócił się do stojących za nim ludzi. Byli wszyscy. Barbara, Adam, Lwizwis, Werwus, Mammea, Mykeskes...

Nerpa bezwiednym ruchem przygładził swoje siwe włosy.

— Miejmy nadzieję — powiedział zmęczonym głosem — że trafiliśmy na właściwy moment. Tamten musiał się już zorientować, że Grath stracił osłonę. Nie mogłem tego odwlekać, bo na pokładzie X-1 musiało zajść coś nieprzewidzianego. Inaczej mielibyśmy już wiadomość od...

— Hej, stacja! — ryknął Grath. — Tracę napęd! Stacja! Tu X-1. Jeśli natychmiast nie wyłączycie waszego przeklętego zdalnego sterowania, to... — nie skończył.

Zaklął, po czym ponownie wrzasnął do mikrofonu:

— Tu X-1. Ziemia, czy to wy robicie mi takie kawały?! Odpowiadać!

Cisza.

Joe zerwał się z fotela. Rozejrzał się dziko dokoła, po czym błyskawicznie zlustrował wszystkie po kolei czujniki. Ekrany — czołowy i boczne — patrzyły bezbarwnymi, martwymi tarczami. Były ciemne. Lampki sygnalizacyjne zgasty jak zdmuchnięte. Delikatne drganie przenikające jeszcze przed ułamkiem sekundy ściany i kadłub statku — znikło. X-1 stracił napęd. Stracił także osłonę przeciwradarową i zdolność otwarcia ognia z potężnych miotaczy.

Zamienił się w martwą bezwolną bryłę lejącą z jednostajnym przyspieszeniem w nieskończoność wszechświata...

Darek bardzo ostrożnie wyrzał z za narożnika. Grath miotał się po sterowni jak oszalały. Biegał od jednego pulpitu do drugiego, walił pięściami w ekrany, tupał, krzyczał, miotał przekleństwa. Wreszcie pojął widać, że w ten sposób nic nie wskóra. Chwilę stał jak skamieniały, po czym nagle rzucił się w stronę przejścia. Zrobił to tak szybko, że chłopiec ledwie zdążył cofnąć głowę i ukryć się z powrotem za framugą. Nie zląkł się jednak. Stan, w jakim znajdował się Grath, musiał paraliżować zdolność logicznego myślenia — nie mógł zauważyć przyczajonego za drzwiami Chłopca. Nie zauważyłby nawet słonia stojącego na dwóch nogach i wachlującego się wyrwaną z korzeniami palmą. A dużej sali, gdzie umieścił swoich więźniów, nie był już w stanie oświetlić. Automaty przestały zasilać energetyczną sieć statku.

— Bo! — wymamrotał Grath przebiegając przez przedsionek.

Potknął się i poleciał kilka kroków do przodu. Darek spostrzegł jednak, że operator nie wypuścił z dłoni miotacza.

— Bo! — powtórzył Joe z wściekłością. — Jeśli podejdziesz, jeśli tylko odważysz się podejść...

Światło latarki przecięło całą salę i zniknęło po jej przeciwnej stronie. Tam musi być korytarz prowadzący do dalszych pomieszczeń statku. Kabin, magazynów, a także... maszynowni. Widać Grath jednak bał się Bo. Bał się, że wykorzysta on fakt pozbawienia X-1 osłony antyradarowej i że podejście cichaczem do rufy, a potem przycumuje swoją raketkę do statku i sam przedostanie się na jego pokład.

Darek zastanowił się, w jaki sposób mógłby wykorzystać ten strach Gratha i możliwość przybycia Bo Ytterby'ego. Jego wzbudzone myśli zaczęły się wreszcie układać — jak rozrzucone klocki, z których trzeba z powrotem złożyć konkretny obrazek. Joe nie zabawi długo w rufowej części statku. Będzie się bał zostawić bez opieki sterownię... I słusznie. Przecież w tej chwili chłopiec mógłby najspokojniej w świecie zająć miejsce w fotelu pilota... Ale co to da? Statek nie ma napędu, a radio milczy. A więc Grath wróci. Co wtedy powinien zrobić Darek? Oczywiście, przejść na rufę. Jeśli Bo naprawdę podejście, to z pewnością nie tak, żeby Grath mógł go zobaczyć przez czołowe iluminatory.

Nie minęły nawet dwie minuty, a Grath, klnąc i potykając się w ciemności, z powrotem przeleciał przez salę, omal nie potrącając przytulonego do ściany chłopca. Przewidywania Darka zaczynały się spełniać.

Teraz należało przejść od przewidywań do czynu. Chłopiec nie wahał się już ani chwili. Ruszył przez ciemną salę, starając się tylko okrążyć szerokim łukiem fotel i wycelowane w niego obiektywy. Zmierzał w stronę, gdzie przed chwilą ukazało się światło latarki Gratha. Tam musiało być wejście do dalszej części korytarza.

Trafił bez żadnych przygód. Drzwi były otwarte. Za nimi znajdował się przedsionek, taki sam jak po przeciwnej stronie sali, przed kabiną pilotów.

Chłopiec przebył go po omacku, sunąc dłońmi po ścianie, i dotarł do następnych drzwi. Kiedy nacisnął klamkę, otworzyły się od razu. Zobaczył długi korytarz, w którym, o dziwo, paliły się maleńkie, czerwone lampki. Równym dwuszeregiem ciągnęły się wejścia do kabin, komórki ze skafandrami, wtyczki aparatury łączności i komputera.

Chłopiec przyspieszył. Znał ten typ statków. Droga na lewo prowadzi do magazynów, agregatów energetycznych i wreszcie do rozrządu fotonowych silników. Na wprost, w głębi, widać już ślepe zakończenie korytarza. Na prawo są automatyczne kuchnie, przetwórnia odpadków, gabinety medyczne i tak dalej.

Tuż za rozwidleniem dróg — do ściany korytarza przymocowano pionową drabinkę. Tędy szło się do ładowni, gdzie stały zwiadowcze rakiety, jakie każda duża jednostka zawsze zabiera ze sobą, i sondy kosmiczne. Tam także znajdował się awaryjny właz. A obok niego iluminatory, przez które można było oglądać przestrzeń za rufą statku.

Darek ruszył w górę. Kłapa w suficie otwarła się lekko i bez szmeru. I tak samo zamknęła, kiedy chłopiec był już piętro wyżej.

Tutaj znowu panowały ciemności. Do śluzy poprzedzającej awaryjny właz było jednak blisko. Chłopiec szedł śmiało, na wszelki wypadek wyciągając przed siebie rozczapierzone dłonie. Po niespełna minucie stał już przed owalnym iluminatorem, obok pancernych drzwi zabezpieczonych potężnymi zamkami.

Ujrzał gwiazdy. Ten widok dziwnie dodał mu otuchy. Świeciły jak drogowskazy, było w nich coś, co przypominało lampy wytyczające drogę do domu:

W pewnym momencie któraś gwiazda nagle zgasła! Potem druga. Trzecia...

Równocześnie ta, która zgasła pierwsza, zapłonęła znowu swoim złotym, miniaturowym ognikiem.

Jeżeli statek jest uszkodzony, jeżeli z jakichś powodów urządzenia nie działają — jedynie tak, dzięki gasnącym gwiazdom, poznają piloci próżni, że w ich sąsiedztwie znajdują się inne pojazdy lub stacje.

Tuż obok wielkiego X-1 czaiło się więc coś, co mogło być tylko drugim statkiem. Cichym, nie oświetlonym, pozornie martwym... Ale tylko pozornie. Bo żaden naprawdę martwy obiekt nie zdołałby utrzymać tej samej szybkości, co rakietę, nawet idąca chwilowo z wyłączonym napędem. Nie potrafiłby tak zgrabnie zachodzić od tyłu. Jak dziki kot zbierający się do skoku.

A więc był tutaj. Nie odleciał, nie zawrócił, tylko zgasił radio, uciszył swój sygnał namiarowy i niespostrzeżenie dla Gratha zaszedł od rufy. Bo Ytterby. Nikt inny.

Darek przywarł twarzą do szyby iluminatora. Nie. Ani śladu konturów rakiety. Tylko te znikające i pojawiające się znowu gwiazdy wokół stożkowej plamy czystej czerni.

Czy Bp ma już jakiś plan? Co właściwie jest w stanie zrobić? Przecież automaty X-1 nie działają, a więc... "Trzeba by mu dać znać" — pomyślał gorączkowo chłopiec. Ale jak? Nie miał przecież nawet latarki, którą mógłby poświecić przez iluminator.

Trudno, musi sam wejść do śluzy i otworzyć właz. Oczywiście, kiedy to zrobi, ze śluzy w ułamku sekundy ucieknie powietrze. Więc musi tam wejść w skafandrze.

Z wysiłkiem otworzył drzwi. Zaraz po wkroczeniu do ciasnej komory śluzy natknął się na wiszące w równym szeregu skafandry. Wziął pierwszy z brzegu i zaczął go szybko wkładać. Następnie nałożył kask i, znów wyężywszy siły, zatrzasnął potężną płytę drzwi oddzielających śluzę od wnętrza statku. Sprawdził dokładnie szczelność skafandra i zabrał się do mechanizmu włazu. Z tym poszło jeszcze trudniej niż z poprzednimi drzwiami. W końcu jednak kłapa zaczęła się powoli otwierać. Powstała najpierw niewielka szpara, przez którą do wnętrza zajrzała pierwsza daleka gwiazda, potem ta szpara szybko się powiększyła.

Chłopiec stanął w otwartym na całą szerokość włazie. Od międzyplanetarnej próżni dzielił go maleńki krok, pół kroku...

Ale w tej próżni nie był sam. Czarny kształt drugiego statku majaczył jak bliska góra. Czy ktoś, kto nim leciał, zauważył już maleńką sylwetkę stojącą w otwartym włazie? A jeśli tak — czy zgadnie, że to właśnie Darek, a nie obłąkany operator filmowy, który uprowadził statek?

Uniół ramiona i zamachał nimi jak ptak skrzydłami. Tak chyba Grath by się nie zachował.

Coraz mniej gwiazd świeciło na niebie — tajemnicza rakietka była tuż obok.

Nagle Darek poczuł, że coś łapie go za n o g ę! Stłumił okrzyk i odruchowo rzucił się do tyłu.

Nad dolną krawędzią włazu poruszała się — niczym pięciogłowy wąż — wielka próżniowa rękawica. Chwilę potem wyłoniła się lekko świecąca kula... a wewnątrz niej...

Jasne włosy, których kosmyk opadł na policzek. Duże oczy, szeroko otwarte i wpatrzone w Darka jak w tęczę. Smagłe policzki. Słowem, twarz Bo Ytterby'ego, Nietrudno było ją rozpoznać za przeźroczystą osłoną kasku, ponieważ wewnątrz tego kasku paliły się mikroskopijne sygnalizacyjne lampki. Ich światełka były nieskończenie nikłe, ale w tej najczarniejszej ze wszystkich możliwych nocy głowa Bo błyszczała dzięki nim jak księżyc.

Chłopiec doznał uczucia ogromnej ulgi. Obejrzał się szybko, by sprawdzić, czy dźwięk otwieranych

włazów nie zwał tu Gratha. Stwierdziwszy, że w służbie jest cicho jak makiem zasiał, przyklęknął i wyciągnął rękę. Z próżni wysunęło się ku niemu męskie ramię zakończone rękawicą, tą samą, która przed chwilą uśiłowala jak ośmiornica objąć jego stopę. Bez namysłu chwycił tę ośmiornicę... to znaczy, rękawicę i pociągnął ku sobie. Zrobił to jednak stanowczo zbyt energicznie. Ytterby przemknął obok niego jak strzała i zatrzymał się dopiero na wewnętrznej ścianie służy. W stanie nieważkości trzeba bardzo uważnie kierować ciałem, swoim... a także cudzym, jeśli akurat ma się jakiś wpływ na jego ruchy. Trudno, ta powszechnie znana prawda zupełnie wywietrzała Darkowi z głowy. Należy sądzić, że Bo mu to wybaczy. Ostatecznie czymże był ten niespodziewany poziomy lot zakończony przypikowaniem w ścianę — wobec faktu, że X-1 wreszcie stanął przed nim otworem.

Chłopiec zachował dość przytomności umysłu, by od razu zająć się na powrót klapą włazu. Przecież w każdej chwili Nerpa mógł się rozmyślić i odblokować agregaty energetyczne statku. A wtedy automaty natychmiast poinformowałyby Gratha, że właz awaryjny jest otwarty.

Zatrzasnął płytę i umocował zamek. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Bo otwiera już przeciwległe drzwi.

Powietrze wypełniło służę w mgnieniu oka, a wraz z nim wróciło ciężenie. Agregatów wytwarzających atmosferę nie można zdalnie wyłączyć... Na szczęście.

Bo i Darek pośpiesznie odpinali kaski i zrzucali skafandry.

— Miałem z tobą porozmawiać — szepnął chłopiec. Kamerzysta skinął głową.

— Ale chyba odłożymy to na później — odpowiedział równie cicho.

Darek wyszedł na korytarz. Zdążył jednak zrobić zaledwie trzy kroki, gdy poczuł rękę kamerzysty na swoim ramieniu. Odwrócił się, a wtedy Bo najzupełniej niespodziewanie, z całej siły przycisnął go do piersi.

— Bracie — wydyszał mu prosto w nos — mógłbym cię osrebrzyć, ozłocić, a na dodatek przenieść na własnych plecach przez Himalaje. Żebyś wiedział... — głos uwiązał mu w gardle.

Darek skrzywił się i oswobodził z uścisku kamerzysty. „Dlaczego akurat przez Himalaje?” — zastanowił się niezbyt przytomnie.

Na wszelki wypadek szepnął:

— Dobra, dobra. Na razie pomyśl, co zrobić z Grathem. Bo wyprostował się w mgnieniu oka.

— Gdzie on jest? — spytał twardo.

Darek machinalnie położył palec na ustach. Następnie krótko i zwięźle wyjaśnił przybytemu sytuację panującą na statku.

Bo zasępił się.

— Nie — powiedział po chwili — to nie Mammea. Załatwiłeś go zgrabnie, owszem. Aż szkoda, że to naprawdę nie jest wspólnik Gratha, tylko ktoś zupełnie inny.

— Jak to?... — zdołał wydukać chłopiec.

— Mammea przecież był razem z Lwizwisem i Werwusem, kiedy Joe wprowadzał was do rakiety. Barbara także przyszła popatrzeć, jak zagra cie tę wielką scenę porwania. Adam rozmawiał z Nerpą w dyspozytorni. Pozostaje jedna jedyna

możliwość.

Chłopiec palnął się z rozpaczą w czoło.

— Szpakowaty! — omal nie krzyknął. — Stewa! Oczami wyobraźni ujrzał tęgi, plastikowy pręt i musiał szybko oprzeć się o ścianę. Na szczęście, była w pobliżu.

— Co teraz zrobimy? — załamał ręce.

— Najpierw musimy uwolnić twojego więźnia. Jeżeli, oczywiście, Grath nam na to pozwoli.

— Masz miotacz? — przypomniał sobie nagle chłopiec. Kamerzysta potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Zresztą i tak nie możemy dopuścić do strzelaniny. Nie chcemy przecież mieć prawdziwych nieboszczyków na pokładzie. Poza tym taki pojedynek mógłby się łatwo zakończyć rozwaleniem całego statku. Nie, to odpada... No cóż, prowadź — westchnął wskazując czarną perspektywę korytarza.

Bez przeszkód dotarli do klapy w podłodze i podnieśli ją ostrożnie. Na dole panowała głucha cisza. Pierwszy zszedł Ytterby. Darek dogonił go, zanim kamerzysta zdążył otworzyć drzwi prowadzące do nie oświetlonego przedsiönka. Sala zborna była już niebezpiecznie blisko.

— Co zrobimy, jeśli Grath nas zaskoczy? — spytał ledwie słyszalnym szeptem.

— Nie damy się — odpowiedział krótko kamerzysta. — Teraz idź przede mną — popchnął lekko Darka do przodu. — Inaczej ani się obejrzę, a wleżę prosto na te obiektywy i potulnie zasnę jak baran.

Skradając się na palcach, minęli krótki przedsiönek. Przed nimi otwarta się nieodgadniona noc wypełniająca wielką salę zborną. Darek rozumiał, że teraz musi wiernie odtworzyć w pamięci swoją poprzednią drogę. Wycofywał się wtedy szerokim łukiem, z dala od tych idiotycznych obiektywów...

Sunąc dłonią po ścianie, zaczął bardzo ostrożnie iść naprzód. Nagle tuż przed sobą wyczuł raczej, niż usłyszał jakiś ruch. Zatrzymał się jak wryty. Bo — nie przygotowany na tak gwałtowne hamowanie — zawisł na jego plecach. Niewiele brakowało, a obydwaj rymnęliby jak dłudzy.

Teraz już całkiem wyraźnie usłyszeli czyjś oddech.

Przyszedł im na myśl miotacz w dłoni półobłąkanego operatora i ciarki przeszły im po plecach.

Przed nimi ktoś stał. Stał i nie ruszał się. Musiał słyszeć, jak wchodzili na salę. Jeśli to jest Grath, dlaczego nic nie robi? Czy czeka, aż podejda bliżej? Przecież ma latarkę...

Znowu szelest, a potem stuk, jakby ktoś niechcący uderzył laską o podłogę. Tym razem jednak te dźwięki dobiegły aż z drugiego końca sali. Czy Joe przeniósł się tam tak błyskawicznie i tak cicho, jakby jego stopy w ogóle nie dotykały podłogi?!

Nie. Szmer tuż obok nich powtórzył się, A więc był tu ktoś oprócz Gratha. Co się stało? Co się zmieniło, od kiedy Darek opuścił salę?

— Gdzie te obiektywy? — wionął chłopcu do ucha szept Ytterby'ego.

Ba, gdyby to Darek wiedział...

Usiłował zastanowić się. Nie było. to wcale takie łatwe. Ten ktoś, oddychający w ciemności, działał

na jego myśli jak pompa ssąca. Same wymykały się chłopcu z głowy i uciekały ku tej sapiącej, przyczajonej, niewidocznej postaci. Wreszcie udało mu się utrzymać je na krótką chwilę i wtedy doszedł do wniosku, że potrafi wskazać kierunek, w którym należało szukać fotela zamienionego w trzyosobowy tapczanik. Odszukał rękę kamerzysty, uniósł ją i skierował we właściwą stronę.

— Połóż się na podłodze — zaszemrało znowu przy uchu chłopca.

Darek skinął głową, chociaż Bo nie mógł przecież tego zobaczyć. W tym momencie ramię Bo Ytterby'ego zniknęło.

Ciszę rozdarł ogłuszający tupot nóg. Tuż przed chłopcem ktoś krzyknął przeraźliwym dyszkantem:

— Ojej!

— Kto... — wyrzucił z siebie Darek.

— Co? — zapiszczało.

Chłopiec zamiast na podłogę rzucił się przed siebie. Złapał oburącz jakąś luźną szmatę. Nie... Tak, to była bluza! Ktoś, kto był w tej bluzie, próbował się wyrwać, ale niezbyt zdecydowanie, jakby zaskoczenie i przestraszony całkiem pozbawiły go sił. Ten ktoś w dodatku z natury był raczej nieduży i drobny.

— Nie ruszaj się! — syknął chłopiec groźnie na wszelki wypadek.

— Darek! — zakwiliła w odpowiedzi bluza. Chłopiec stracił mowę. Mowę, a także zdolność ruchów.

— Sonia — szepnął wreszcie.

Rzeczywiście, to była Sonia. Zaraz zresztą Darek miał się o tym przekonać w sposób nie pozostawiający cienia wątpliwości.

— Jeśli to nie ty — zabrzmiało w ciemnościach — to bądź tak łaskaw i puść mnie. Nie wiem, jak kto, ale ja nie lubię, kiedy trzyma mnie ktoś obcy.

Chłopiec cofnął błyskawicznie dłoń, jakby dotknął pokrzywy.

W tym momencie po przeciwnej stronie sali zabrzmiał głośny okrzyk. Grath! Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle jasnej plamy przejścia.

— Hej tam?! — wrzasnął opryszek. — Uwaga, strzelam!

Przez salę przemknął cienki jak szpada, oślepiający błysk. Jeszcze jeden. Grath strzelał naprawdę. Do kogo? Gdzie jest Bo?

— Prędkiej! — rozległ się zdyszany szept.

— Aaaa! — ryknął Grath.

Znowu błysnęło. W tym ułamku sekundy chłopiec zdążył spostrzec sylwetkę mężczyzny... a obok niego drugą. Grath strzelił w środek, dokładnie między tę dwójkę.

— Aaa!!! — tym razem w krzyku Gratha odbiło się przerażenie. Jego głos był dziwnie zdławiony i zniekształcony.

— Anno, uciekaj! — teraz wołał Bo.

— Puszczaj, ty... — głos Gratha był przepojony wściekłością i rozpaczą.

— Już! — głośny, dobitny okrzyk drugiego mężczyzny. — Bo, zabierz dziewczynę. Inaczej zasną razem.

— W porządku — powiedział Bo, już znacznie spokojniej.

— Tylko uważaj, żebyś sam nie wlał pod te obiektywy. Nie miałem czasu nastawić ich dokładnie.

Przez chwilę panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć czyichś kroków. Darek przypomniał sobie, że Bo kazał mu upaść na podłogę, i chciał na wszelki wypadek powtórzyć to Soni, ale w tym momencie usłyszał donośny męski głos dobiegający z kabiny pilotów.

— Tu X-1. Wzywam stację. Tu X-1. Przy mikrofonie Bo Ytterby. Operacja zakończona. Mówię przez komunikator, który Grath zabrał Annie. Dzieci są wolne i zdrowe. Na pokład X-1 dostałem się dzięki Darkowi. Anna pomogła ująć Gratha. Odblokujcie zespoły energetyczne. Halo, stacja! Odblokujcie zespoły energetyczne!

I nagle wielką salę zaalało światło. W jego blasku Darek ujrzał mnóstwo rzeczy naraz. Grath leżał w przejściu prowadzącym do kabiny pilotów. Obok, w bezpiecznej odległości, stali Bo i Anna. Dziewczyna była bardzo blada, ale dość pewnie trzymała się na nogach. Przed pustym teraz fotelem, na którym Grath usadowił porwane dzieci, tkwił szpakowaty i nakierowywał na Gratha niewidoczne promienie strzelające z obiektywów fantomatycznych. Wąsy sterczące z niewielkich, wysmukłych walców drgnęły leciutko. Zbrodniarz został pokonany swoją własną bronią.

— Zdaje się — zaszemrał obok Darka uspokojony, damski głosik — że teraz będziemy już mogli wracać. Chciałabym odpocząć przed następną serią zdjęć. Inaczej będę wyglądać okropnie, po prostu okropnie...

Chłopiec poczuł idiotyczne łaskotanie w krtani. Przez chwilę nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje, aż nagle wybuchnął nieprzytomnym, wysokim śmiechem. Był to śmiech tak przeraźliwy, że

kiedy dotarł do uszu Darka, ten zaczął gorączkowo szukać wokół siebie jakiejś obłąkanej istoty lub maszyny niebacznie obdarzonej przez konstruktorów zdolnością produkowania tak nieludzkich dźwięków. Gdy wreszcie odgadł prawdę, natychmiast umilkł.

Wtedy szpakowaty odwrócił się w jego stronę i, nie wypuszczając z dłoni obiektywów,

powiedział:

— Zamiast się śmiać, chodź tutaj i przyłóż mi jakiś kompres na głowę. Ciągłe jeszcze słyszę dzwony... po tym, jak mnie poczęstowałeś. Tam, na podłodze, leży kawałek plastyku. Czy to to?

Darek zapomniał, że kiedykolwiek w życiu mógł się śmiać. Odchrząknął, przełknął ślinę i wymamrotał:

— Taaak...

— Więc to był zwykły plastyk? — upewniał się Stewa jakimś dziwnym głosem.

— Uhm...

— Lekki, nie taki znowu bardzo twardy, plastyczny przewód?

— Uhm...

Obolała głowa szpakowatego zakołysała się w prawo i w lewo.

— Niech cię nie znam, chłopie — powiedział z niekłamanym uznaniem — ależ ty masz rączkę!

CAŁKIEM NOWY FILM

Stacja ciągle się o coś dopytywała i ktoś musiał odpowiadać. Mówili już wszyscy, poczynając od Soni, a kończąc na Darku.

Odebrawszy po raz dwudziesty uroczystą przysięgę, że na pokładzie X-1 nie ma trupów ani kalek, przynajmniej w sensie fizycznym, Barbara i Adam wreszcie umilkli. Marek zapowiedział Annie, że nie będzie się odtąd przyznawał do siostry--idiotki i nie życzy sobie, aby mu kiedykolwiek wypomniano łączące ich kiedyś pokrewieństwo, ale mówił podejrzanie krótko i cicho. Tak samo zresztą jak Nerpa-senior. Ograniczył się on do zwrotów przyjętych w oficjalnych rozmowach między załogami w przestrzeni a ich macierzystymi stacjami. Niemniej jednak w jego głosie musiało być coś niezwykłego, skoro w pewnej chwili oczy Anny zasnuły się grubą, szklistą mgiełką.

Siedzieli tuż za Bo, który tkwił za sterami. Przy-taszczyli z sali zbornej fotele i ustawili je półko-

lem, zajmując całą przestrzeń kabiny. Przedtem przetransportowali Gratha za to samo przeźroczyste przepierzenie, za którym cała trójka uprowadzonych gniołła się przez pierwszą część lotu. Dla" jednej osoby było tam, jak się okazało, dość miejsca.

Załatwili to bardzo prosto. Stewa ciągnął usadzonego w fotelu niedosłego słynnego reżysera, a Bo, idąc tuż za nimi z obiektywami fantoma-tycznymi, trzymał Gratha w zasięgu ich promieniowania. W ten sposób niefortunny opryszek ani na moment nie wydostał się ze swojego wymyślanego świata.

Statek nie był przygotowany do lotu, mimo to udało im się wyszperać w kuchni jakieś żelazne porcje.

Teraz wszyscy ruszali pracowicie szczękami, żując twarde kostki koncentratów.

— Zgrybodziłem — wyznał w pewnym momencie Darek.

Był jakby zdziwiony tym, że po tych wszystkich przejściach mógł jeszcze pomyśleć o tak prozaicznym organie, jak żołądek.

— Ja też — wybełkotała z wypchanymi policzkami Anna.

— I ja — zgodził się Stewa.

Przez chwilę znowu panowała cisza mącona jedynie niezbyt eleganckim mlaskaniem. Ale spróbujcie jeść elegancko koncentraty, które przeleżały w kosmicznej spiżarni, licha wie, ile miesięcy.

Na porządny, prawdziwy posiłek nie było w tej chwili szans. Lot miał potrwać parę godzin. Przycumowana do rufy X-1 rakieta Bo nie pozwalała rozwinąć większej szybkości.

— Jeśli złamię sobie ząb, ktoś za to ciężko odpowie — wymówiła z trudem Sonia posyłając złowroźne spojrzenie w stronę śpiącego Gratha. — Ja muszę mieć ładne zęby — wyjaśniła z powagą.

— Zęby można wstawić — odpowiedział filozoficznie Darek, dając równocześnie dowody, że nie stara się oszczędzać swoich własnych. — Natomiast śmierć głodowa jest nie do odrobienia. Przynajmniej — podkreślił — ja jestem tego zdania.

Anna parsknęła śmiechem. Był to fatalny błąd, który pociągnął nie mniej fatalne skutki.

— Och, przepraszam! — zawołała przerażona, pogarszając tylko sytuację.

— Nie szkodzi — wycedziła lodowato Sonia strzepując z bluzy nie dogryzione okruchy koncentratu. — Ja także mówiłam z pełnymi ustami — przyznała wielkodusznie.

Zza przepierzenia dobiegło niewyraźne mamrotanie. Wszyscy jak na komendę zwrócili głowy

w tę stronę.

— Czy jemu się zdaje, że także coś je? — zainteresował się po chwili milczenia Darek.

— Może... — bąknął bez uśmiechu Stewa. — Ale wątpię. Na wszelki wypadek sprawdzę program.

Wstał i podszedł do pulpitu głównego komputera. Zabawił przy nim zaledwie kilka sekund, po czym wrócił na swoje miejsce i powiedział:

— Cały czas prowadzi ten statek, w którym siedzimy, w kierunku Ziemi. Tak jak sobie zaplanował. Jest pewien, że mu się powiedzie, i już przeżywa swoją przyszłą wielką sławę.

Skończyli jeść w zupełnej ciszy. Wszystkim przeszła jakoś ochota do żartów.

Darek opadł na oparcie fotela i przymknął powieki. Pozostał w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Jego twarz wyrażała skupienie.

W końcu westchnął głęboko i spojrzał na Stewę szeroko otwartymi oczami.

— Dlaczego właściwie on... To znaczy, skąd biorą się tacy ludzie? Czy on nie mógł osiągnąć tego, czego pragnął, inaczej? Bardziej normalnie? — spytał z zastanowieniem.

Stewa wzruszył ramionami.

— Choroba — odparł krótko. — Dwukrotnie oblał egzamin na pierwszego operatora. Zresztą, zaczął już dawno. Rozprowadzał obiektywy fanto-matyczne, urządzał nielegalne seanse. Czego chciał? Któż zgadnie, co sobie uroił w swojej obłąkanej wyobraźni? Może liczył na to, że prędzej czy później wpadnie w jego sieci jakiś znany pisarz, scenarzysta czy reżyser, ktoś, kto mu pomoże w zrobieniu kariery. Nie był zbyt zdolny, ale chorobliwie ambitny. Tak, to choroba — powtórzył gorzkim tonem. — Normalny człowiek nie potrafiłby przecież wykorzystywać czyjogoś nieszczęścia, żeby go naciągać na fantomatykę, przenosić na krótko do świata, gdzie wszystko układa się dobrze i pięknie.

Darek przełknął ślinę.

— Wiem, jak to jest. Kiedy siedziałem w tym fotelu... — nie skończył.

Pomyślał o jowiszowych kwiatach dla matki, o ojcu... A także o tym, że z jakichś niezrozumiałych powodów były tam wtedy także Anna i Sonia. Dziwne...

— Tak — wyszeptwała Sonia. — Ja wprawdzie nie przeżyłam żadnej tragedii, ale to, co się ze mną

działo w tym jakimś śnie, było bardzo piękne... Z pewnością — dodała po krótkiej pauzie — można by z tego zrobić prawdziwy film. Pod tym względem Grath miał chyba rację.

— Owszem — odezwała się równie cicho Anna — ale mimo wszystko nie sądzę, abym potrafiła się przyzwyczaić do takich, jak pan to nazwali seansów. A w każdym razie, żebym musiała

do nich wracać...

— To bardzo dobrze, że tak myślisz — powiedział szpakowaty. — Ale widzisz, wciąż jeszcze za mało znamy samych siebie, abyśmy mogli być pewni, no wiecie...

Nie skończył, najwidoczniej nie chcąc teraz wygłaszać długiej a mądrej przemowy. Machnął tylko ręką i uśmiechnął się przelotnie.

— Więc on zaczął już na Ziemi? — upomniał się o dalszy ciąg historii Gratha Darek.

— Tak, ale wtedy oczywiście nie myślał jeszcze o fantomatycznym filmie. Nagle dowiedział się, że poleci kręcić tutaj z wami jako pierwszy operator, bo Patka zachorował. Pech chciał, że

akurat w tym samym czasie Bo Ytterby zbudował pierwszy aparat według własnego pomysłu.

— Nigdy nie łączyłem tego pomysłu z fantoma-tyką — wtrącił ponuro kamerzysta. — I w ogóle nie znałem przedtem Gratha. Skonstruowałem urządzenie, które pozwala filmować to, co człowiek widzi oczami wyobraźni. Po prostu pomyślałem, że dałoby się to wykorzystać w filmie... choćby, bo ja wiem, dla zabawy. Tymczasem zamiast zabawy zrobił się z tego dramat. Ja... — zaciął się nagle

i umilkł. Chwilę trwała cisza. Niebawem jednak przerwał

ją Stewa. Zaczął po prostu mówić dalej, jakby nigdy nic. Bo posłał mu krótkie spojrzenie, pełne wdzięczności.

— Sami widzicie — znowu uśmiechnął się specjalny oficer Służby Ochrony Zdrowia — że Bo nie bardzo wiedział, co zrobić ze swoim wynalazkiem. Myślał o zastosowaniu go w filmie, ale oczywiście legalnie, pod kontrolą naukowców. Przedtem postanowił jednak wypróbować aparat, żeby zobaczyć, czy w ogóle będzie działał. Zwierzył się Grathowi, a ten w mig skojarzył to sobie z fantomatyką i uznał, że takie urządzenie daje jego posiadaczowi niebywałą szansę. Przecież podobnych filmów nikt jeszcze nigdy nie robił, a człowiek poddany działaniu fantomatyki przeżywa naj-niezwyklesze przygody w najcudowniejszych światach.

Rozumiecie? Oczywiście, wynalazcy o niczym nawet nie wspomnieli. Skwapliwie zgodził się wypróbować jego aparat i przystąpił do tego od razu po przylocie na stację. Wybrał Mykeskesa, o czym Bo nie wiedział. Od momentu przeprowadzenia pierwszego seansu Grath trzymał ich w szachu. I Mykeskes, i Ytterby musieli milczeć. Bo protestował, ale Grath zagroził mu, że w razie czego powie, iż on nie tylko nie zarejestrował swojej aparatury zgodnie z przepisami, ale także na własną rękę robił niedozwolone eksperymenty. Przecież Ytterby nie potrafiłby udowodnić, że nie był świadomym współnikiem operatora. Czy tak było, Bo?

Kamerzysta siedział chwilę cicho, jakby nie usłyszał pytania.

Wreszcie odchrząknął głośno. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem.

— Przestraszyłem się — mruknął ponuro. — Powtarzałem sobie, że przekonam Gratha nie dziś, to jutro, ale tak naprawdę, po prostu się bałem. Powinienem od razu zgłosić mój pomysł. Powinienem odmówić Joemu i ratować Mykeskesa. Powinienem...

— Nie rozżalaj się tak — przerwał przesadnie surowym głosem Stewa — bo w końcu zgubisz drogę i zamiast na stacji wylądujemy w sąsiedniej galaktyce... za tysiąc lat. Co to ja mówiłem?... — zastanowił się, po czym szybko sam sobie odpowiedział: — Aha, o Joem. No więc tak się to zaczęło...

Podjął opowieść z widocznym zamiarem niedopuszczenia do tego, by Bo poddał się znowu swoim

niewesołym myślom.

— Tak się złożyło, że na Ziemi uciekł właśnie z zakładu leczniczego niejaki Bogen. Kiedy okazało się, że jego celem jest stacja, że dopytywał się o Gratha, wszystko zaczęło nam się kojarzyć. O treści zeznań Bogena dowiedziałem się za pomocą komunikatora. To jedna z wcześniejszych ofiar Gratha. Był już na tyle zdrowy, że zdawał sobie sprawę, komu zawdzięcza kilka straconych lat życia. Nie był jednak jeszcze wyleczony zupełnie. Dlatego płonął chęcią zemsty. I kiedy dowiedział się z telewizji, że Joe będzie pracował tutaj z wami, uprowadził z Ziemi jakąś raketkę i przyleciał nią aż do obszaru planetoid, żeby dostać go w swoje ręce. Co było dalej, wiecie. Darek — spojrzał z uśmiechem na chłopca — mógłby zresztą opowiedzieć wam o wiele więcej niż ja...

Przez jakąś minutę znowu było całkiem cicho.

— Co się stanie z Bogenem? — spytała Anna.

Od dłuższej chwili trzymała w dłoni kostkę koncentratu, ale zapomniała o tym, wpatrując się rozszerzonymi oczyma w szpakowatego.

— Wróci tam, skąd uciekł — odpowiedział. — Kuracja potrwa trochę dłużej, może o dwa lata, może o rok. To będzie zależało już tylko od lekarzy. Mykeskes nie zostanie chyba skierowany na leczenie zamknięte, poddadzą go tylko okresowej kontroli... Ostatecznie, nie chciał tego, co się stało. Nie uczestniczył w waszym porwaniu, a że załamał się psychicznie pod wpływem żalu... Właściwie można mu tylko współczuć. Przecież Grath i jego szantażował. A Mykeskes nie jest już najmłodszy. Gdyby na stacji dowiedzieli się, że brał udział w

nielegalnych seansach fantomatycznych, od razu odesłaliby go na Ziemię. Bał się tego jak ognia. Teraz i tak będzie musiał opuścić stację, ale myślę, że wkrótce wróci. — A Bo? — spytał cicho Darek.

Jasna czupryna kamerzysty trwała nieruchomo nad oparciem fotela.

— Bo Ytterby okazał się bardzo zdolnym wynalazcą — powiedział poważnie Stewa. — I doskonałym pilotem. Niemal takim, jak Darek — dodał nie zmienionym tonem, nie zwracając uwagi na to, że twarz chłopca poczerwieniała nagle. — Poza tym gdyby nie Bo, nie poszłoby nam tak gładko z Grathem. Być może doleciałby jednak na Ziemię. Jeszcze nie wiecie...

— Chwileczkę — poparła Darka niespodziewanie Sonia — ja także chciałabym wiedzieć, co będzie z Bo?

Twarz szpakowatego rozciągnęła się teraz w szerokim, nieco filuternym uśmiechu.

— Myślę — odpowiedział — że w każdym razie nie musisz się martwić o wasz film. I o swoją rolę. Bo zrobi to z pewnością znakomicie. Tym bardziej że jutro lub pojutrze przyleci z Ziemi operator Patka, którego już znacie. Wyzdrowiał i teraz...

— To mi wystarczy — przerwała Sonia. — Dziękuję — dorzuciła łaskawie. — A teraz może pan opowiedzieć o tym, czego ponoć jeszcze nie wiemy.

Szpakowaty musiał na moment zamknąć oczy. Bardzo możliwe, że policzył do dziesięciu, zanim się odezwał. Ale kiedy zaczął mówić, jego głos brzmiał tak samo jak przedtem.

— No więc Bo zostanie na stacji do skończenia filmu — powiedział jakby nigdy nic — potem jednak poleci na Ziemię i będzie musiał zająć się swoim wynalazkiem. Naukowcy z pewnością przyjmą go z otwartymi rękami. A teraz o tym, czego nie wiecie. Chodzi mi o naszą krótką walkę z Grathem, kiedy ty — spojrzął na Sonię — i Darek czekaliście pod ścianą. Gdyby nie Anna i Bo...

— Dziękuję za uznanie - burknął nagle kamerzysta nie odwracając się. — Może jednak znaleźlibyście sobie jakiś inny temat?

— Tu stacja. X—1, proszę powtórzyć. Nie zrozumiałem — w głosie Nerpy zabrzmiało nie ukrywane zdumienie.

— Nic, nic — powiedział prędko Bo, po czym oficjalnym tonem dorzucił: — Tu X-1. Lot przebiega normalnie. Nic nie mówiłem.

— Dziwne... — zamruczały głośniki. Nastąpiła cisza. Nie trwała jednak długo.

— Kiedy ktoś siedzi przed pulpitem pilota — stwierdził karzącym tonem Stewa — musi uważać na to, co mówi. Inaczej gotów przyprawić o rozstrój nerwowy wszystkich dyspozytorów w promieniu kilku lat świetlnych. Anna i Darek zachichotali krótko. Bo poruszył się niecierpliwie, ale nie powiedział słowa. Nauka nie poszła w las.

Chwilę znów panowało milczenie. Darek wykorzystał ten czas, by spoważnieć i zająć się myślą, która w tej właśnie chwili wykielkowała pod jego zachmurzonym czołem.

— Skąd pan się właściwie... — zaczął niezbyt wytwornie i zająknął się.

— Chciałeś spytać, skąd się tu wziąłem? — dopowiedział bez cienia urazy Stewa. — No cóż, wezwano mnie. Przyleciałem... i zaraz na drugi dzień musiałem startować znowu. Tym razem na plane-toidę numer dziewięćset sześćdziesiąt trzy, gdzie akurat pewien młody aktor...

— Nie powiedziałem panu wtedy — przerwał młody aktor, okrywając się purpurą, którą jednak trudno byłoby nazwać królewską — tego, co wiedziałem o Joem, Mykeskesie i...

Szpakowaty nie pozwolił mu dokończyć.

— Nie powiedziałeś — rzucił lekko — i nie mówmy już o tym. Zresztą, dowiedziałem się wszystkiego od Mammei.

Z ust Darka wyrwał się zdławiony okrzyk.

— Od kogo?!

— Od Mammei — powtórzył nieco zdziwiony Stewa. — On bardzo mi pomógł.

Chłopiec przez chwilę wpatrywał się z otwartymi ustami w szpakowatego. Następnie zamknął je i zaraz otworzył, by oświadczyć:

— A ja... ja... ja myślałem...

— Nie wiem, co myślałeś — powiedział lekko zniecierpliwionym tonem Stewa — ale Mammea jest pracownikiem Służby Ochrony Zdrowia oddelegowanym specjalnie na stację.

Tyle tylko, że ma nieco mniejsze uprawnienia... W naszej służbie są różne stanowiska...

— Domyślamy się — wtrąciła ni stąd, ni zowąd Anna. Z wypiekami na twarzy chłonęła każde słowo szpakowatego. Teraz uznała jednak, że specjalny oficer nadużywa swoich specjalnych uprawnień i wdaje się w nieistotne szczegóły, zamiast od razu wyjaśnić całą zagadkę.

— W każdym razie — Stewa jakby zrozumiał i zaczął mówić szybciej — przesłuchałem przystawki pamięciowe komputera. Wtedy wiedziałem już prawie wszystko. A potem podsłuchaliśmy rozmowę Gratha z Mykeskesem i Bo.. Wtedy, kiedy Grath nakrył ciebie, Darku, i Annę w tej komórce.

— Jak to?! — wykrzyknęli równocześnie bohaterowie owej pamiętnej sceny. — Wyście to słyszeli?!

— I pan wiedział, że on nam grozi miotaczem? — spytał ze zgrozą Darek. — Domyślałem się, że coś wiecie, ale że aż tyle...

— To mogło się bardzo źle odbić na naszym filmie — złożyła oświadczenie Sonia. — Aktorzy powinni być wypoczęci i skupieni, a nie latać bez radia, być porywani i tak dalej. Nie wiem, jak kto, ale ja sądzę, że Służba Ochrony Zdrowia...

— Służba Ochrony Zdrowia chciałaby skończyć, zanim ją z kretelem potępicie — zaprotestował szpakowaty. — Wiedzieliśmy wszystko, poza tym, że Grath chce się przenieść do stojącego bezczyn

nie statku. Pamiętasz — spojrział na Darka — kiedy wynosili pojemnik z aparaturą, nie mówili o tym ani słowa. A my przecież mieliśmy tylko podsłuch. Zauważyliśmy potem, że Grath zabrał aparaturę, ale nie wiedzieliśmy, w jakim celu. Założyliśmy więc butle z gazem usypiającym — przypuszczaliśmy bowiem, że po nakręceniu sceny startu Grath wróci z Mykeskesem do komórki, prowadząc oczywiście Annę na muszce. Złapałibyśmy go" od razu i bez najmniejszego ryzyka, że jednak zdąży nacisnąć spust. Ale on przeniósł te rzeczy do statku, no i wtedy właśnie przyleciał Bogen. Automaty wyświetliły jego twarz na wielkim ekranie. Wobec tego Grath to porwanie "na niby", które miał utrwalić na taśmie filmowej, przemienił w prawdziwe. A skąd ja się tu wziąłem? No, cóż — uśmiechnął się przelotnie — na czas kręcenia filmu ukryłem się po prostu w tym statku, żeby być bliżej was, na wszelki wypadek. No i zostałem porwany razem z wami. Stałem za drzwiami, kiedy was usypiał, ale wtedy jeszcze nic nie mogłem zrobić. Musiałem działać bardzo rozważnie. Potem zacząłem podkraść się do kabiny... i kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie pewien plastikowy drąg... Anna zachichotała.

— Nie widzę w tym nic zabawnego — nadąsała się Sonia. — Jaki znowu drąg?

Tym razem roześmiał się Stewa. Krótko, ale serdecznie. Następnie pomacał się po głowie i mruknął:

— Drąg jak drąg. Kawalek przewodu, tak ustaliliśmy, prawda?— rzucił w przestrzeń, nie patrząc na nikogo z obecnych.

Nie było odpowiedzi.

— Więc co z tym drągiem? — zirytowała się Sonia. Szpakowaty machnął ręką.

— Nie ma o czym mówić. Dość, że zasnąłem sobie w najlepsze i przeniosłem się do bardzo pięknej krainy, gdzie wszyscy byli idealnie mądrzy, dobrzy, zdrowi.

— Ja też tam byłem — nie wytrzymała Anna.

— I ja — zauważyła kwaśno Sonia.

— Spaliśmy wszyscy troje — dopowiedział Stewa. — Tylko Darek wtedy właśnie rozwinął wysoce ożywioną działalność. Poszedł na rufę, otworzył awaryjny właz i wpuścił do X-1 Bo, który od dłuższego czasu medytował, jak dostać się do środka. Prawda, Bo?

Zagadnięty skinął głową. Nauczony doświadczeniem wyłączył mikrofon, po czym powiedział:

— Domyśliłem się, że odetną Grathowi zasilanie, kiedy obliczą, że powinienem być już blisko. Ale awaryjny właz otwieracie tylko z wewnątrz, a główny pozostaje w polu widzenia pilota. Gdybym poszedł od dziobu, Grath czekałby już na mnie w śluzie. Wyłącznie Darkowi macie do zawdzięczenia, że...

— Gdybyś nie przyleciał — przerwał skromnie chłopiec — nie miałbym kogo wpuszczać.

Więc nie mów, że tylko dzięki mnie.

— Zresztą — Bo wzruszył ramionami — jak się okazało, w statku był już Stewa. Dałby sobie radę i bez nas.

— Gdybym go nie był... to znaczy... ja się pomyliłem — wyznał Darek takim tonem, jakby ujawniał swoją największą tajemnicę.

— Nie byłbym sobie poradził — zaprotestował szpakowaty — gdyby nie Anna. Ona spadła z fotela.

— Ona też? — mruknął Darek nieoczekiwanie rozradowanym tonem.

— Ona też. Siedziała z brzegu i wreszcie wypchnęliśmy ją do spółki z Sonią.

— Jak przedtem Sonia i Anna mnie.

— Właśnie. Anna wstała i pierwsze, co zrobiła, to ściągnęła z fotela naszą gwiazdę. Pech chciał, że w trakcie tego przypadkiem znowu wsadziła głowę pod te obiektywy i naturalnie natychmiast rozciągnęła się jak długa, tylko już mniej wygodnie, bo na podłodze. Ale Sonia była już przytomna. Podczołgała się i ściągnęła z kolei mnie. Potem oboje jeszcze raz ocuciliśmy Annę.

— Ruszałam się jak krowa — oznajmiła samo-krytycznie wymieniona. — Na śmierć zapomniałam o tych obiektywach.

— Wiecie, co zrobiła potem? — Stewa potoczył po obecnych triumfalnym wzrokiem. — Sama oświadczyła, że podkradnie się do drzwi i da mi znać, gdyby Grath chciał opuścić sterownię. Przyszło mi na myśl, żeby wykorzystać te obiektywy i uśpić z kolei samego Gratha. Anna stanęła na straży, a ja zabrałem się do roboty. Wtedy właśnie przyszliście ty i Bo — zwrócił się do Darka. — Sonia krzyknęła...

— Każdy by krzyknął — złotowłosa wydeła pogardliwie wargi.

— Każdy — przyznał lojalnie Stewa. — A więc Sonia krzyknęła, ale zaraz potem podbiegł do mnie Bo. Wspólnie skierowaliśmy obiektywy w stronę sterowni. Niestety, Grath był szybszy. Zdażył strze-

lic. Nie trafił raz i drugi, ale za trzecim nie chybiłby już na pewno. Wtedy Anna skoczyła mu na plecy.

— Stałam koło drzwi i kiedy wpadł, znalazłam się tuż za nim — powiedziała cicho dziewczyna, jakby chcąc usprawiedliwić swoje upodobanie do skakania ludziom na plecy.

— Bardzo dobrze zrobiłaś — oświadczył z powagą Bo.

— Pewnie, że dobrze — zgodził się szpakowaty. — Dzięki temu zyskaliśmy kilka sekund i udało nam się wreszcie wycelować w niego te obiektywy.

Zaległa cisza. Tym razem trwała znacznie dłużej. Wszyscy zamyślili się głęboko, jakby rozważając, co działałoby się z nimi teraz, jeśliby Grath celniej strzelał.

— W każdym razie, gdyby nie pan — Darek spojrzął z zadumą na Stewę — nie dalibyśmy rady. Nawet z Bo.

— Gdyby nie Bo — powiedziała Sonia — pan Stewa prawdopodobnie nie zdażyłby ustawić tych obiektywów.

— Gdyby Darek mnie nie wpuścił, nic by wam z tego nie przyszło, że za wami leciałem — zakomunikował z przekonaniem Bo.

— Gdyby Anna mnie nie zbudziła... — zaczęła niedbałym tonem Sonia.

— Przecież zasnęłam znowu — przerwała jej Anna. — Gdyby nie ty...

— Sonia mnie zbudziła — przyznał Stewa — ale gdyby Bo mi nie pomógł i gdyby Anna nie skoczyła Grathowi na plecy...

— ...jak kuguar na upatrzoną ofiarę — wtrąciła gładko Sonia.

Wszyscy umilkli. Pierwszy odzyskał zdolność mowy Stewa.

— Dlaczego, u licha, kuguar? — spytał z przeogromnym zdumieniem.

— Nie wiem — odparła bez namysłu złotowłosa. — Ale to dobrze brzmi. Kuguar...

I nagle wszyscy wybuchnęli głośnym, nieprzytomnym śmiechem. Darek czuł, że łyż ściekają mu po policzkach, nie mógł złapać tchu, ale musiał się śmiać, śmiać, śmiać...

— Ojej, ojej — wystękał wreszcie — nie mogę!

— Żeby ci tylko nie zaszkodziło — zatroszczyła się Sonia. Odpowiedział jej nowy wybuch

wesołości.

— Gdyby... gdyby... gdyby — powtórzył przerywanym głosem Stewa. — Wychodzi na to — podjął chwilę później — że wszyscy, jak tu siedzimy, zasłużyliśmy na pomniki. Albo też, że po prostu zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić.

— Nie wszyscy — mruknął ponuro Bo. Przesłali się śmiać. Darek spojrzął na kamerzystę z żywym współczuciem.

— Posłuchaj, Bo — powiedział serdecznie szpakowaty — każdy ma w życiu lepsze i gorsze okresy. Ale gdybym ja wynalazł coś naprawdę ciekawego, nie zamartwiałybym się zbyt długo, że jakiś łajdak próbował mój wynalazek wykorzystać...

— Pozwoliłem mu na to — zauważył kwaśno Bo.

— W takim razie, co tu robisz? — spytał Stewa. Na to pytanie istotnie trudno było znaleźć odpowiedź. Wkrótce więc nastrój znowu uległ wyraźnej poprawie. Tym bardziej że po dłuższej przerwie odezwała się stacja. Nerpa zapytał, czemu Bo wyłączył mikrofon.

— Czemu wyłączyłem? — burknął półgębkiem Bo. — Dobre sobie...

Zaraz jednak pochylił się nad pulpitem i powiedział oficjalnym tonem:

— Tu X-1. Wszystko w porządku. Lot przebiega normalnie.

— Niemal normalnie — dopowiedział po cichu Darek.

Sonia spojrzała na niego z niesmakiem. Anna natomiast zachichotała. "Jeśli tak będzie dalej — przemknęła Darkowi przez głowę zupełnie niedorzeczna myśl — to te jej dołeczki staną się wielkie jak kasztany. Nic, tylko się uśmiecha. Ale czy to znaczy, że należałoby koniecznie podjąć jakieś kroki zaradcze? Zresztą, nie tak dawno jeszcze jej twarzyczka wyglądała całkiem inaczej".

Z trudem oderwał wzrok od czarnej grzywki i spojrzął w stronę przepierzenia, za którym spał swoim dziwnym, nieprawdziwym snem Joe Grath. Tak, do tych wszystkich "gdyby", które dotyczyły Soni, Anny, Stewy, Bo i jego samego, z pewnością można by dodać...

Nie. Nie mogło mu się udać.

— To nie mogło się udać — powiedział bezwiednie na głos.

Szpakowaty podążył za jego wzrokiem, chwilę przyglądał się poblądłej twarzy operatora, po czym powiedział cicho;

— W każdym razie nie powinno było się udać. On potrzebuje pomocy. Nasza społeczność dawno już nauczyła się traktować wszystkie złe skłonności jak choroby.

Chłopiec chciał o coś zapytać, ale kiedy otworzył usta, okazało się, że zapomniał, jak to pyta

nie miało brzmieć. I dlaczego nagle tak okropnie zaczęło mu szumieć w głowie?

— Wiecie — powiedział nie swoim głosem — dziwnie się czuję.

Stewa spojrzął na niego z uwagą.

— Coś cię boli? — spytał.

Darek potrząsnął z wysiłkiem głową. Chciał odpowiedzieć, że nie, nic go nie boli, ale nie mógł wydobyć głosu.

— Może koncentrat był nieświeży? — przestraszyła się Anna. — Nie chciałam mówić, ale mnie też tak jakoś nieswojo...

Stewa przeniósł spojrzenie na dziewczynę i przez chwilę bacznie ją obserwował. Następnie zainteresował się Sonią.

— A ty jak się czujesz? — spytał.

— W każdym razie nie tak, jak powinnam się czuć przed zdjęciami... aaa... — oświadczyła wschodząca gwiazda filmu, przy czym znaczenia tego zdania można było się właściwie tylko domyślić.

Stewa wstał. W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki, zgoła niestosowne w obliczu nowego niebezpieczeństwa. Co to mogło być? Zbiorowe zatrucie? Strefa jakiegoś nieznanego promieniowania?

— Cała trójka idzie ze mną — rzucił.

Darek usiłował zrobić, co mu kazano, ale nogi przestały go słuchać, po prostu nie mógł wstać.

Szpakowaty machnął ręką. Odwrócił się i wybiegł z kabiny. Nie było go kilka minut. Jego powrót obwieścił już z dala donośny łoskot. Wydawało się, że Stewa znalazł w zakamarkach

statku jakiś muzealny wagonik kolejki wąskotorowej i pcha go teraz przed sobą.

Nie był to jednak wagonik, tylko fotel obwie-szony skomplikowaną aparaturą. Agent ulokował w nim bezwładne, lecące mu przez ręce ciało chłopca, po czym przytwierdzone do fotela urządzenia połączył z pulpitem głównego komputera.

Potrzymał tak Darka może trzydzieści sekund, wpatrując się w drgające strzałki wskaźników, a następnie na jego miejscu usadowił Sonię. Wkrótce Sonię zastąpiła Anna. Kiedy ta ostatnia opuściła osobliwy fotel, specjalny oficer wrócił do pulpitu komputera i włączył fonię.

— Organizm potrzebuje obniżenia wrażliwości na bodźce, w wygodnej pozycji — odezwał się charakterystyczny, obojętny głos. — Niezbędne częściowe zredukowanie bodźców zewnętrznych:

światlnych, dźwiękowych, termicznych. Konieczne zmniejszenie częstotliwości oddechu oraz wzrost zawartości dwutlenku węgla w powietrzu pęcherzyków płucnych.

Darek otworzył oczy.

— Co to znaczy? — wybełkotał przerażony.

— Proszę, aby mi niczego nie zmniejszano — zdołała wyszeptać Sonia.

— Czy- my jesteśmy chorzy? — spytała Anna, nie podnosząc powiek.

Stewa uśmiechnął się szeroko.

— Bardzo chorzy — odpowiedział z powagą. — Diagnoza aparatury medycznej statku jest jasna i jednakowa dla całej trójki. Natychmiast musicie... iść spać!

Posłuchali tak szybko, że szpakowaty musiał każde z osobna przenosić na opuszczone pod wpływem „złego samopoczucia” fotele. Organizmy całej trójki zgodnie i od razu osiągnęły stan obniżonej wrażliwości na bodźce, w wygodnej pozycji...

Darek usłyszał słowo „Ziemia”. Ponieważ śniło mu się właśnie, że rozsadza niewielką planetoidę, która lśniła już jak wielka, kulista gwiazda, mruknął; „Bzdura. Tak przecież nie mógłbym się pomylić...”

Rzeczywiście, eksplozja Ziemi zamiast planetoidy nie wchodziła w rachubę. Słowo „Ziemia” zabrzmiało jednak jeszcze raz, głośniejsze i bardziej natarczywie. Wypowiedziano je jakimś dziwnym tonem.

Chłopiec przemógł się i otworzył oczy. Napotkał uśmiechnięte spojrzenie szpakowatego i bezwiednie odpowiedział mu uśmiechem. Następnie już nieco przytomniej rozejrzał się wokół siebie.

W sąsiednim fotelu spała Sonia. Nawet we śnie potrafiła wyglądać tak, że za moment mogłaby stanąć przed kamerą. Jej złote włosy lśniły, jakby jeszcze przed sekundą dotykała ich fryzjerska szczotka.

Po przeciwnej stronie rozległo się westchnienie. Darek szybko odwrócił się i ujrzał wpatrzony w siebie oczy Anny. Ciągle jeszcze miał na ustach uśmiech przeznaczony dla Stewy — dołeczki w policzkach dziewczyny znowu stały się odrobinę głębsze. Leniwym ruchem sięgnęła do czarnej grzywki, której jednak, jak osądził chłopiec, żadne poprawki nie były potrzebne.

— Trzeba wstawać — powiedział głośno Stewa. — Dolatujemy.

Sonia przeciągnęła się jak kot, po czym w jednej chwili oprzytomniała. Usiadła, uniosła oparcie i wygładziła bluzę skafandra. Potrząsnęła głową.

— Spałam — stwierdziła zimno. — Muszę wyglądać okropnie.

— Wyglądasz prześlicznie — zaprotestował szpakowaty. — Prawda, Darku?

— Prześlicznie — potwierdził z najgłębszym przekonaniem chłopiec, patrząc w dalszym ciągu na Annę.

W tym momencie znowu zabrzmiał czyjś lekko zdławiony głos. Ktoś powiedział: „Ziemia”.

Stewa bez słowa wskazał głową przepierzenie za którym umieszcili Gratha.

Operator miał na twarzy wyraz kompletnego roz-anielenia. Jego uśmiech, zawsze tak złośliwy i odrażający, stał się wręcz promienny.

Poruszył wargami i jeszcze raz usłyszeli wypowiedziane czułym szeptem: — Ziemia...

— Jemu się zdaje — rzekł krzywiąc się Stewa — że widzi już rezerwat, w którym miał zamiar osadzić statek. Kiedy wylądujemy, będzie przekonany, że mu się udało. Pewnie zabierze

aparaturę i ucieknie, zostawiając was w rakiecie. Pójdzie do jakiegoś automatu medycznego i podda się operacji plastycznej, zmieni twarz, żebyśmy go nie mogli poznać. A po jakimś czasie wypłynie jako genialny twórca superoryginalnych filmów... Tymczasem w rzeczywistości będzie tkwił zamknięty na stacji i czekał na statek, który naprawdę zabierze go na Ziemię, tylko w nieco innym charakterze.

— To jednak wielka rzecz ta fantomatyka — powiedział marszcząc brwi Darek. Wpatrzył się z zadumą w tak niezwykle zmienioną twarz ich niedawnego prześladowcy.

— Paskudna — rzucił ostro Stewa, — No, Bo, jak tam? — odwrócił się do pilota.

— Lądowanie za półtorej minuty — odpowiedział zapytany. — Jesteśmy już w polu kontrolowanym przez stację. Prowadzą nas prosto do otwartej klapy startowej. Przygotujcie się na powitanie.

Powitanie...

Nie, to przeszło wszystko, czego przymusowi pasażerowie X-1 mogli się spodziewać. Głównie dzięki Adamowi. Lub, jeśli ktoś woli, z winy Adama.

W komorze startowej, za pancerną szybą, zgromadzili się wszyscy. Kiedy automaty oczyściły powietrze, kiedy przezroczysta przesłona poszła w górę, na twarze przybyłych runęło ostre światło reflektorów. Usłyszeli głos Adama:

— I oto, proszę państwa, są już wśród nas! Bohaterskie dzieci... Oto znana wam doskonale odtwórczyni głównej roli w nowym serialu, piękna Sonia. Teraz idzie córka słynnego astrokonstrukto-ra Nerpy, Anna. A to jest Darek, partner Soni, którego nie wypada mi chwalić, ponieważ przypadkiem jestem jego rodzonym stryjem. Obok chłopca współtwórcy filmu, kamerzysty i wynalazca, Bo Ytterby. A oto i pan Maurycy Stewa, który w znacznej mierze przyczynił się do tego, że X-1 wraca cały, z żywą i zdrową załogą. Anno — podsunął mikrofon dziewczynie — powiedz, jak było? Co czułaś? Bałaś się?

Zagadnięta stanęła jak wryta, z wytrzeszczonymi oczami. Na jej twarzyczce odbił się rozpaczliwy wysiłek. W końcu odchrząknęła niepewnie i nagle wyznała:

— Darek dał po głowie panu Stewie. A ja skoczyłam na plecy Joego Gratha... To znaczy, chciałam powiedzieć...

— Dziękuję, dziękuję — powiedział szybko Adam, wykonując jakieś tajemnicze zabiegi przy swojej aparaturze reporterskiej — później porozmawiamy dłużej — dodał z uśmiechem — wiemy, że spisałaś się niezwykle dzielnie, ale teraz pewnie jesteś bardzo zmęczona. Proszę państwa — zwrócił się do kamery — Anna pragnie jak najprędzej powitać ojca i brata. Poprosimy ją później... A teraz ty, Darku — podstawił mikrofon chłopcu — powiedz, jak ci się udało przekraść do awaryjnego wjazdu i wpuścić Bo Ytterby'ego na pokład?

Darek spojrzał na stryja z nie ukrywanym wyrzutem.

— Wstałem, poszedłem po cichu do śluzy i otworzyłem wjazd. Zaraz potem Bo wszedł do środka.

Adam odczekał chwilę, po czym spytał z pobłażliwym uśmiechem:

— To wszystko? Darek zawahał się.

— Niemal wszystko — wyznał w miarę uczciwie.

— Dziękuję. To wprawdzie nie było wszystko — głos Adama brzmiał znowu tak, jak powinien brzmieć głos obiektywnego reportera — ale na razie darujemy ci resztę. A teraz ty, Bo — odwrócił się do kamerzysty.

Ten jednak potrzęsnał głową.

— Nie mam nic do powiedzenia — mruknął ponuro.

— Porozmawiamy potem — ustąpił niespodziewanie łatwo Adam, uśmiechając się serdecznie do Bo. — O bohaterskich czynach Bo Ytterby'ego państwo już zresztą wiecie. Chcę tylko teraz dodać, że dokonał on rewelacyjnego wynalazku, którego szczegóły muszą jednak jeszcze przez pewien czas pozostać tajemnicą. Chodź bliżej, Soniu... — zwrócił się z kolei do złotowłosej i nagle zaniemówił. Uśmiech powoli odpływał z jego twarzy, która zaczęła tężeć w wyrazie ostatecznego i doskonałego osłupienia.

Zamiast oszołomionej wrażeniami i zmęczonej dziewczynki ujrzał bowiem nagle, a wraz z nim miliardy widzów — najprawdziwszą i równocześnie bajkową piękność. Sonia po prostu

Isniła cudownym, zniewalającym blaskiem. Była nie tylko słodka i miła. Na jej uśmiechniętą twarz wypłynęły z postawionymi żaglami wszystkie, zazwyczaj ukryte przed ludźmi, zalety jej budującego charakteru.

— Wszyscy byli wspaniali — powiedziała ciepłym, niskim głosem. — Już w czasie podróży doszliśmy jednak do wniosku—skinęła główką, tak żeby światło reflektorów zamigotało w jej złotych włosach — że każde z nas zrobiło tylko to, co trzeba- było zrobić w tej sytuacji. Jeśli chodzi o mnie, jestem szczęśliwa, że ta niemiła przygoda zakończyła się wreszcie i że znów będę mogła przystąpić do pracy nad moją rolą. Bardzo nie chciałambym sprawić zawodu — jej uśmiech stał się niemal błagalny — tym wszystkim, którzy czekają na nasz serial i którzy byli tak kochani, że przekazali nam życzenia i słowa zachęty. Jestem oczarowana współpracą z panem Andream Lewisem. To naprawdę wspaniały reżyser.

— Chodźmy stąd — szepnął Darek pochylając się do Anny. Ta skwapliwie skinęła głową. Rzucili się na oślep przed siebie... wpadając prosto w objęcia Barbary.

Ciotka Soni wpatrywała się wprawdzie nadal w błyszczącą przed kamerami Sonię, równocześnie jednak mocno przytuliła Annę i Darka. — Jesteście nieznośni — powiedziała cicho — ale mogłabym was ozłocić za to, że wracacie cali i zdrowi.

Anna milczała. Darek pomyślał chwilę, po czym powiedział coś, co uznał za najstosowniejsze w danej chwili:

— Zdaje się, że Adam wpadł na dobre. Barbara cofnęła się, jakby dzieci nagle zaczęły ją parzyć. Chłopiec spojrzał na nią zdziwiony, ale raptem dotarło do niego to, co powiedział. Miał, oczywiście, na myśli Sonię, która tak niepodzielnie zawładnęła Adamem i jego mikrofonem, ale przecież Barbara...

— Ja się bardzo cieszę — wyrzucił w rozpaczliwym pośpiechu, próbując ratować sytuację. Opiekunka złotowłosej wreszcie zdołała się u-śmiechnąć.

— Jesteś niemożliwy — powiedziała. — Kubek w. kubek jak twój stryj.

— On jest całkiem do rzeczy — zaprotestował z urazą chłopiec.

Barbara roześmiała się głośno. Natychmiast jednak przestraszyła się i przysłoniła sobie usta dłonią. Sonia tokowała w dalszym ciągu, a wszyscy pozostali słuchali z uroczystą powagą. Głośne śmiechy były teraz stanowczo niewskazane.

Darek wykorzystał to i szybko ruszył naprzód, trzymając Annę za rękę. Wydostali się wreszcie na korytarz. Stanęli lekko zdyszani i popatrzyli na siebie. Anna sprawiała wrażenie dziwnie zamyślanej. Zresztą i Darek stracił nagle ochotę do żartów.

— Chodź — powiedział, żeby przerwać nastrój, który zaczął się stawać jakiś niewyraźny — pójdziemy do twojego ojca.

Oczy Anny zabłyśły natychmiast. Dyspozytora nie było na lądowisku. Nie mógł opuścić swojego posterunku przy pulpicie.

Szybko pobiegli w stronę windy. Tuż przed nią dopadł ich jednak Marek.

— Ona jest wspaniała! — zawołał z zachwytem. Jego głos, z natury cieńszy niż należało, znalazł się teraz na pograniczu pisku. — Słyszeliście?! Cześć, siostrzyczko — rzucił roztargnionym tonem, przypomniawszy sobie o istnieniu Anny. — Mam nadzieję, że to skakanie ludziom na plecy nie wejdzie ci w nałóg. Co macie takie miny? — zreflektował się wreszcie.

— My? — wybąkała z niebotycznym zdumieniem Anna.

— My? — powtórzył jak echo Darek.

Syn dyspozytora przyjrzał im się podejrzliwie.

— Coś mi się zdaje — zaczął wreszcie powoli — że nasz gwiazdor znalazł tu ciężki orzech do zgryzienia. Piękna partnerka... i...

— Nie wygłupiaj się — przerwał Darek.

— Co tu w ogóle robisz?! — natarła z furią na brata Anna. — Dlaczego nie jesteś tam, gdzie wszyscy? Zdaje się, że w orszaku triumfalnym tej twojej piękności widziałam jeszcze jedno wolne miejsce. Leć prędko, to może uda ci się wcisnąć!

Marek zniósł ten wybuch ze stoickim spokojem. Ponownie powędrował wzrokiem od Darka do swojej siostry i z powrotem.

— No, no... — mruknął wreszcie do siebie. — Myślisz, że nie widziałam, z jakim zachwytem

się w nią wpatrywałaś?! — ciągnęła rozsierdzona Anna. — „Nie wiem, jak kto — wydeła wargi naśladowując głos Soni — ale ja nie życzę sobie mieć nic wspólnego z prostakiem wychowanym w stadowym pudle na końcu świata, prostakiem, który nie potrafi nawet rozróżnić kamery od kartofla”. Ciekawa jestem — wydyszała z pasją — jaką zrobisz minę, kiedy to usłyszysz. Cielęcą na pewno, jak choćby teraz, ale już może troszeczkę mniej zachwyconą niż przed chwilą!

Anna myliła się jednak. Miny jej brata — właśnie w tym momencie — nie sposób było określić mianem cielęcej. Przypominał raczej rozjuszonego byka.

— Ciesz się, że sama znalazłaś kogoś wychowanego w pudle na końcu świata! — wrzasnął. — Tylko patrzeć, jak tam wróci... albo pobiegnie za swoją gwiazdą! Ty i Sonia!

— Marku! — w głosie Darka zabrzmiał wyrzut zmieszany z mimowolną groźbą.

— Co, dasz mi w łeb? — zainteresował się żywo Marek odstawiając swe wielkie, olśniewające zęby. — Może rzeczywiście dobrana z was para: jedno ma zwyczaj walić ludzi drągami po głowie, a drugie łąduje im potem na plecach. Bohaterowie!

— Marek... — powiedziała cicho Anna. Jej brat chwilę jeszcze tytał groźnie oczami, po czym twarz mu złagodniała.

— Przepraszam — bąknął odwracając głowę. — Ja... To dlatego — wybuchnął nagle — że tak o niej mówicie! Ona wcale nie jest taka!

Chwilę panowała pełna napięcia cisza.

— Nikt przecież o niej źle nie mówi — odezwał się w końcu pojednawczo Darek. — Ale sam wiesz, że ona potrafi zalać człowiekowi sadła za skórę.

— A kto nie potrafi? — zareplikował bez przekonania Marek.

- Wzięło go — zaopiniowała tonem wyroczni Anną.

Brat spojrzał na nią nieżyczliwie, Darek postanowił jednak nie dopuścić do rozpętania się nowej burzy.

— Ona naprawdę jest bardzo ładna — powiedział miękko.

— Nie tylko ładna! — zakrzyknął z determinacją Marek. — Ona ma charakter!

— Co do tego — szepnęła zjadliwie Anna — nikt nie żywi najmniejszych wątpliwości. Zależy tylko jaki...

— Nie mów tak — wkroczył raz jeszcze Darek. — Właściwie bardzo mało ją znamy. Anna zjeżyła się jeszcze bardziej.

— Więc ty także jej bronisz? — parsknęła. — Po: ty m r co wygadywała? Wiecie, lećcie do niej obaj. i padnijcie na kolana. Proście, żeby które-goś wybrała. Niech każe wam się pojedynkować... albo przywieźć z innej galaktyki smoka z dwudziestoma głowami, który żywi się wyłącznie sałatą. No, na co czekacie?!

Wyrzuciwszy to z siebie, zakręciła się w miejscu i wpadła do windy, pozostawiając obydwu chłopców w stanie lekkiego oszołomienia.

- No i po co to było? — burknął półgłosem Marek.

— Pójdę za nią — rzucił obojętnie jego towarzysz.

Marek patrzył na niego chwilę.

— Masz siostrę? — spytał.

— Nie.

— No, to się nie dziw. W gruncie rzeczy bardzo się kochamy i nie chciałbym... nie chciałybym... — zmieszał się nagle.

— Pójdiesz do Soni? — spytał szybko Darek.

— Pójdę — odpowiedział cicho zapytany. — A ty?

— Ja?... — Chwila zastanowienia, która poprzedziła to słówko, była stanowczo zbyt krótka, żeby mówiący zdołał wymyślić coś nowego. — Ja pojedę na górę...

Stojąc już w kabinie windy, Darek spostrzegł, że brat Anny odprowadza go wzrokiem. Przyszło mu na myśl, że te białe jak śnieg zęby Marka nie są znowu aż tak bardzo za duże, tylko po prostu duże. Może pod wpływem tej właśnie myśli — nagle, niespodziewanie dla samego siebie — uśmiechnął się do niego serdecznie. Marek natychmiast zrewanżował się takim samym uśmiechem. Następnie z widoczną ulgą odwrócił się i pomknął z powrotem w stronę ładowiska.

Nerpa na widok chłopca krzyknął głośno:

— Hura!

Anna, siedząca na kolanach ojca, skrzywiła się.

— Nie mogłem was przywitać na dole — powiedział dyspozytor — za to mam dla ciebie wiadomość...—zawiesił głos.

Darek spojrział na niego niezbyt przytomnie. Anna zsunęła się z kolan ojca i ostentacyjnie skierowała całą swoją uwagę na dyspozytorski pulpit.

Pochyliła się, jakby któraś z drgających czarnych i czerwonych strzałek kiwnęła na nią palcem.

— Nie jesteś ciekaw? — spytał Nerpa. Chłopiec oderwał wzrok od czarnej grzywki i bąknął:

— Ciekaw? A tak, oczywiście...

— Jutro przylatuje z Ziemi statek, który zabierze stąd Bogena i Gratha. Byłby już dzisiaj, gdyby nie to, że na Marsie zatrzymał się jeden dzień dłużej. Specjalnie, aby wziąć na pokład kogoś, kto przybył aż z Ganimeda. No?

Darek zmarszczył czoło. Z Ganimeda?... — Pewien pracujący tam naukowiec doszedł do wniosku, że może się wyrwać na kilka dni, żeby obejrzeć filmowe popisy swojej pociechy...

— Mama! — krzyknął Darek. — Hura! W tym momencie, jakby tylko czekali na ten właśnie okrzyk, do dyspozytorni wpadli Lwizwis i Werwus. Głos Darka jeszcze dzwonił wśród ścian kopulastej sali,

— Brawo! — pisnął grubas. — Tak, hura! Hura! Będziemy kręcić! Film jak złoto! Bomba! Sensacja!

— Posłuchajcie, dzieci — zadudnił bas Lwizwi-sa — to naprawdę dobry pomysł...

— Dobry?! — oburzył się Werwus. — Cudowny! Genialny! Olśniewający! Posłuchajcie tylko — zapiszczał, zamykając w zachwycie oczy. — Precz z robotami! Precz z fikcją! Tylko prawda! Wasza historia! Przybycie! Lot Darka! Bogen! Budowa na planetoidach! Fantomatyka! Obiektywy! Grath! Porwanie! Ocalenie! Bohaterstwo! Miłość!...

Umilkł dla zaczerpnięcia tchu. Słuchający dotąd w milczeniu Nerpa uniósł głowę i spytał:

— Miłość także?

Uśmiechnął się nieznacznie, zerkając w stronę czarnej grzywki, spod której w 'tej chwili w ogóle nie było widać ciemnych, lekko skośnych oczu.

— Oczywiście! — odpowiedział natychmiast Werwus. — Chłopiec! Dziewczyna! Wspólne przygody! Wspólna praca!

— Co wy na to? — mruknął dyspozytor. Pytanie było zbyteczne. Darek, półprzytomny z przerażenia, cofał się drobnymi kroczkami. Nie ulegało wątpliwości, że najchętniej sam zamieniłby się teraz w planetoidę, i to planetoidę szybującą możliwie najdalej stąd, nawet gdyby miało mu to grozić rozsądzeniem na proszek. Jeżeli chodzi o Annę, to spod jej grzywki, z której nagle zrobiła się prawdziwa grzywa, nadal nie było nic widać. A trudno zgadnąć, co ktoś myśli, kiedy patrzy się tylko na jego włosy, choćby nie wiem jak czarne i zmierzwiłone. Nagle spod tej grzywki łypnęło jedno dziwnie lśniące oko.

— A sceny, które nakręciliście, dotychczas? — spytał ciekawy dziewczęcy głosik.

Werwus machnął ręką. Na jego twarzy rozlał się wyraz skrajnego obrzydzenia.

— Precz! — zakrzyknął. — Do kosza! Zapomnieć! Po co fikcja, kiedy prawda jest lepsza?!

Ba!!!

Ten ostatni wykrzyknik zabrzmiał jak wystrzał z ciężkiego działa. Darek aż podskoczył. Może właśnie ten ruch sprawił, że nagle odzyskał przytomność umysłu, czemu dał natychmiast wyraz, puszczając się pędem w stronę drabinki. Sekundę później stał już na pomoście.

— Anno! — krzyknął rozpaczliwie — Uciekajmy!

Dziewczyna nie pozwoliła sobie powtarzać tego dwa razy. Natychmiast zapomniała, że jest śmiertelnie obrażona, uśmiechnęła się przelotnie do ojca i wymijając ośłupiałego Werwusa, który niezdarne próbował zastąpić jej drogę, wzięła nogi za pas,

— Hej! — zawołał za nimi zdumiony Lwizwis. To wołanie pozostało jednak bez echa.

— Dokąd? — spytała krótko Anna, gdy stali obok siebie w kabinie windy unoszącej ich w górę. Chłopiec zaczerpnął głęboko powietrza i po chwili mógł już odpowiedzieć:

— Kiedyś ktoś zapraszał mnie na spacer do ogrodu...

Sala widokowa z przeźroczystą ścianą i dzisiaj tonęła w mroku. Tak samo ogród. Niewidoczne lampy chowały się wśród krzewów i drzew. Ale niewielkie drzwi w pancernej szybie stały otworem.

W ogrodzie pachniały kwiaty. Nie było wiatru, brakowało brzęczenia owadów, ale na płatkach kwiatów zatrzymały się kropelki rosy, w których tu i ówdzie migotało odbicie złotego światła dalekich gwiazd. Czerń przestrzeni międzyplanetarnej rozjaśniały czerwone smugi padające z ilumina-torów. W tym najdziwniejszym parku człowiek po raz pierwszy w swych dziejach mógł stanąć bez skafandra i kasku, oko w oko — z kosmosem. A równocześnie ani na moment nie przestawał być naprawdę u siebie.

Przeszli kilkanaście metrów szeroką, wysypaną żwirem alejką i skręcili w boczną dróżkę. Otoczyły ich wysokie, kwitnące azalie, spoza których dobiegał szmer fontanny. Zapach stał się ciężki, słodki, tłumiący oddech.

Zwolnili i szli obok siebie, nie odzywając się. Darek co chwilę podnosił głowę i wodził wzrokiem po obrzeżach gwiazdnych konstelacji, po płonącej biało Drodze Mlecznej, wyszukiwał podobne do ślimaków morskich galaktyki. Najjaśniej świeciła jedna gwiazda, nisko nad horyzontem. Nad horyzontem, to znaczy tam, gdzie kończył się park, a zaczynała próżnia. Ale nie była to wcale jakaś specjalnie wielka czy potężna gwiazda. Tyle że najbliższa i własna. Słońce.

Dróżka rozszerzyła się, tworząc okrągłą polankę, przez którą, pomiędzy omszałymi kamieniami, przepływał strumyk. Spośród kamieni wychylały łodyżki kępy niezapominajek. W zakolach ścieżki stały niskie drewniane ławki.

Skierowali się ku najbliższej z nich i usiedli. Od bujnych zielonych krzewów wionęło przyjemnym chłodem. W parku było bardzo ciepło. A panująca dokoła czerń wydawała się czymś najzwyczajniej-szym w świecie, jakby cieniowym miejscem w ziemskim ogrodzie, w samo południe upalnego, czerwcowego dnia.

Siedzieli w milczeniu obok siebie, kiedy w głębi ścieżki ukazały się dwie ciemne sylwetki, niższa i wyższa. — Popatrz, są tutaj — powiedziała Barbara.

Adam zaśmiał się cicho.

— Zajęli najlepszą ławkę — stwierdził z uznaniem, ale i z odrobiną zazdrości.

— Jest przecież miejsce. — Darek, żeby zmanifestować swoją dobrą wolę i wielkoduszność, przesunął się o centymetr bliżej Anny. Ta ani drgnęła.

Barbara podziękowała i usiadła na skraju ławki. Pomiedzy nią a Darka wcisnął się z niejakim trudem Adam. I znowu zapadła cisza.

— Gdzie Sonia? — spytała po dłuższej chwili Anna.

Było to powiedziane bardzo uprzejmym tonem, odrobinę nawet zbyt uprzejmym. Darkowi w każdym razie wydawało się, że naprawdę to pytanie miało być sformułowane nieco inaczej. Na przy-kład: „Jak to się stało, że wielka gwiazda pozwoliła oddalić się swej wiernej opiekunce?”

— Powinnaś spytać swojego brata — odpowiedział Adam. — Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby za chwilę na tej ławeczce zapanował prawdziwy tłok.

— Tak? — zdziwiła się grzecznie Anna. — Naprawdę?

— Jest jeszcze druga ławka — mruknął chłopiec.

Roześmieli się wszyscy. Nagle Darek umilkł i zamyślił się. W pewnej chwili potrząsnął głową.

— Pięknie tu — powiedział z westchnieniem. — Wiecie, kiedy siedziałem przed tymi obiektami wami...

— Wtedy także było pięknie — podchwycił niespodziewanie ostrym tonem Adam.

Chłopiec spojrział na niego zdumiony. Reporter był jednak zbyt wzburzony, żeby to

zauważyć.

— Popatrz — zatoczył ręką szeroki łuk, którym objął ogród, stację i wszystkie gwiazdy, nie wyłączając najdalszych. — Popatrz — powtórzył. — Zaczęłeś mówić o swoich przeżyciach w świecie

sztucznych marzeń. Bo fantomatyka to furtka do takiego właśnie świata. A teraz spójrz wokół siebie. Co widzisz? Darek rozejrzał się. Jak to; co?

— To wszystko — powiedział dobitnie Adam — to nic innego, jak właśnie marzenia. Z tą drobną różnicą, że prawdziwe i że spełnione. Tak, marzenia, One są człowiekowi potrzebne jak chleb i woda. Od tysiącleci człowiek marzył o sprawiedliwości, o ładzie i dobrobycie na swojej ojczystej planecie, a równocześnie zawsze większość ludzi pracowała i cierpiała, żeby te marzenia zrealizować. No i stało się... chociaż trwało to tak długo. Już nasi praprzodkowie marzyli o gwiazdach, a dzisiaj mamy je na wyciągnięcie ręki. Spójrz na ten ogród. Czy aby dokonać podboju kosmosu, ludziom potrzebne są kwiaty? No?

— Nie... — wymamrotał niepewnie Darek — ale...

— Nieprawda — uśmiechnął się znowu Adam. — Właśnie, że potrzebne. Bo także i ten świat, tutaj, musi być taki, żeby chciało się w nim pomarzyć... A wy właściwie, co teraz robicie? — zagadnął podstępnie.

Darek naburmuszył się. Uznał, że stryj już dość długo przemawia tonem nauczyciela tłumaczącego coś szczególnie tępemu uczniowi. Uniósł głowę i rzucił obojętnym tonem:

— O ile się nie mylę, a nie sądzę, abym się mylił, to samo, co wy. Adama замуrowało.

— Darek! — powiedziała z wyrzutem Barbara. Adam zaśmiał się głośno.

— Co zrobić, kiedy on ma rację — rozłożył bezradnie ramiona. — Chodźmy stąd, moja droga — podał Barbarze rękę, którą ta z pewnym ociąganiem przyjęła. — Zostawmy ich samych... Chciałem ci tylko powiedzieć — odwrócił się jeszcze raz do Darka — żebyś nie zawracał sobie głowy podróży do nierealnych światów. Niech licha porwie całą fantomatykę! Wszystko, co mamy, zawdzięczamy marzeniom i pracy. Marzenia są zawsze piękne. Ale sens mają tylko takie, po których chce się człowiekowi zakasać rękawy, żeby je zrealizować. Choćby to miało nastąpić dopiero za sto czy tysiąc lat. W ten sposób powstawały dzieła tak wielkie i piękne, jak Leonardo, Błękitna i miasto, które buduje ojciec Anny. Lub jak chociażby ten ogród tutaj. I jak przyszłe miasta wśród gwiazd, których jeszcze nie znamy, ale do których prędzej czy później dotrzemy. Bo przecież marzymy i o nich, prawda? No, cześć, dzieci, zagadałem się na śmierć. Niech wam się dobrze marzy... — zakończył zupełnie innym, żartobliwym tonem.

Następnie wziął Barbarę pod ramię i pociągnął ją za sobą. Niebawem zniknęli oboje za kępą aza-lii.

Na placyku przez dobrą chwilę rozbrzmiewał jedynie szmer strumyka, Wreszcie Darek poczuł, że nie może już dłużej milczeć. Pomyślał, pomyślał, po czym powiedział coś zupełnie zdumiewającego:

— Żeby mnie palili, gotowali, wyżyłali, darli na strzępy, a potem kleili i polewali smołą, nie chcę mieć już nic wspólnego z żadnym filmem. Nie, i już!

Czarna grzywka uniosła się odrobinę. W stronę chłopca strzeliło nieodgadnione spojrzenie skośnych, lekko przymrużonych oczu.

— To chciałeś mi powiedzieć? — spytała dziewczyna jakimś dziwnym tonem.

Darek doszedł do wniosku, że upał — panujący w ogrodzie — staje się nie do zniesienia. I dla czego najcieplej musi być akurat w okolicy jego twarzy?

Zastanowił się. Nie nad upałem. I nie nad tym, co naprawdę chciałby powiedzieć. To przecież wiedział aż nazbyt dobrze. Tylko...

Spojrzał wprost na Annę, jakby oczekując od niej pomocy. Dziewczyna jednak milczała. W jej oczach odbiły się gwiazdy, niby w kropelkach rosy błyszczących na liściach i kwiatach tego naj-niezwykłego ze wszystkich parków. Przyjrzał się tym gwiazdom i nagle wyrzucił z siebie z determinacją:

— Wcale nie to. Co mnie obchodzi film! Ja... ja... Do licha! Przecież wiesz, co chciałem ci powiedzieć!